



Uuk Quality Books

# Old Shatterhand

Karol May

Krajowa Agencja Wydawnicza, Szczecin 1987.

Tekst według edycji Wydawnictwa "Editor", Warszawa 1931.

## **Spis treści:**

[Old Shatterhand](#)

[Sępy Skalne I](#)

[Sępy Skalne II](#)

# Old Shatterhand

Niedaleko na zachód od miejsca, gdzie stykają się granice trzech północnoamerykańskich stanów: Dakota, Nebraska i Wyoming, jechali któregoś letniego dnia dwaj jeźdźcy o dziwnym wyglądzie.

Obaj mężczyźni bardzo się różnili. Pierwszy z nich był bardzo wysoki, i szczupły, natomiast drugi niski i gruby. Twarze obu jeźdźców znajdowały się na jednym poziomie ponieważ niski siedział na dużym, silnym kłusaku, a wysoki na małym mule.

Ubrani byli oryginalnie. Wysoki miał na sobie wystrzępioną skórzaną koszulę myśliwską i za krótkie, bo sięgające kolan skórzane spodnie. Bose nogi tkwiły w bardzo zniszczonych butach, które chyba nigdy nie widziały pasty. Szyję fantazyjnie okręcała bawełniana chusta. Głowę nakrywało coś, co kiedyś było cylindrem. Z ronda został zaledwie skrawek, który służył do zdejmowania kapelusza podczas ukłonu, a po bokach właściciel dokonał licznych cięć wychodząc z założenia, że głowa łowcy prerii wymaga ciągle świeżego powietrza. Zamiast pasa miał gruby sznur, za którym tkwiły dwa rewolwery i nóż. Ponadto wisiała ładownica, tabakiera, róg z prochem i krzesiwo. Na piersiach spoczywała fajka z bżowego drzewa. Z lewego ramienia do prawego biodra zwieszało się lasso. W poprzek nóg leżała strzelba. Całości stroju dopełniał płaszcz gumowy, który tak się skurczył, że jego posiadacz, nie mogąc go na siebie włożyć, zarzucił go sobie malowniczo na ramiona niczym kurtkę huzarską.

Patrząc na twarz tego człowieka trudno było określić jego wiek. Szczupła, osmagana wiatrem i słońcem twarz pokryta była zmarszczkami, ale wielkie niebieskie oczy miały ciepły, młodzieńczy blask.

Niski jeździec miał na sobie wyłysiałe futro, spod którego wyglądała niebieska wełniana bluza i takie same spodnie. Za skórzanym pasem oprócz przedmiotów, które miał jego towarzysz, znajdował się indiański tomahawk. Do siodła przytroczone było lasso i dubeltówka systemu Kentucky. Mężczyzna miał gładko wygoloną twarz i rumiane policzki, które błyszczały jak księżyc w pełni. Spoglądał przed siebie małymi, ciemnymi oczami schowanymi pod krzaczastymi brwiami. Niewielki perkaty nos dopełniał wizerunku.

Patrząc na nich trudno było przypuścić, że są westmanami. Wysoki nazywał się David Kroners, a niski Jakub Pfefferkorn, Kroners byli prawdziwym jankesem<sup>[1]</sup> i nazywano go Długim Davy. Pfefferkorn pochodził z Niemiec, ale zgodnie ze swoim wyglądem otrzymał przydomek

Gruby Jemmy. Trudno było nie spotkać na Zachodzie człowieka, który nie mógłby opowiedzieć o ich wyczynach i przygodach myśliwskich. Od wielu lat przebywali razem ratując się wzajemnie z niejednej opresji.

Tymczasem słońce sięgnęło zenitu, po czym powoli zaczęło się zniżać. Było wprawdzie bardzo gorąco, ale dął orzeźwiający wietrzyk. Przetykany miriadami<sup>[2]</sup> kwiatów kobierzec traw nie miał jeszcze brązowego, spalonego odcienia jesieni, cieszył oko świeżą zielonością. Rozsypane po rozległej, dalekiej równinie skaliste góry, kształtu olbrzymich stożków, oświetlone skośnymi promieniami słońca, na zachodnich zboczach błyszczały wspaniałością kolorów, które na wschodzie przechodziły w coraz ciemniejsze i głębsze tony.

— Jak daleko jeszcze pojedziemy dzisiaj? — zapytał Gruby po wielogodzinnym milczeniu.

— Tak daleko jak co dzień — odparł Długi.

— Well! — roześmiał się Mały. — A więc do miejsca obozowiska?

— Yes — odpowiedział Mr Davy.

Znów upłynęła chwila. Jemmy obawiał się otrzymać ponownie taką samą odpowiedź. Zerkał na swego towarzysza swoimi chytrymi oczami i szukał okazji do zemsty. Wreszcie cisza zaczęła ciążyć Dłугоmu. Wskazał ręką w kierunku jazdy i zapytał:

— Czy znasz te okolice?

— Jeszcze jak!

— No? Co to za region?

— Ameryka.

Długi z niezadowoleniem podciągnął nogę i kopnął wierzchowca. Po czym rzekł:

— Złośliwy drab!

— Kto?

— Ty!

— Ach, ja??! Jak to?

— Mściwy!

— Wcale nie. Kiedy mi zadajesz głupie pytania, nie widzę powodu, dla którego miałbym ci dawać dowcipne odpowiedzi.

— Dowcipne? O, biada! Ty i dowcip! Tyle w tobie mięsa, że nie ma miejsca na dowcip.

— Oho! Czy zapomniałeś, co przeszedłem, tam, na innym łądzie?

— O tak! Jedną klasę gimnazjum? Tak, wiem o tym. Nie mógłbym zapomnieć, gdyż przypominasz mi o tym trzydzieści razy na dzień.

Gruby uderzył się w piersi.

— Bo muszę — rzekł. — A właściwie to powinienem ci powtarzać czterdzieści czy pięćdziesiąt razy dziennie, ponieważ jestem człowiekiem, którego nie potrafisz nawet godnie uszanować. A poza tym przebyłem nie jedną, ale trzy pełne klasy!

— Na resztę nie starczyło ci oleju w głowie...

— Cicho bądź! Nie starczyło pieniędzy, rozumu było aż nadto. Zresztą, wiem o co ci chodzi. Nie zapomnę tak łatwo tej miejscowości. Przecież tam, po tamtej stronie wyżyn, spotkaliśmy się po raz pierwszy.

— No tak! To był paskudny dzień. Wystrzeliłem cały proch, a tymczasem ścigali mnie Siuksowie. Nie mogłem dalej uciekać, powalili mnie. A wieczorem ty przybyłeś z odsieczą.

— Tak, Indianie rozpalili ognisko, które można było zobaczyć aż hen, z Kanady. Nie dziw, że je zobaczyłem i podkrađłem się po kryjomu. Ujrzałem pięciu Siuksów nad związanym białym. Dobrze, że i ja nie wystrzeliłem przedtem całego prochu. Dwóch runęło, a trzech drapnęło, nie wiedzieli przecież, że mają jednego, jedyne go przeciwnika. Dzięki temu odzyskałeś wolność.

— Odzyskałem wprawdzie wolność, ale byłem zły na ciebie jak sto diabłów!

— Za to, że zraniłem, a nie zakatrupiłem obu Indian. Tak. Ale czerwonoskóry jest także człowiekiem i nigdy nie przyszło mi do głowy, aby zabijać kogoś, kiedy nie jestem do tego bezwzględnie zmuszony. Jestem Europejczykiem, a nie kanibalem<sup>[2]</sup>

— A takim to ja niby jestem, co?

— Hm! — mruknął Gruby. — Teraz się zmieniłeś, ale dawniej, jak wielu tobie podobnych, byłeś zdania, że należy jak najszybciej wytepić wszystkich czerwonoskórych. Musiałem cię nawrócić na swoje poglądy.

— Tak, wy, Europejczycy, jesteście osobliwymi ludźmi. Łagodni, dobroduszni jak mało, a jednak w potrzebie nie ustępujący innym dzielnym ludziom. Chcielibyście dotykać wszystkiego przez jedwabne rękawiczki, a mimo to umiecie uderzać kolbą, kiedy się wam wreszcie zdaje, że należy się bronić. Wszyscy jesteście tacy, nie wyłączając ciebie.

— Bardzo się cieszę, że tak jest, a nie inaczej. Ale spójrz tam, zdaje się, że widzę ślady w trawie!

Osadził konia na miejscu i wskazał w kierunku skały, u której stóp biegła po trawie długa, ciemna linia.

Davy także osadził konia, przysłonił oczy ręką i badał wskazane miejsce, a po chwili odezwał się:

— Będziesz mnie mógł zmusić do zjedzenia cetnara<sup>[4]</sup> mięsa bawolego, jeśli to nie jest ślad.

— Ja też tak sędzę. Czy zbadamy go dokładniej, Davy?

— Oczywiście, musimy to zrobić. Na tej starej prerii nie można lekkomyślnie omijać żadnego śladu. Trzeba zawsze wiedzieć, kogo ma się przed sobą i za sobą, bo łatwo może się zdarzyć, że ktoś, kto położy się spać żywy, rano będzie martwy. A więc naprzód!

Dojechali do skały i zatrzymali się, badając ślad oczami znawców. Jemmy zeskoczył z konia i ukląkł w trawie. Jego stary kłusak, jak gdyby obdarzony ludzkim rozumem, położył pysk na trawie i cicho parsknął. Muł podszedł również, machał ogonem, strzygł uszami i zdawał się badać trop.

— No? — zapytał Davy, któremu czas się dłużył. — Czy to aż tak ważne?

— Tak. Tędy jechał Indianin.

— Tak sądzisz? To byłoby dziwne. Przecież nie jest to teren myśliwski żadnego indiańskiego szczepu. Dlaczego myślisz, że to Indianin?

— Ze śladów kopyt poznają indiańską tresurę.

— Ale przecież indiańskiego konia mógł dosiadać biały.

— Można i tak przypuszczać, ale... ale...

Potrząsnął głową, szedł przez parę chwil za śladem i zawołał:

— Chodź za mną! Rumak był nie podkuty i bardzo zmęczony, a jednak musiał pędzić galopem. A więc jeździec bardzo się śpieszył.

W tej chwili Davy zsiadł z muła. Rezultat badań kolegi był poważny i skłaniał go do podjęcia badań na własną rękę. Szedł za towarzyszem, a zwierzęta stapały za nimi, jakby też były ciekawe i chciały badać ślady.

Zrównawszy się z Jemmym, Davy ruszył wzdłuż tropu.

— Masz rację — rzekł po chwili. — Zwierzę istotnie było zmachane, gdyż często się potykało. Nader ważne powody musiały skłaniać jeźdźca do wypędzania tchu z biednego konia. Więc albo uciekał przed pościgiem, albo bardzo się śpieszył do celu.

— To ostatnie jest słuszne.

— Jak to?

— Jak stary jest trop?

— Nie ma jeszcze dwóch godzin.

— Podzielam twoje zdanie. Nie widać śladów prześladowców. Jednak jeżeli ktoś ma przewagę dwóch godzin, czy musi na śmierć zajeżdżać rumaka? Poza tym jest tu tyle rozrzuconych skał, że nietrudno wyprowadzić prześladowców na manowce zakreślając niepostrzeżenie łuk lub jadąc w koło. Czy nie tak?

— Tak. Nam na przykład wystarczy dwie minuty fory, aby odesłać prześladowców do domu z długimi nosami i sztywnymi rękami. Ten jeździec musiał za wszelką cenę dotrzeć szybko do celu. Ale gdzie należy go szukać?

— W każdym razie niedaleko stąd.

Długi ze zdziwieniem spojrział na Grubego.

— Jesteś dzisiaj naprawdę wszechwiedzący! — rzekł.

— Aby to odgadnąć nie trzeba być wszechwiedzącym. Wystarczy troszkę pomyśleć.

— Tak, ale i ja myślę! Niestety, nadaremnie.

— Nic dziwnego.

— Dlaczego?

— Jesteś za długi. Zanim myśl dojdzie od tropu do głowy, mogą upłynąć lata. Twierdzą, że cel tej jazdy nie jest zbyt odległy, w przeciwnym bowiem razie jeździec oszczędzałby konia.

— Tak? Słyszę uzasadnienie, ale nie mogę go pojąć.

— No, zastanów się, gdyby ten człowiek miał do odbycia jeszcze dzień jazdy, musiałby dać koniowi bezwzględnie kilkugodzinne wytchnienie, a dopiero potem nadrabiałby zwłokę. Natomiast jeżeli cel był bliski, to jeździec mógł ufać, że mimo zmęczenia, koń dobiegnie tam jeszcze dzisiaj.

— Posłuchaj, mój stary Jemmy, to co mówisz, brzmi nawet dość prawdopodobnie. Po raz drugi przyznaję ci słuszność.

— Ta pochwała jest zbyt duża. Kto włóczył się przez trzydzieści lat po sawannach, ten mógł wpaść także choć raz na mądrą myśl. Nasz jeździec jest niewątpliwie gońcem. Czas naglił. Miał bardzo ważną misję. Indianin tutaj, na tym ustroniu, jest według wszelkiego prawdopodobieństwa gońcem między czerwonoskórymi i dlatego utrzymuję, że w pobliżu są

także inni Indianie.

Długi Davy gwizdnął cicho i potoczył wzrokiem dokoła.

— Fatalnie, w najwyższym stopniu fatalnie! — mruknął. — Ten drab przybywa od Indian i mknie do Indian. A więc znaleźliśmy się pomiędzy nimi nie wiedząc, gdzie sterczą. Łatwo możemy natknąć się na jakiś obóz i nasze skalpy będziemy mogli zanieść na jarmark.

— Należy się tego obawiać. Musimy jechać tropem.

— Słusznie. W takim wypadku my wiemy, że oni są przed nami, ale oni nie wiedzą o nas, a zatem mamy nad nimi przewagę. Ale jestem ciekaw, z jakiego szczepu jest ten Indianin?

— Ja także. Nie sposób odgadnąć. Tam na górze, w północnej Montanie mieszkają Czarne Stopy, Piganowie i Indianie Kiowa. Ale oni nie schodzą do nizin. Nad Missouri obozują Riccarees, którzy tak samo nie mają tu nic do szukania. Siuksowie? Hm! Czy słyszałeś, żeby ostatnio wykopali topór wojenny?

— Nie.

— Nie będziemy teraz zachodzić w głowę, ale musimy być ostrożni. Znajdujemy się na terenie, który znamy i jeśli nie popełnimy głupstw, nic złego nie może nam się stać. Chodź!

Dosiedli wierzchowców i pojechali tropem nie spuszczać zeń oka, ale jednocześnie oglądając się na wszystkie strony, aby zawczasu dojrzeć ewentualne niebezpieczeństwo.

Upłynęła może godzina i słońce schyliło się jeszcze niżej. Wiatr wzmagał się, a skwar dnia zmniejszał się coraz bardziej. Niebawem spostrzegli, że Indianin jechał stępa. Na nierównym miejscu jego koń potknął się i runął na kolana. Jemmy zeskoczył na ziemię i zaczął badać miejsce.

— Tak, to Indianin — oznajmił ostatecznie. — Zeskoczył na ziemię. Mokasyny miał ozdobione szczecina jeża morskiego. A tu leży odłamana igła. A tu... ach, ten drab musiał być jeszcze bardzo młody.

— A to czemu? — zapytał Długi, który został na mule.

— To miejsce jest piaszczyste, wskutek czego stopa zostawiła dokładny odcisk. Jeśli przyjąć, że to nie była squaw<sup>[5]</sup>...

— Pleciesz bzdury! Kobieta sama nie zapuściłaby się tutaj.

— W takim razie jest to młokos, prawdopodobnie najwyżej osiemnastoletni wyrostek.

— Tak, tak! To brzmi groźnie. U niektórych plemion właśnie tacy młokosi są wywiadowcami. Musimy się mieć na baczności.



Ruszyli dalej. Dotychczas jechali po kwietnej prerii, teraz jednak gdzieniegdzie ukazywały się krzewy, z początku pojedyncze, a potem w grupach. Z dala wznosiły się drzewa.

Przybyli na miejsce, gdzie widać było, że jeździec na krótki czas zeskoczył z konia, aby dać mu odpocząć, następnie pieszo poszedł naprzód, prowadząc zwierzę za uzdę.

Coraz częstsze krzaki nie pozwalały ogarnąć wzrokiem całej okolicy, wobec czego trzeba było podwoić ostrożność. Davy jechał na przedzie, a Jemmy za nim. Naraz Gruby rzekł:

— Wiesz, Długi, to był kary rumak.

— Tak? A skąd wiesz?

— Tu na krzewie wisi włos wyrwany z ogona.

— Ach! A więc wiemy coś jeszcze, jednak nie rozmawiajmy tak głośno! Łatwo możemy się natknąć na ludzi, których zobaczymy nie wcześniej aż umrzemy od ich kul.

— Nie boję się tego. Mogę polegać na moim rumaku. Parsknie, kiedy zwącha wroga. A zatem spokojnie naprzód!

Długi Davy ruszył naprzód, aby się po chwili zatrzymać.

— Do wszystkich diabłów! — krzyknął. — Coś się tutaj zdarzyło!

Grubas rozpedził konia i po kilku krokach znalazł się poza krzakami. Przed nim wznosiła się jedna z wielu stożkowatych skał, których było tu mnóstwo. Ślad zmierzał aż do tej skały i wił się koło niej, po czym naraz odbiegał na prawo pod kątem ostrym. Obaj myśliwi spostrzegli to od razu, ale zobaczyli jeszcze coś: mianowicie z drugiej strony skały wybiegały inne ślady, które następnie zeszyły się z tropem Indianina.

— Co o tym myślisz? — zapytał Davy.

— Że za tą skałą obozowali jacyś ludzie, którzy ujrawszy Indianina, zaczęli go ścigać.

— Słusznie. Być może są już z powrotem.

— Albo może część z tych ludzi została za skałą. Zatrzymaj się w zagajniku! Wsunę nos do tego kąta.

— Nie wsuwaj go przypadkiem do naładowanej flinty, bo może wystrzelić!

— Ani myślę, gdyż twój nochal bardziej by się do tego nadawał. Zeskoczył z konia i oddał Długiemu cugle kłusaka, po czym co sił pomknął ku skale.

— Szczwany lis! — wykrzyknął zadowolony Davy. — Podkradanie się wymagałoby za wiele czasu. Trudno wprost uwierzyć, że ten grubasek potrafi tak biegać!

Przybywszy do skały, westman powoli i ostrożnie posuwał się naprzód i znikł za

wysuniętym rogiem. Ale wkrótce znów się ukazał i mrugnął na Długiego, ramieniem opisując łuk w powietrzu. Davy zrozumiał, że nie powinien jechać wprost do skały, podążył więc drogą okrężną przez zagajnik aż natrafił na ślady, które poprowadziły go do Jemmy'ego.

— Co powiesz? — zapytał Mały wskazując przed siebie.

— Niedawno był tu rozbity obóz. Na ziemi leżało jeszcze kilka żelaznych garnków, wiele motyk i łopat, młynek do kawy, moździerz, rozmaite małe i większe paczki — nie widać tu jednak ani śladu ogniska.

— No, nie — odparł zagadnięty potrząsając głową — ci, którzy się tutaj zagospodarowali tak wygodnie, są zapewne bardzo nierozsądnymi ludźmi, albo też nie mają zielonego pojęcia o Dzikim Zachodzie. Widać ślady piętnastu koni, ale żaden z nich nie miał spętanych nóg. Jak się wydaje, niektóre były juczne. Te także pojechały. Ale dokąd? Zupełnie niezdarne gospodarstwo! Należałoby tych gospodarzy porządnie obić.

— Tak, zasłużyli na to. Z takim zasobem doświadczeń puszczać się na Dziki Zachód! Wprawdzie nie każdy mógł być w gimnazjum...

— Jak ty — wtrącił Davy.

— Tak, jak ja. Ale trochę dowcipu i rozumu każdy powinien posiadać. Nic nie podejrzewający Indianin zbliżył się do skały, zobaczył ich i uznał za stosowne wyminąć, ale niestety, cała czereda puściła się za nim w pościg.

— Czy obejdą się z nim wrogo?

— Naturalnie, przecież inaczej nie ścigaliby go wcale. Dla nas może to mieć przykre następstwa. Czerwonoskórzy nie bardzo się martwią czy ich zemsta trafia winnego czy niewinnego.

— Musimy więc co prędzej ich doścignąć i zapobiec nieszczęściu!

— Tak. Niedługo będziemy musieli pędzić, gdyż Indianin nie ujechał daleko na swoim wyczerpanym koniu.

Ponownie dosiedli wierzchowców i galopem pomknęli śladem pomnożonym teraz wieloma odciskami kopyt, wybiegającymi na prawo i lewo, a pochodzącymi od jucznych koni. Po krótkiej chwili Jemmy osadził konia. Usłyszał jakieś głosy i zaszył się w zagajnik. Davy postąpił tak samo. Obaj wyteżyli słuch. Słyszeli gwar wielu głosów.

— To oni — oświadczył Mały. — Głosy się nie zbliżają, a więc oddział nie wraca. Czy podkradniemy się, Davy?

— A jakże. Najpierw zwiążmy naszym rumakom przednie nogi tak, żeby mogły robić tylko małe krocзки.

— Nie, to nas może zdradzić. Musimy je tak przywiązać, żeby nie mogły ruszyć się z miejsca.

A więc obaj nierozłączni przyjaciele przywiązali swoje zwierzęta do krzewów i skradali się w kierunku, skąd dobiegały głosy. Niebawem dotarli do rzeczki, a raczej strumyka, teraz bardzo płytkiego, chociaż wysokie brzegi świadczyły o tym, że rozlewał się tutaj ogrom wody. Strumyk zakreślał łuk. Wewnątrz łuku stało i siedziało dziewięciu dziko wyglądających młodych ludzi. Pośrodku leżał młody Indianin o tak związanych kończynach, że nie mógł się poruszyć. Po drugiej stronie strumyka, nad wysokim brzegiem, leżał rumak czerwonoskórego, drżąc i dysząc ciężko. Konie prześladowców stały w pobliżu swoich panów.

Mężczyźni nie sprawiali dobrego wrażenia. Prawdziwy westman z pierwszego rzutu oka mógł się domyślić, że ma przed sobą szajkę z gatunku tych, z którymi na Zachodzie rozprawia się sędzia Lynch<sup>[6]</sup>.

Jemmy i Davy przykucnęli za krzewami i przyglądali się całej scenie. Mężczyźni rozmawiali po cichu. Zapewne naradzali się nad losem jeńca.

— Jak ci się podobają? — zapytał szeptem Gruby.

— Tak samo jak tobie, to znaczy, że wcale.

— Gęby do policzkowania! Żal mi tego biednego czerwonego chłopca. Do jakiego plemienia byś go zaliczył?

— Trudno powiedzieć. Nie jest wymalowany, nie ma też żadnych innych oznak. Jest rzeczą pewną, że nie jechał ścieżką wojenną. Czy weźmiemy go pod opiekę?

— Oczywiście, gdyż nie sądzę, aby dał jakiś powód tym ludziom do wrogich wystąpień. Chodź, zamienimy z nimi kilka słów!

— A jeśli nas nie usłuchają?

— W takim razie mamy do wyboru dwie rzeczy: albo użyć siły, albo chytrą zmusić ich do posłuszeństwa. Nie boję się tych drabów, ale czasem nawet kula tchórzliwego łotra trafia. Nie damy po sobie poznać, że przyjechaliśmy na koniach, poza tym nadejdziemy z przeciwnej strony rzeczki, aby nie wiedzieli, że odwiedziliśmy ich obóz.

\* \* \*

Obaj myśliwi wzięli do rąk strzelby i podkradli się okreżną drogą do strumyka. Weszli do wody, przeszli przez nią i wspięli się na przeciwległy brzeg. Teraz znów zakreślili łuk i dotarli do strumyka w miejscu, gdzie się znajdowali nieznajomi. Ujrzawszy ich zaczęli udawać, że są zdumieni obecnością ludzi.

— Halloo! — zawołał Gruby Jemmy. — Cóż to takiego? Sądziłem, że jesteśmy tu sami na tej błogosławionej ziemi, a oto natrafiamy na cały meeting<sup>[7]</sup>! Mam nadzieję, że wolno nam będzie wziąć w nim udział.

Ludzie leżący na trawie zerwali się na równe nogi i razem z innymi wbili spojrzenia w obu przybyłych. W pierwszej chwili zdawało się, że nie byli ucieszeni tą niespodziewaną wizytą, ale obejrzawszy postacie i ubiór obu myśliwych, wybuchnęli grzmiącym śmiechem.

— Thunder storm<sup>[8]</sup>! — odezwał się jeden z nich, który dźwigał na sobie cały magazyn broni. — Cóż to takiego? Czy urządzenie podczas pełnego lata zapusty i maskaradowe zabawy?

— A tak! — potwierdził Długi. — Brakuje nam jeszcze kilku błaznów, dlatego przychodzimy do was.

— W takim razie przyszlście pod zły adres.

— Nie sądzę!

Mówiąc to jednym krokiem swych długich nóg przeprawił się przez wodę, wspiął na brzeg i stanął przed swoim rozmówcą. Grubas w dwóch susach stanął przy nim i rzekł:

— Tak, to my. Good day, gentlemen<sup>[9]</sup>! Czy nie macie przypadkiem dobrego trunku?

— Oto woda! — brzmiała odpowiedź nieznajomego, który wskazał jednocześnie na strumyk.

— Fe! Czy sądzi pan, że zechcę zmoczyć się wewnątrz? Ani się to śni wnukowi mego dziadka. Jeżeli nie macie nic lepszego, to możecie spokojnie wracać do domu, gdyż tak piękne ustronie nie jest dla was odpowiednim miejscem!

— Czy pan uważa prerię za szynk?

— No tak! Pieczenie latają koło nosa. Trzeba je tylko kłaść na ogień.

— Panu, zdaje się, to bardzo dogadza!

— Myślę! — roześmiał się Jemmy gładząc się po brzuchu.

— A czego pan ma zbyt wiele, tego zdaje się, brak pańskiemu towarzyszowi.

— Ponieważ dostaje tylko połowę wikt. Nie muszę mu dorzucać jada, żeby na tym nie straciła jego uroda, gdyż zabrałem go ze sobą jako straszycło, aby odganiać od siebie

niedźwiedzie i Indian. Ale za pańskim pozwoleniem, panie... co pana właściwie sprowadziło do tej pięknej wody?

— Nic nas nie sprowadziło. Sami znaleźliśmy drogę.

Towarzysze roześmieli się z tej odpowiedzi, którą uważali za bardzo dowcipną. Ale Gruby Jemmy rzekł całkiem poważnie:

— Tak? Naprawdę? Tego. bym się po panu nie spodziewał, gdyż pańska twarz nie wskazuje na to, abyś mógł bez pomocy znaleźć drogę.

— A pańskie oblicze stwierdza, że nie zobaczyłbyś drogi nawet wtedy, gdyby ci do niej nos przytknięto. Jak dawno właściwie opuścił pan szkołę?

— Nie byłem jeszcze w szkole, gdyż nie osiągnąłem wymaganej miary, ale spodziewam się nauczyć od pana tyle, że przynajmniej będę mógł powtórzyć tabliczkę mnożenia Zachodu. Czy chce pan być moim nauczycielem?

— Nie mam czasu. W ogóle mam ważniejsze sprawy na głowie niż nakładanie ludziom rozumu do głów.

— Tak! Cóż to za sprawy?

Obejrzał się i udając, że dopiero teraz ujrzał Indianina, zawołał:

— Co widzę! Czerwonoskóry jeniec!

Cofnął się jakby przerażony. Mężczyźni roześmieli się, a ten, który dotychczas rozmawiał i był zapewne przywódcą, rzekł:

— Nie wpadaj w omdlenie, sir! Kto jeszcze nigdy w życiu nie widział takiego draba jak ten, tego łatwo może ogarnąć niebezpieczny strach. Tylko z biegiem czasu można się oswoić z takim widokiem. Założę się, że nie spotkał pan jeszcze w życiu Indianina?

— Widziałem już niektórych ucywilizowanych, ale ten wydaje się dziki.

— Tak, nie zbliżaj się do niego za bardzo!

— Czy to tak straszne? Przecież jest związany...

Chciał się zbliżyć do jeńca, ale herszt zastąpił mu drogę:

— Wara od niego! Niech on pana nie obchodzi! Poza tym muszę pana wreszcie spytać kim pan jest i czego chce.

— Możecie się bezzwłocznie dowiedzieć. Mój przyjaciel nazywa się Kroners, a ja Pfefferkorn. My...

— Pfefferkorn? Czy to nie jest nazwisko szwabskie?

— Za pozwoleniem pańskim, owszem.

— A niech was licho! Nie znoszę ludzi z waszej zgrai!

— To rzecz pańskiego gustu, który nie zakosztował niczego dobrego. A co do zgrai, to proszę mnie nie mierzyć według własnej miarki!

Powiedział to zupełnie innym tonem niż dotychczas. Nieznajomy zmarszczył brwi i zapytał groźnie:

— Co pan przez to rozumie?!

— Prawdę. Nic ponadto.

— Za kogo pan nas ma? Wyciągnij pan nóż!

Sam chwycił za nóż, który tkwił za pasem. Jemmy machnął pogardliwie ręką i odparł:

— Pozostaw w spokoju swój nóż, sir! Nie przerazisz nas. Obszedł się pan ze mną po grubiańsku, nie powinienes się więc spodziewać, że cię opryskani wodą kolońską. Nic na to nie poradzę, że się panu nie podobam i ani myślę dla pańskich kaprysów ubierać się na tym odludziu we frak i rękawiczki. Tu nie strój jest ważny, ale człowiek. Odpowiedziałem na pańskie pytanie, a teraz ja chcę wiedzieć kim wy jesteście.

Nieznajomi byli zdumieni pełnym godności tonem Małego. Wprawdzie niektórzy chwycili za noże, ale mężna postawa grubasa stropiła ich całkiem. Przywódca odpowiedział:

— Nazywam się Brake, to wystarczy. Nazwisk ośmiu pozostałych i tak nie zdołacie zapamiętać.

— Zapamiętać — owszem, ale skoro pan sądzi, że mogę ich nie znać, ma pan słusność. Dość mi pańskiego nazwiska, bo kto spojrzy na pana, od razu domyśla się, jakiego ducha dziećmi są pozostali.

— Człowieku! Czy to obelga? — krzyknął Brake. — Czy chce pan, żebyśmy chwycili za broń?

— Nie radzę! Mamy dwadzieścia cztery strzały rewolwerowe i dostaniecie przynajmniej połowę zanim zdążycie skierować w nas swoje pukawki. Uważacie nas za nowicjuszy, ale mylicie się bardzo. Jeśli chcecie spróbować — owszem, nie mam nic przeciwko temu!

Z błyskawiczną szybkością wyciągnął oba swoje rewolwery, a i Długi Davy nie pozwolił się ubiec. Gdy Brake sięgnął po swoją strzelbę leżącą na ziemi, Jemmy ostrzegł:

— Zostaw flintę na miejscu! Jeśli jej dotkniesz, spotkasz się z moją kulą. Tak brzmi prawo prerii. Kto pierwszy spuści kurek, ten ma prawo, ten rozkazuje!

Nieznajomi byli tak nieroztropni, że widząc zbliżających się obcych, nie podnieśli broni. Teraz nie wazyli się jej tknąć.

— Do diabła! — zaklął Brake. — Następujcie na nas tak, jak byście chcieli nas wszystkich połknąć!

— Wcale nie mamy takiego zamiaru. Jesteście za mało dla nas apetyczni. Chcemy się tylko dowiedzieć co złego zrobił wam ten Indianin.

— Co to was obchodzi?

— Bardzo nas to obchodzi. Jeżeli schwytałście go bez powodu, ściągacie niebezpieczeństwo zemsty na każdego niewinnego białego. A więc dlaczego go schwytałście?

— Bo tak nam się podobało. To jest czerwony hultaj. To dostateczny powód.

— Ta odpowiedź nam wystarczy. Wiemy teraz, że ten człowiek nie dał powodu do wrogiego wystąpienia. Zresztą, zapytam też jego.

— Zapytać? Jego? — roześmiał się szyderczo Brake i cała kompania mu zawtórowała. — Nie rozumie ani słowa po angielsku i mimo dotkliwej chłosty nie odpowiedział nawet słówkiem.

— Chłostałście go! — zawołał Jemmy. — Czyście oszaleli? Chłostać Indianina! Czy wiecie, że to jest obelga, którą można zmyć tylko krwią?

— Chcielibyśmy zobaczyć kiedy utoczy nam krwi. Jestem ciekaw jak się do tego weźmie.

— Pokaże wam, gdy będzie wolny.

— Nigdy już nie będzie wolny.

— Czy zamierzacie go zabić?

— Co z nim zrobimy, niech pana głowa nie boli. Należy tępić czerwonoskórych, gdziekolwiek się ich spotyka. Oto nasza odpowiedź. A jeśli chcecie, zanim się stąd ulotnicie, rozmawiać z tym drabem — i owszem, nie mam nic przeciwko temu. Nie zrozumie was, a wy wcale nie wyglądacie na profesorów języka indiańskiego. Jestem bardzo ciekaw tej rozmowy.

Jemmy wzruszył pogardliwie ramionami i zwrócił się do Indianina.

Chłopak leżał z półotwartymi oczami. Nie zdradzał ani spojrzeniem, ani miną, że przysłuchuje się rozmowie, że ją rozumie. Był bardzo młody. Miał, być może, jak określił to Gruby, osiemnaście lat. Miał długie, proste włosy. Nie zdobiła go żadna oznaka plemienna. Twarz nie była pomalowana, a głowa nie była pokryta ochrą ani cynobrem. Nosił koszulę myśliwską z miękkiej skóry i legginy<sup>[10]</sup> z jeleniej skóry z frędzlami w szwach. Pośród tych frędzli nie było widać ani jednego włosa ludzkiego — znak oczywisty, że młodzieniec nie zabił

jeszcze człowieka. Ozdobne mokasyny upiększył szczecina morskiego jeża, jak to słusznie przypuszczał Jemmy. Na drugim brzegu, gdzie koń Indianina stał już nad rzeką i chciwie pił wodę, leżał długi nóż myśliwski, a u siodła wisiał obciążony skórą grzechotnika kołczan i łuk, sporządzony z rogów górskich owiec, który zapewne wart był dwóch czy trzech mustangów. To skromne uzbrojenie dowodziło pokojowych zamiarów Indianina.

Oblicze jeńca było kamienną maską. Czerwonoskóry jest zbyt dumny, aby wobec obcych, a tym bardziej wobec wrogów, ujawniać swoje uczucia. Rysy jeńca cechowała młodzieńcza miękkość. Wprawdzie jego kości policzkowe występowały nieco naprzód, ale to nie zakłócało proporcji. Gdy Jemmy podszedł, Indianin po raz pierwszy otworzył całkowicie oczy. Były czarne i błyszcząły jak węgle. Spojrzały przyjaźnie na myśliwego.

— Mój młody brat rozumie język białych twarzy? — zapytał Jemmy po angielsku.

— Tak, odparł zapytany. — Skąd mój starszy brat wie o tym?

— Poznałem z twojego spojrzenia, że zrozumiałeś naszą rozmowę.

— Słyszałem, że pan jest przyjacielem czerwonoskórych. Jestem twoim bratem.

— Mój młody brat zechce powiedzieć, czy posiada imię?

Podobne pytanie zadane starszemu Indianinowi jest ciężką obelgą, ponieważ Indianin nie posiadający imienia, nie wyróżnił się jeszcze żadnym czynem i nie zalicza się do wojowników. Lecz Jemmy mógł sobie pozwolić na to pytanie ze względu na wiek jeńca, który po chwili odparł:

— Czy mój dobry brat myśli, że jestem gnuśny?

— Nie, ale jesteś jeszcze bardzo młody.

— Biali nauczyli czerwonoskórych młodo umierać. Niech mój brat rozewrze mi koszulę i przekona się, że posiadam imię.

Jemmy nachylił się nad Indianinem i odchylił koszulę. Wyciągnął trzy czerwono zabarwione pióra wojennego orła.

— Coś takiego! — krzyknął. — Przecież nie możesz być wodzem!

— Nie — uśmiechnął się młodzieniec. — Wolno mi nosić pióra mah-sisz, ponieważ nazywam się Wohkadeh.

Oba te słowa należą do narzecza Mandanów. Pierwsze oznacza wojennego orła, drugie jest nazwą skóry białego bawołu. Ponieważ te zwierzęta należą do rzadkości, więc upolowanie takiego bawołu u wielu plemion znaczy więcej niż zabicie licznych wrogów i nawet uprawnia do



noszenia piór wojennego orła, mah-sisz. Młody Indianin upolował białego bawołu i otrzymał imię Wohkadeh.

Nie było w tym jeszcze nic zadziwiającego. Jemmy i Davy zdumieni się dlatego, że słowa te należały do narzecza mandańskiego. Przecież Mandanowie uchodzą za wymarłych. Zdziwiony Mały zapytał:

— Do jakiego plemienia należy mój czerwony brat?

— Jestem Numangkake, a zarazem Dakota.

Mandanowie sami siebie nazywali Numangkake, a Dakota jest zbiorową nazwą wszystkich plemion Siuksów.

— A więc zostałeś wychowany przez Dakotę?

— Mój biały brat mówi słusznie. Bratem mojej matki był wielki wódz Mah-to-toh-pah. Imię jego wskazuje, że zabił cztery niedźwiedzie. Przyszli biali mężowie i przynieśli ospę. Całe moje plemię wymarło, prócz nielicznych, którzy pragnąc towarzyszyć swoim braciom do Wiecznych Ostępów, rozjuszyli Siuksów i zostali przez nich zabici. Mój ojciec, mężny Wah<sup>[11]</sup>, został tylko ranny. Zmuszono go, aby stał się przybrany synem Siuksów. Wskutek tego jestem Dakota, ale moje serce pamięta przodków, których Wielki Duch zawezwał do siebie.

— Siuksowie przebywają teraz po tamtej stronie gór. Czemu więc przybyłeś tutaj?

— Nie wyruszyłem z gór, o których myśli mój brat, ale z wysokich gór zachodnich, z ważnym poselstwem do pewnego białego brata.

— Czy mieszka gdzieś tutaj, w pobliżu?

— Tak. Ale skąd mój biały brat wie o tym?

— Szedłem za twoim tropem i poznałem, że pędziłeś co koń wyskoczy, jak ktoś, kto zbliża się do celu.

— Słusznie. Byłbym już teraz na miejscu, ale ci biali rzucili się za mną w pościg. Mój koń był zbyt wyczerpany, by przeskoczyć przez wodę. Runął na brzegu przygniatając swoim ciężarem Wohkadeha, który zemdłał. Gdy się ocknął, był już związany rzemieniami. — I dodał w języku Siuksów: — To są tchórze. Dziewięciu mężczyzn pęta nieprzytomnego chłopca! Gdybym mógł z nimi walczyć, miałbym ich skalpy.

— Bili cię?

— Nie mów o tym, bo te słowa pachną krwią! Mój biały brat uwolni mnie z pęt, a wtedy Wohkadeh obejdzie się z nimi jak mężczyzna.

Mówił to z taką pewnością, że Gruby Jemmy zapytał z uśmiechem:

— Czy nie słyszałeś, że nie mogę im rozkazywać?

— O, mój biały brat nie boi się nawet setki podobnych ludzi! Każdy z nich jest wakon kaneb — starą kobietą. Wohkadeh ma oczy otwarte. Słyszałem często rozmaite opowieści o dwóch znakomitych białych wojownikach zwanych Davy-honskeh i Jemmy-petahtszeh<sup>[12]</sup>. Poznałem was z powierzchowności i mowy.

Biały myśliwy chciał odpowiedzieć, ale uprzedził go Brake:

— Stój, człowieku! Tak się nie umawialiśmy! Pozwoliłem ci rozmawiać z tym drabem, ale tylko po angielsku! Nie mogę ścierpieć waszej niezrozumiałej mowy. Kto wie, czy nie knujecie jakiegoś planu przeciwko nam. Zresztą, wystarczy, że się dowiedzieliśmy, że ten czerwony diabeł włada angielskim. Nie potrzebujemy was więcej i możecie wziąć nogi za pas i odejść skąd przyszlście. A jeśli będziecie się ociągać, to ja przyprawię wam nogi!

Spojrzenie Jemmy'ego strzeliło ku Davy'emu, ten zaś mrugnął tak, aby nikt tego nie zauważył prócz Grubego. Długi zwrócił uwagę swojego towarzysza na boczny zagajnik. Jemmy skierował spojrzenie w tym kierunku i zobaczył lufy dwóch dubeltówek, wystające zza gałęzi tuż nad ziemią. A zatem leżeli tam dwaj ludzie. Ale jacy? Przyjaciele czy wrogowie? Beztraska Davy'ego uspokoiła go. Odpowiedział Brake'owi:

— Chciałbym ujrzeć nogi, które nam pan przyprawi. Nie mam bynajmniej takiego powodu do szybkiej ucieczki jak panowie.

— Jak my? A przed kim mamy uciekać?

— Przed tymi, czyją własnością były jeszcze wczoraj te dwa rumaki. Zrozumiano?

Mówiąc to wskazał na dwa białe konie stojące obok siebie.

— Co? — zawołał Brake. — Za kogo pan nas uważa? Jesteśmy uczciwymi poszukiwaczami złota! Jedziemy do Idaho, gdzie odkryto nowe kopalnie kruszcu.

— A ponieważ brakowało wam do tej podróży koni, więc zamieniliście się w uczciwych koniokradów! Nas nie oszukacie!

— Człowieku, jeszcze słowo, a strzelę! Zapłaciliśmy za te wszystkie konie. Kupiliśmy je!

— A gdzie, mój uczciwy Mr Brake?

— W Omaha.

— Tak. A tam nabyliście również zapas czerni do podków? Czemu oba gniadosze są tak świeże jak gdyby dopiero co wyszły ze stajni? Czemu mają czernione podkowy, podczas gdy

pozostałe konie są zmęczone i chodzą w zaniedbanych pantoflach? Powiadam wam, oba rumaki jeszcze wczoraj miały innych właścicieli, a kradzież koni jest tu, na Zachodzie, karana stryczkiem.

— Kłamco! Oszczyrco! — ryczał Brake nachylając się po broń.

— Nie, on ma słuszość! — rozległ się głos z zagajnika. Jesteście koniokradami i zostaniecie ukarani. Zastrzelimy ich, Marcinie!

— Nie strzelać! zawołał Długi Davy. — Bijcie kolbami! Nie warci waszych kul!

Mówiąc to uderzył kolbą Brake'a, który natychmiast runął na ziemię i stracił przytomność. Z zagajnika wyskoczyły dwie postacie: dziarski chłopak i mężczyzna. Z podniesionymi strzelbami rzucili się na rzekomych poszukiwaczy złota.

Jemmy nachylił się i dwoma cięciami uwolnił Wohkadeha. Indianin zerwał się na równe nogi, skoczył na jednego z wrogów, ujął go za kark, powalił i cisnął na drugi brzeg, gdzie leżał jego nóż. Nikt nie spodziewałby się po nim takiej siły. W jednej chwili skoczył na swoją ofiarę, schwycił prawą ręką nóż, ukląkł na wrogu i lewą ręką chwycił za czub.

— Help! Help! For God's sake, help!<sup>[13]</sup> — wrzeszczał przerażony biały. Wohkadeh podniósł nóż do śmiertelnego ciosu. Jego błyszczące oczy spoczęły na wykrzywionej przerażeniem twarzy wroga — i ręka z nożem opadła.

— Boisz się? — zapytał.

— Tak! O przebaczenia, o łaski!

— Powiedz, że jesteś psem!

— Chętnie, bardzo chętnie! Jestem psem!

— Żyj więc we własnej hańbie. Indianin umiera odważnie i bez skargi, a ty błagasz zlitowania! Wohkadeh nie może nosić skalpu psa. Biłeś mnie, za to skóra twojej czaszki należy do mnie, ale parszywy pies nie może obrazić Indianina. Uciekaj! Wohkadeh brzydzi się tobą!

Kopnął go nogą. Niebawem biały zniknął wszystkim z oczu. Wszystko odbyło się szybciej niż można opowiedzieć. Brake leżał na ziemi, trzej inni przy nim. Pozostali czym prędzej umknęli nie zabierając nawet broni. Konie pobiegły za nimi. Oba gnadosze stały spokojnie i ocierały się o plecy białych, którzy nagle wyszli z zagajnika.

Chłopiec — Marcin — mógł mieć niewiele ponad szesnaście lat, ale był ponad wiek rozwinięty. Jasny odcień skóry, blond włosy, szaroniebieskie oczy świadczyły o niemieckim pochodzeniu. Głowę miał odkrytą, a na sobie miał niebieskie ubranie. Za pasem sterczał nóż,

którego rękojeść była dziełem sztuki indiańskiej, a dubeltówka, którą trzymał w ręku, wydawała się dla niego zbyt ciężka. Policzki zarumieniły się na skutek walki, ale on sam pozostał tak spokojny, jak gdyby nic się nie stało. Można było sądzić, że tego rodzaju sceny były dla niego powszednią rzeczą.

Zupełnie inaczej wyglądał jego towarzysz, mały, wąty człowiek o twarzy pozbawionej zarostu. Nosił indiańskie obuwie i skórzane spodnie, a do tego ciemnobłękitny frak o bufiastych rękawach i błyszczących, mosiężnych guzikach. Ten przydziejewek pochodził zapewne z czasów praprzodków. Wtedy to wyrabiano takie sukno, które miało starczyć na wieki. Wprawdzie frak był wypłowiały i w szwach zabarwiony atramentem, ale nie widać było na nim ani jednej dziurki. Takie stare ubiory spotyka się na Dzikim Zachodzie dosyć często.

Na głowie nosił ogromny czarny kapelusz zwany "Amazonką" i ozdobiony wielkim, żółtym, fałszywym strusim piórem. Przed laty ten pyszny kapelusz należał do jakiejś damy ze Wschodu, ale filuterny przypadek zapędził go na Daleki Zachód. Ponieważ niezwykle obszerne kresy chroniły przed deszczem i spiekotą, więc obecny posiadacz nie zawahał się umieścić go na głowie. Broń nieznanego składała się ze strzelby i noża. Nie nosił nawet pasa, co świadczyło, że nie wybrał się na dalekie łowy.

Chodził po tym bezkrwawym pobojuwisku i przyglądał się przedmiotom pozostawionym przez wrogów ogarniętych paniką. Utykał przy tym na lewą nogę — Wohkadeh pierwszy zwrócił na to uwagę. Podszedł do niego, położył mu rękę na ramieniu i zapytał:

— Czy mój starszy brat jest myśliwym, którego biali nazywają Hobble-Frankiem?

Mały jegomość, nieco zaskoczony, kiwnął głową i potwierdził po angielsku. Wtedy Indianin wskazał na chłopca i zapytał:

— A to jest Marcin Baumann, syn słynnego Mato-poki?

Mato-poka w narzeczu Siuksów i Utahów oznacza myśliwego polującego na niedźwiedzie.

— Tak — odparł zapytany.

— A więc właśnie was szukam.

— Nas? Czy może chcesz coś kupić? Mamy sklep i handlujemy wszystkim, czego potrzebuje myśliwy.

— Nie. Przybywam do was z poselstwem.

— Od kogo?

Indianin obejrzał się dokoła badawczo, po czym odparł:

— To nie jest odpowiednie miejsce. Przecież wasz wigwam znajduje się w pobliżu nad rzeką?

— Możemy tam być za godzinę.

— A więc jedźmy! Gdy usiądziemy przy waszym ognisku, powiem, co mam do powiedzenia. Chodźmy!

Przeskoczył przez wodę, przepawił swojego konia, dosyć już wypoczętego i jako tako gotowego do drogi, dosiadł go i pojechał nie oglądając się nawet, czy pozostali mu towarzyszą.

— Ten się szybko decyduje! — orzekł Hobble-Frank.

— Czy ma wyciąć perorę dłuższą i cieńszą niż ja? — roześmiał się Długi Davy. — Taki czerwonoskóry dobrze wie co robi. Radzę wam jechać za nim w te pędy.

— A wy? Co wy będziecie robić?

— Jedziemy z wami. Skoro wasz pałac znajduje się tak blisko, byłoby z waszej strony nikczemną niegodziwością nie zaprosić nas na łyk czegoś dobrego i dwa kęski mięsiwa. Ponieważ posiadacie kram, więc damy wam utargować kilka dolarów.

— Tak. A więc macie, przy sobie kilka dolarów? — zapytał mały tonem, który świadczył, że bynajmniej nie uważa obu myśliwych za milionerów.

— Nad tym będzie się pan zastanawiał, kiedy zechcę coś kupić. Zrozumiano?

— Hm, tak, oczywiście. Ale jeśli stąd odjedziemy, to co się stanie z tymi łotrami, którzy skradli nam konie? Czy przynajmniej ich przywódcy Brake'owi nie zostawimy jakiegoś upominku, aby mu o nas przypominał po wsze czasy?

— Nie. Pozwól im uciekać, człowieku. To są tchórzliwe złodziejaszki, które drapną przed nożem. Żaden to dla nas honor zajmować się dłużej takimi kanalami. Przecież odzyskaliście wierzchowce, to czego jeszcze chcecie?

— Mógł pan lepiej załatwić Brake'a waląc pięścią. Łajdak stracił tylko przytomność.

— Oszczędziłem go umyślnie. Nie jest przyjemną rzeczą zabić człowieka, którego można unieszkodliwić w inny sposób.

— No, właściwie ma pan słuszość. A więc chodźmy do waszych koni!

— Jak to? Wiecie, gdzie są nasze konie?

— Oczywiście. Musielibyśmy być bardzo kiepskimi westmanami, gdybyśmy porządnie nie zbadali terenu zanim się wam pokazaliśmy.

Dosiadł jednego z odzyskanych rumaków. Jego młody towarzysz skoczył na drugiego. Obaj skierowali się do miejsca w krzakach, gdzie Jemmy i Davy schowali swoje wierzchowce. Niebawem wszyscy pojechali w ślad za Indianinem, który wciąż ich wyprzedzał, jakby dokładnie znał drogę do celu.

Hobble-Frank jechał obok Grubego Jemmy, którego sobie, jak widać upodobał.

— Czy chciałby pan powiedzieć mi, czego szukacie w tych stronach? — zagadnął grubasa.

— Chcieliśmy udać się w góry Montana, gdzie lepsze łowy niż po tej stronie. Tam spotyka się rozumnych westmanów i myśliwych, którzy polują dla polowania. A tu po prostu ubija się zwierzynę. Odświętne strzelby srożą się pośród biednych bawołów, które zabija się tysiącami tylko dlatego, że ich skóry lepiej się nadają na rzemienie niż zwykła skóra bydłęca. To grzech i hańba! Zgodzi się pan ze mną?

— Święte słowa, sir. Dawniej było inaczej. Wówczas było tak: mąż przeciwko mężowi, to znaczy myśliwy stawiał mężnie czoła dzikim zwierzętom, aby z narażeniem życia zdobyć mięso, którego potrzebował. A teraz polowanie jest zwyczajnym, mój panie, morderstwem z zasadzki, a myśliwi starej daty powoli wymierają. Ludzi pana pokroju jest coraz mniej. Wprawdzie nie zaoszczędzą wiele pieniędzy, ale trzeba przyznać, że ich nazwiska brzmią dobrze.

— Czy zna pan te nazwiska?

— Znam nazwisko pana i pańskiego towarzysza.

— Skąd?

— Wokkadeh wymienił je, kiedy leżałem z Marcinem w krzakach i podsłuchiwałem. Właściwie nie ma pan sylwetki charakterystycznej dla westmana. Takie biodra przystoją raczej młynarzowi lub niemieckiemu piekarzowi, ale...

— Co? — wtrącił szybko grubas. — Mówi pan o Niemczech? Czy zna pan ten kraj?

— Czy znam? Jestem Niemcem z krwi i kości!

— A ja z duszy i ciała!

— Naprawdę? — zapytał Frank osadzając konia w miejscu. — No, mogłem domyślić się od razu. Nie ma na świecie Jankesa o takim obwodzie pasa. Cieszę się po królewsku ze spotkania ziomka. Podaj mi rękę, człowieku! Witam pana serdecznie!

Uścisnęli sobie ręce. Grubas rzekł:

— Niech pan popędzi swego konia. Przecież nie możemy tutaj zostać. Jak dawno

przebywa pan w Stanach Zjednoczonych?

— Przeszło dziesięć lat.

— Zapewne zapomniał pan język niemiecki?

Obaj rozmawiali dotąd po angielsku. Frank uniósł się w siodle i urażonym głosem odparł po niemiecku:

— Ja? Zapomniałem swej mowy? Strzelił pan jak kulą w płot! Przecież jestem Niemcem i Niemcem pozostanę. Czy pan wie, gdzie stała moja kołyska?

— Nie. Nie byłem przy tym obecny.

— A jakże! Musi pan wnioskować z mojej wymowy, że wywodzę się z regionu, gdzie rozmawia się najczystsza niemczyzną.

— Tak? Co to za okolica?

— Saksonia. Rozumie pan? Rozmawiałem już z niejednym Niemcem, ale nigdy tak dobrze nie rozumiałem, jeśli nie pochodził z Saksonii. Saksonia to serce Niemiec. Drezno jest klasyczne, Elba jest klasyczna, Lipsk jest klasyczny i Saska Szwajcaria też. Najpiękniejszą i najczystszą mowę słyszy się jednak na terenie między Pirną a Miśnią i właśnie między tymi dwoma miastami ujrzałem po raz pierwszy światło dzienne. A potem, później, zacząłem w tym samym miasteczku moją drogę życia. Byłem pomocnikiem leśniczego w Moritzburgu, który jest znakomitym królewskim miastem myśliwskim z bardzo słynną galerią obrazów i wielką sadzawką na karpie. Moim najlepszym druhem był tamtejszy nauczyciel, z którym co wieczór grałem w sześćdziesiąt sześć, a potem gwarzyłem z nim o wszelakich sztukach i naukach. Tam też zdobyłem wielce osobliwe, ogólne wykształcenie. A może pan wątpi? Robi pan taką dziwną minę!

— Nie mogę się o to kłócić, choć kiedyś byłem gimnazjalistą i deklinowałem nawet mensa.

Mały człowieczek obrzucił go drwiącym spojrzeniem i rzekł:

— Deklinował pan mensa? Zapewne się pan przejęzyczył?

— Nie.

— No, to nietęgo z pańskim gimnazjum! Nie mówi się "deklinowałem", tylko "deklamowałem", a także nie "mensa", ale "pensa". Deklamował pan swoje pensa lub może "Przekleństwo śpiewaka" Huferanda albo "Wolnego strzelca" pani Marii Tkacz? Ale z tego powodu nie będziemy się kłócić. Każdy się uczył jak mógł, nie więcej, i jeśli widzę Niemca,

bardzo się cieszę, nawet jeśli nie jest bardzo mądrym człowiekiem, nawet jeśli nie jest Sasem. A więc jak będzie? Zostaniemy dobrymi przyjaciółmi?

— Rozumie się — roześmiał się Gruby. — Zawsze słyszałem, że Sasi to bardzo mili ludzie. Ale czemu opuścił pan ojczyznę?

— Właśnie z powodu nauki i sztuki.

— Jak to?

— To się odbyło zwyczajnie i w sposób następujący. Rozmawialiśmy o polityce i historii świata wieczorem w gospodzie. Było nas trzech: ja, nocny stróż i służący. Nauczyciel siedział przy drugim stole razem ze znakomitymi obywatelami. Byłem zawsze bardzo towarzyskim człowiekiem, więc przysiadłem się do maluczkich, których bardzo tym uszczęśliwiłem. Przy historii świata napomknęli o starym papie Wranglu i o tym, że zwykł używać czasownika "nasamprzód" ni w pięć ni w dziesięć. Przy tej okazji obaj mężczyźni zaczęli się ze mną sprzeczać co do prawdziwej wymowy tego słowa. Każdy miał inne zdanie. Mówiłem, że prawidłowo jest "najsamprzód", służący, że "najprzód", a stróż nocny, że "na wyprzedki". Wpadałem w coraz większy gniew, ale jako wykształcony urzędnik i obiektywny obywatel państwa uważałem, że muszę zapanować nad swoim wzburzeniem i zwróciłem się do mego przyjaciela, nauczyciela. Naturalnie, ja miałem rację, ale on musiał być w złym humorze, albo chciał okazać swoją edukację, dość że krótko i węzłowato powiedział, że żaden z nas nie ma racji. Twierdził, że mówi się "najpierw". Nie chcę nikomu kaleczyć jego dialektu, ale niech inni mają szacunek dla mojego, zwłaszcza że jest słuszny! Ale tego nie zrozumiał stróż nocny. Twierdził, że nie mówię dobrze, a wobec tego postąpiłem tak, jakby na moim miejscu postąpił każdy rzetelny znawca języka. Rzuciłem mu w głowę swoją obrażoną godność, a wraz z nią kufel piwa. Teraz znowu rozegrały się różne sceny i skończyło się na tym, że zostałem postawiony w stan oskarżenia z powodu zakłócenia porządku publicznego i obrażenia człowieka. Miałem być ukarany i dymisjonowany. Mogłem się jeszcze pogodzić z ukaraniem i dymisją, ale tego, że utraciłem miejsce, było już za wiele. Tego nie mogłem darować. Kiedy odbyłem karę, postanowiłem wyjechać. A ponieważ wszystko co robię, robię już porządnie, więc wyruszyłem wprost do Ameryki. Tak więc tylko stary Wrangel jest winien temu, że pan mnie tu spotkał!

— Jestem mu za to bardzo wdzięczny, bo podoba mi się pan — zapewnił grubas kiwając przyjaźnie głową.

— Tak? Naprawdę? No, ja też od razu poczułem do pana jakąś sympatię, i to nie bez



powodu. Po pierwsze nie jest pan żadnym draniem, po drugie i ja nim nie jestem, i tak oto po trzecie możemy być zupełnie dobrymi przyjaciółmi. Pomogliśmy sobie już jeden raz, a więc nasza przyjaźń jest już ugruntowana. Zechce pan łaskawie zwrócić uwagę, że stale wyrażam się górnolotnie i z tego możesz wywnioskować, że nie okażę się niegodnym pańskich przyjaznych uczuć, Sas jest zawsze szlachetny i gdyby dzisiaj zechciał mnie oskalpować Indianin, powiedziałbym tylko: — Proszę, niech się pan nie fatyguje. Oto mój skalp.

Jemmy wtrącił ze śmiechem:

— Gdyby czerwonoskóry chciał być równie grzeczny, to musiałby panu zostawić skórę na czaszce. Ale, aby nie zapomnieć, czy pański towarzysz jest naprawdę synem słynnego tępicielea niedźwiedzi, Baumanna?

— Tak. Baumann jest moim współnikiem, a jego syn, Marcin, nazywa mnie wujem, chociaż byłem jedynym synem moich rodziców i chociaż nigdy nie byłem żonaty. Spotkaliśmy się w St. Louis w tych czasach, kiedy gorączka złota ściągnęła diggerów<sup>[14]</sup> na czarne wzgórza. Uciułaliśmy małą sumkę i postanowiliśmy założyć sklep. To było korzystniejsze niż kopalnie złota. Interes się powiódł. Ja przejąłem sklep, a Baumann szedł na łowy, aby zdobyć coś do jedzenia. Ale później okazało się, że tutaj nie ma żadnego złota. Diggerowie opuścili te strony i tak zostaliśmy sami z zapasami, których nie sprzedaliśmy, ponieważ nie dostalibyśmy za nie złamanego szeląga. Tylko od czasu do czasu kupowali coś niecoś myśliwi, którzy przypadkowo natrafili na nasz sklep. Ostatni interes ubiliśmy przed dwoma tygodniami. Odwiedziło nas małe towarzystwo, które namawiało mojego współnika, aby zaprowadził ich do Yellowstone, gdzie podobno znaleziono diamenty. Byli to bowiem szlifierze. Baumann, owszem, zgodził się, wytargował sobie spore honorarium, sprzedał większą część amunicji i innych rzeczy — i poszli. Tak więc teraz zostałem sam z jego synem i pewnym Murzynem, którego zabraliśmy z St. Louis, gdzie był sam jeden na strażnicy.

— Yellowstone jest bardzo niebezpiecznym miejscem,

— Teraz już nie.

— Tak pan sądzi?

— Tak, od czasu, kiedy tamtejsze cuda zostały odkryte, kongres Stanów Zjednoczonych wysłał tam mnóstwo mierniczych ekspedycji — przeznaczono te tereny na Park Narodowy.

— Ale Indianie kpią sobie z tego. Na tych obszarach harczą teraz Indianie Węże.

— Zakopali topór wojenny.

— Słyszałem, że niedawno odkopali go ponownie. Pańskiemu towarzyszowi na pewno grozi niebezpieczeństwo. Dodajmy do tego gońca, który do pana przybył. Nie spodziewam się niczego dobrego.

— Ten Indianin jest Siuksem.

— Ale ociągał się ze zdaniem swego poselstwa. To nie jest dobry znak. Radosną wiadomość przekazuje się do razu. Zresztą powiedział, że przybywa z Yellowstone.

— A więc pośpieszmy się!

Spiął konia, aby doścignąć Wohkadeha, który zauważywszy to ściągnął wodze i puścił konia w cwał. Hobble-Frank, nie chcąc puszczać się w wyścig, musiał zrezygnować z natychmiastowej rozmowy z posłem.

Tymczasem syn pogromcy niedźwiedzi zbliżył się do Długiego Davy'ego, który chciał zasięgnąć wiadomości o jego ojcu. Otrzymał je, ale dosyć skąpe. Chłopak był powściągliwy w mowie.

Wreszcie strumień skręcił na wyżynę, na której zobaczyli strażnicę. Położenie nadawało jej charakter fortecy, w której wyśmienicie można było się bronić przed napadem wrogów.

Wyżyna spadała z trzech stron tak stromo, że nie można było się na nią wspiąć. Czwarte zbocze opatrzone podwójnym ogrodzeniem. Na dole rozciągały się pola kukurydzy i tytoniu. W pobliżu skubały trawę dwa konie. Marcin wskazał na wierzchowce i rzekł:

— Stąd te łotry skradły nam konie pod naszą nieobecność. Ale gdzie mógł się podziać Bob, nasz Murzyn?

Wsadził dwa palce do ust i gwizdnął przeraźliwie. Czarna głowa ukazała się w polu. Spoza szerokich warg wyglądały dwa rzędy zębów, których nie powstydzilby się żaden jaguar. Następnie ukazała się cała herkulesowa postać Murzyna. Trzymał ciężką, grubą maczugę. Rzekł ze śmiechem:

— Bob się schować i uważać. Kiedy łobuzy przyjdą i chcieć ukraść jeszcze dwa konie, wtedy ich tą grubą pałą bić po głowie.

Kołysał maczugą lekko, jakby to była trzcinka.

Indianin nie zwracał na niego uwagi. Wyminął Murzyna, wjechał po dostępnej skarpcie, zeskoczył z końskiego grzbietu i skoczył przez ogrodzenie.

— Co za grubianin być ten młody Indianin — złościł się Murzyn. — Przejechać obok pan Bob i nie powiedzieć "Good day"<sup>[15]</sup>! Skoczyć przez płot i nie czekać aż pan Marcin pozwolić mu

wejść. Pan Bob zrobić go uprzejmy!

Pocciwy Murzyn sam siebie też tytułował "pan". Był wolnym człowiekiem i czuł się bardzo dotknięty niegrzecznym zachowaniem Indianina.

— Nie obrażaj go! — ostrzegł Marcin. — To nasz przyjaciel.

— To być inna rzecz. Jeśli czerwony człowiek przyjaciel pana, to być także przyjaciel pana Boba. Pan mieć znów konie? Zabić łobuzy?

— Nie, zwiali. Otwórz furtkę!

Bob wspiął się w górę długimi krokami i lekko trącił obie połowy ciężkich wrót, jak gdyby były z papieru. Po czym jeźdźcy wjechali do strażnicy.

\* \* \*

Pośrodku placu stał czworokątny budynek sklecony z drewnianych pieńków. Drzwi były otwarte. Kiedy biali weszli, zobaczyli Indianina siedzącego już pośrodku izby, która stanowiła wnętrze strażnicy. Nie kłopotał się o konia, który wszedł wraz z innymi za ogrodzenie.

Teraz dopiero Marcin i Hobbler-Frank powitali gości z całą serdecznością. W głębi znajdował się sklep ze znacznie stopniałymi zapasami. Stołami były deski ułożone na kozłach. Krzesła również sklecono z desek od skrzyń. W kącie leżało posłanie, tak bogate, że można było zazdrościć jego właścicielowi. Składało się bowiem z wielkiej ilości skór straszliwych szarych niedźwiedzi, najniebezpieczniejszych drapieżników Ameryki. Gdy taki grizzly podnosi się na tylne łapy, o dwie stopy<sup>[16]</sup> przewyższa wysokiego mężczyznę. U Indian zabicie takiego niedźwiedzia uchodzi za największy czyn bohaterski, a nawet lepiej uzbrojony biały woli raczej zejść z drogi bestii niż bez potrzeby wdawać się z nią w walkę.

Rozmaita broń, trofea wojenne i myśliwskie wisały na ścianach, a w pobliżu kominka radowały oczy olbrzymie półcie wędzonego mięsa, przytwierdzone do kołków.

Dzień skłaniał się ku zachodowi, a ponieważ światło wieczorne z trudem przebijało się przez otwory w murze zastępujące okna i służące za strzelnice, opatrzone okiennicami, więc w izbie było prawie zupełnie ciemno.

— Pan Bob zapalić — oświadczył Murzyn.

Przytaszczył suche drzewo i za pomocą hubki skrzesał ogień na kominku. Lont takiego krzesiwa stanowi suche, łatwopalne próchno, które się wydobywa ze starych, przegniłych drzew.

Płomień oświetlił jasno wielką postać Murzyna. Nosił on obszerny strój z najprostszego

sukna. Głowy nie okrywał, był bowiem próżny i nie chciał uchodzić za czystej krwi Afrykańczyka. Niestety jednak, jego głowę obrastał gęsty las krótkich, wijących się loków, a ponieważ ta wełna właśnie najbardziej zdradzała jego pochodzenie, więc nie szczędził wielkiego trudu, aby dowieść, że nie jest to żadna wełna, ale najprawdziwsze włosy. Wysmarował więc głowę jelenim łożem i splótł gęstwę krótkich włosów w niezliczone warkoczyki, które sterczały na wszystkie strony niczym igły jeża. Światło ogniska podkreślało cudaczność tej fryzury.

Dotychczas mówiono mało. Teraz jednak Hobble-Frank rzekł po angielsku do Indianina:

— Mój czerwony brat gości w naszym domu. Niech będzie serdecznie pozdrowiony i niech wyłoży nam swoje poselstwo.

Indianin rozejrzał się badawczo dokoła i odpowiedział:

— Jakże Wohkadeh może mówić, jeśli nie poczuł jeszcze dymu pokoju?

Na to Marcin, syn pogromcy niedźwiedzi, zdjął ze ściany indiański kalumet i nabił go tytoniem. Podczas gdy wszyscy przysiedli się do Indianina, ten zapalił fajkę, pociągnął z niej sześć razy, puszczając dym ku górze, na dół i na cztery strony świata i rzekł:

— Wohkadeh jest naszym przyjacielem, a my jesteśmy jego braćmi. Niech wypali z nami fajkę pokoju, a potem niech wywiąże się z poselstwa.

Następnie wręczył kalumet Indianinowi, który podniósł się, pociągnął z niej sześć razy i odpowiedział:

— Wohkadeh nie widział jeszcze tych białych i tego czarnego. Wysłano go do nich, oni zaś uwolnili Wohkadeha z niewoli. Ich wrogowie są także jego wrogami, a jego przyjaciele będą również ich przyjaciółmi. Howgh!

”Howgh” oznacza u Indian to samo co ”powiedziałem”, ”tak”. Używa się go dla potwierdzenia lub podkreślenia, zwłaszcza w przerwach lub na końcu przemowy.

Puścił fajkę w obieg. Podczas gdy kalumet przechodził od jednego do drugiego, czerwonoskóry usiadł z powrotem i czekał aż Bob jako ostatni potwierdzi braterstwo dymem tytoniu. Zachowywał się jak stary, doświadczony wódz, a także Marcin, który był przecież jeszcze chłopcem, okazywał powagę, która świadczyła, że podczas nieobecności ojca uważa siebie za właściwego gospodarza domu.

Gdy Bob odłożył kalumet, Wohkadeh zaczął:

— Czy moi biali bracia znają białą twarz, którą Siuksowie nazywają Non-pay-klama?

— Masz na myśli Old Shatterhanda? — odezwał się Długi Davy. — Nie widziałem go

jeszcze wcale, ale przecież każdy słyszał o nim dosyć. Co więc z nim się stało?

— Mimo że jest biały, ceni i lubi czerwonoskórych. Jest najstydniejszym wywiadowcą. Jego kula nigdy nie chybia, a nieuzbrojoną pięścią powala każdego wroga. Dlatego nazywają go Old Shatterhand — Druzgocąca Ręka. Oszczędza krew i życie swoich wrogów; rani ich, aby unieszkodliwić, zabija tylko wtedy, kiedy w grę wchodzi jego własne życie. Przed wielu zimami został napadnięty przez Siuksów Ogallalla daleko, nad Yellowstone. Stał wtedy na skale, niedostępny dla ich strzałów. Wystąpił naprzód i umówił się, że będzie walczył bez broni z trzema uzbrojonymi w tomahawki wrogami. Wszystkich trzech powalił pięścią, między innymi Szi-Tsza-Pahtah<sup>[17]</sup>, najsilniejszego męża plemienia. Rozległo się wycie w górach i lamenty w wigwamach Ogallalla. Nie ucichło jeszcze dotychczas — ponawia się w rocznicę śmierci trzech wojowników. Teraz upłynął shakoh<sup>[18]</sup> i najmężniejsi wojownicy plemienia wyruszyli do Yellowstone, aby nad grobem poległych śpiewać pieśni śmierci. Każdy biały, którego spotkają, jest zgubiony; przywiązuje się go do pala męczeńskiego nad grobem zabitych przez Old Shatterhanda i musi umrzeć w powolnych męczarniach, aby jego dusza usługiwała w Wiecznych Ostępach duszom zabitych. — Po krótkiej przerwie dodał powoli stłumionym głosem: — pogromca niedźwiedzi i jego przyjaciele zostali zaskoczeni podczas snu i schwytani w niewolę.

Marcin zerwał się z miejsca i krzyknął:

— Bob, natychmiast osiodłaj konie! Frank, zapakuj czym prędzej amunicję i żywność, a ja tymczasem naoliwię broń i naostrzę noże. Najpóźniej za godzinę ruszamy do Yellowstone River.

— Rozumie się! — zawołał Frank wstając szybko. — Do wszystkich diabłów, Siuksowie drogo mi za to zapłacą!

Murzyn wzniósł do góry maczugę i rzekł:

— Pan Bob iść z wami. Pan Bob zabić wszystkie czerwone psy Ogallalla!

W tej chwili Indianin podniósł rękę i rzekł:

— Czy moi biali bracia są komarami, które wściekle latają, gdy je podrażniono? Czy też są mężami, którzy wiedzą, że spokojna narada musi poprzedzać czyny? Wohkadeh jeszcze nie skończył.

— Mój ojciec jest w niebezpieczeństwie, to mi wystarcza! — oburzył się młodzian.

Wtedy odezwał się Gruby Jemmy:

— Uspokój się, mój młody przyjacielu! Pośpiech ma swoje granice. Pozwól przedtem

wypowiedzieć się Wohkadehowi, po czym zaczniemy działać.

— Działać? Wy z nami?

— To się rozumie samo przez się. Wypaliliśmy kalumet, jesteśmy więc braćmi i przyjaciółmi. Długi Davy i Gruby Jemmy nigdy jeszcze nie zostawili na łasce losu człowieka, który wzywa pomocy. Czy pojedziemy obaj w góry Montana, aby tam polować na bawoły, czy też urządzimy sobie przedtem wycieczkę do Yellowstone, aby zatańczyć walca z Siuksami Ogallalla — to nam nie robi różnicy! Ale wszystko musi się odbyć we właściwym czasie i porządku, inaczej nie przynosi to chluby tak starym myśliwym, jak my. Niech pan siada z powrotem i zachowa spokój, jak przystoi!

— Słusznie — potwierdził mały Sas. — Wzburzenie w żadnym razie nie prowadzi do celu. Musimy działać z namysłem.

Gdy trzej westmani usiedli, Indianin podjął:

— Wohkadeh został wychowany przez Siuksów Ponca, którzy są przyjaciółmi białych. Później zmuszono go, aby został Ogallalla, ale czekał tylko na sposobność, aby opuścić to plemię. Teraz musiał wraz z wojownikami ruszyć do Yellowstone. Był obecny przy tym, jak w nocy napadnięto na pogromcę niedźwiedzi i jego towarzyszy. Ogallalla musieli zachować wszelką ostrożność, gdyż tam w górach mieszkają ich zajadli wrogowie, Szoszoni. Wysłano Wohkadeha na przespiegi do wigwamów Szoszonów, lecz on pojechał co koń wyskoczy na wschód, do siedziby pogromcy niedźwiedzi, aby zawiadomić o wypadku jego syna i przyjaciela.

— Dzielny postępek, nigdy ci tego nie zapomnę! — zawołał Marcin. — Ale czy mój ojciec wie o tym?

— Wohkadeh powiedział mu o tym i kazał sobie opisać drogę. Rozmawiał z pogromcą niedźwiedzi po kryjomu, tak, że żaden Ogallalla nie mógł tego widzieć.

— Ale domyśla się, gdy do nich nie wrócisz!

— Nie. Uwierzą, że Szoszoni zabili Wohkadeha.

— Czy mój ojciec udzielił ci jakichś wskazówek?

— Nie. Wohkadeh miał tylko powiedzieć, że schwytano go do niewoli wraz z towarzyszami. Wtedy mój młody brat sam będzie wiedział co czynić.

— Oczywiście, że wiem! Wyruszę — i to natychmiast — aby go uwolnić!

Usiłował ponownie się zerwać, ale Jemmy złapał Marcina za ramię i zatrzymał:

— Stop, my boy<sup>[19]</sup>! Nie dowiedzieliśmy się wszystkiego. Wohkadeh może nam

powiedzieć, w jakim miejscu pogromca niedźwiedzi został schwytany?

Indianin odpowiedział:

— Woda, którą biali nazywają rzeką Pulver składa się z czterech ramion. Napad zdarzył się na zachodnim.

— Dobrze. Będzie to więc z tamtej strony Camp Mac Kinney i na południe od Ranch Murphy. To miejsce nie jest mi obce. A w jakim kierunku udali się Ogallalla?

— W góry zwane przez białych Dużym Rogiem.

— A zatem do Big Horn. A potem?

— Wyminęli Diabelską Głowę...

— Ah, Devil Head!

— ... i dotarli do wody, która ma tam źródło, a spływa do rzeki Dużego Rogu. Tutaj usłyszeliśmy o wrogich Szoszonach, więc wysłano Wohkadeha na zwiady. Nie wie zatem, dokąd następnie udali się Ogallalla.

— Posiadamy oczy i wytropimy ślady wrogów. Kiedy miał miejsce napad?

— Przed czterema dniami.

— O biada! Kiedy odbędzie się wielka stypa?

— W dzień pełni księżyca. W tym samym dniu polegli trzej wojownicy.

Jemmy obliczył w myślach i rzekł:

— W takim razie mamy dość czasu, aby doścignąć Indian. Mamy dwanaście dni do pełni księżyca. A ilu jest tych Ogallalla?

— Kiedy ich opuszczałem, liczyli pięciokroć po dziesięć i do tego sześciu.

— A więc pięćdziesięciu sześciu wojowników. Ilu wzięli jeńców?

— Razem z pogromcą niedźwiedzi — sześciu.

— A więc wiemy dosyć i możemy przygotować się do wymarszu. Marcinie Baumann, co pan zamierza czynić?

Młodzieniec stanął, wznosił rękę i odpowiedział:

— Ślubuję ratować ojca lub pomścić jego śmierć, nawet gdybym sam jeden miał ścigać Siuksów i walczyć z nimi. Umrę raczej, a nie złamię przysięgi!

— Nie, sam nie wyruszysz! — rzekł Hobbler-Frank. — Oczywiście pojedę z tobą i nie opuszczę cię w żadnym wypadku.

— I pan Bob też pójdź — oświadczył Murzyn. — Aby uwolnić stary pan Baumann i zabić

Siuksów Ogallalla. Oni wszyscy musieli pójść do piekieł! — ścisnął pięść i głośno zgrzytnął zębami.

— I ja także pojedę — powiedział Gruby Jemmy. — Z radością wydrę Siuksom jeńców. A ty, Davy?

— Nie pleć bzdur! — odpowiedział spokojnie Długi. — Czy myślisz, że zostanę tutaj i będę łątał obuwie lub miał kawe podczas gdy wy będziecie gonili za znakomitą przygodą?

— Dobrze, stary szopie, bądź zadowolony, pojedziesz z nami. Ale co robi nasz czerwony brat Wohkadeh?

— Wohkadeh jest Mandana lub co najwyżej przybrany Siuksem Ponca, nigdy zaś Ogallalla. Jeśli biali bracia dadzą mu strzelbę, dotrzyma im towarzystwa i umrze lub pokona wrogów. Howgh!

— Odważny chłop! — orzekł mały Sas. — Dostaniesz strzelbę i wszystko inne, czego będziesz potrzebował, także wypoczętego konia, gdyż mamy cztery wierzchowce, a więc o jednego za wiele. Twój kary jest sforsowany i może biec za nimi dopóki nie odpocznie. Ale kiedy wyruszamy, panowie?

— Naturalnie natychmiast! — odpowiedział mu Marcin.

— Stanowczo nie powinniśmy się guzdrać — potwierdził Gruby — ale nie radzę także pędzić na łeb, na szyję. Droga wypadnie przez rejony pozbawione wody i zwierzyny, musimy więc zaopatrzyć się w żywność. A ponadto nie wiemy czy dziewięciu kłusowników, którym dziś spuściliśmy lanie nie knuje przeciw nam czegoś złego. Musimy się koniecznie przekonać, czy opuścili lub czy opuszczą tę okolicę. A następnie jak ma się rzecz z tym domem? Zostawimy go bez opieki?

— Tak — odpowiedział Marcin.

— Łatwo może się zdarzyć, że po powrocie zastaniecie popioły lub pustą izbę.

— Drugiemu możemy zaradzić.

Młodzian wziął motykę i podważył czworokąt w glinianej podłodze. Były tu zamaskowane drzwi prowadzące do obszernej piwnicy, gdzie można było schować wszystko, czego nie można by zabrać ze sobą na wyprawę. Po ponownym zaklejeniu gliną niepowołany gość nigdy by się nie domyślił istnienia tego schowka. A nawet gdyby podpalono budynek, należało się spodziewać, że gliniana podłoga uchroni schowane rzeczy przed niszczycielskim żywiołem.



Mężczyźni zaczęli znosić do zagłębienia całą zawartość izby, oczywiście z wyjątkiem tego, co zamierzali zabrać ze sobą. Schowano więc także skóry niedźwiedzie. Była między nimi jedna szczególnie wielka i piękna. Kiedy Jemmy oglądał ją z podziwem, Marcin wyrwał mu ją z ręki i rzucił do zagłębienia.

— Precz z tym! — rzekł. — Nie mogę patrzeć na to futro nie uprzytamniając sobie najokropniejszych godzin mojego życia.

— Brzmi to tak, jakbyś miał za sobą bardzo długie życie lub cały szereg najstraszniejszych przeżyć, mój chłopcze.

— Być może rzeczywiście przeżyłem więcej niż niejeden stary traper.

— Oho, ale chwalipięta!

Oczy Marcina spojrzały gniewnie na grubasa, po czym zapytał:

— Myśli pan pewnie, że syn pogromcy niedźwiedzi nie ma sposobności do silnych przeżyć? Zapewniam pana, że już jako sześciolatek smyk obcowałem z olbrzymem, który żył w futrze, które pan właśnie podziwiał.

— Sześciolatek brzdąc z niedźwiedziem o takiej sile? Wiem, że dzieci Zachodu są strugane z zupełnie innego drzewa niż dzieci, które w miastach opierają nóżki na kominkach ojców. Widywałem niejednego chłopca, który w Nowym Jorku byłby strzelcem abecadła, a tu obchodził się ze strzelbą jak doświadczony westman. Ale, hm! Jak to wtedy było z tym niedźwiedziem?

— Było to w górach Colorado. Miałem jeszcze wtedy matkę i trzyletnią, kochaną siostrzyczkę. Ojciec wyjechał na łowy, matka wyszła na dwór, żeby narąbać drzewa do ogniska, bo zima była ostra i w górach trzymał tęgi mróz. Zostałem w pokoju sam z małą Luddy. Siedziała na ziemi między drzwiami a stołem i bawiła się lalką, którą wystrugałem z drzewa, a ja siedziałem na stole, aby wielkim nożem wyryć litery M i L w grubej belce, która biegła od jednej do drugiej ściany pod szpiczastym dachem. To były inicjały moje i kochanej Luddy. Chciałem w ten sposób uwiecznić nasze imiona. Zatopiony w tej ciężkiej pracy usłyszałem nagle, jak drzwi otworzyły się z hałasem. Sądziłem, że to matka przyszła z drzewem na rękach i nawet się nie odwróciłem, tylko powiedziałem:

— Mamusiu, to dla Luddy i dla mnie. Później zrobię dla ciebie i Tatusia.

Zamiast odpowiedzi usłyszałem gniewny pomruk. Odwróciłem się.

Muszę wam powiedzieć, panowie, że nie dniało jeszcze, ale na dworze skrzył się śnieg, a

na ognisku płonął drewniany kłoc i oświetlał izbę. Ujrzałem więc scenę ścinającą krew w żyłach. Tuż przed małą, biedną Luddy, która oniemiała z przerażenia, stał ogromny, szary niedźwiedź. Jego sierść była zmarznięta, oddech parował. Milcząca siostrzyczka wyciągnęła do niego swoją kukłę, jak gdyby chcąc powiedzieć: ”No, weź moją lalkę, ale nie wyrządź mi nic złego, ty, niedobry, kochany niedźwiedziu!” Ale grizzly nie zna litości. Jednym uderzeniem przewrócił Luddy i zabił ją... Heavens<sup>[20]</sup>! nie mogę tego zapomnieć, nigdy, nigdy!...

Urwał wzruszony. Nikt nie przerywał milczenia. Marcin podjął po chwili:

— Ja także znieruchomiałem z przerażenia. Chciałem wzywać pomocy, ale głos zamarł mi w ustach. W rękę kurczowo trzymałem długi nóż. Teraz potwór zbliżył się do mnie i położył przednie łapy na stół. W tej chwili odzyskałem władzę w członkach. Poczułem na twarzy straszny, cuchnący oddech potwora. Wziąłem nóż w zęby, chwyciłem się rękami za belkę i podciągnąłem się na nią. Chcąc mnie dosięgnąć, niedźwiedź przewrócił stół. To było dla mnie szczęściem.

Teraz zawołałem na pomoc, ale na próżno, matka nie przychodziła, choć powinna była usłyszeć mój krzyk, bo drzwi były otwarte na oścież i zimny ciąg powietrza wpadał do izby. Grizzly podniósł się na całą wysokość, aby ściągnąć mnie z belki. Oglądaliście jego futro, więc uwierzcie, że dosięgał mnie przednimi łapami. Ale miałem w ręce nóż. Lewą trzymałem się mocno, a prawą kłusem łapę, która chciała mnie chwycić.

Cóż będę wam opowiadał o mojej walce, rozpacz i strachu! Jak długo się broniłem — nie wiem. W takiej sytuacji kwadrans dłuży się jak wieczność, ale siły już mnie opuszczały, a obie przednie łapy niedźwiedzia były wielokrotnie pokłute i pocięte przeze mnie, gdy — nareszcie! — usłyszałem przez pomruki i wycie niedźwiedzia szczekanie naszego psa, który poszedł z ojcem na polowanie. Na dworze już zaczął tak szczekać, jak nie słyszałem jeszcze nigdy w życiu, wpadł do izby i momentalnie rzucił się na olbrzymiego drapieznika. Był to szpetny kundel, ale bardzo silny i wierny. Złapał niedźwiedzia za grdykę chcąc ją rozerwać, ale niedźwiedź zmiażdżył go gwałtownym uderzeniem łapy. Po kilku zaledwie chwilach pies leżał martwy, a wściekły grizzly znowu zwrócił się przeciwko mnie.

— A pański ojciec? — zapytał Davy, który, jak zresztą wszyscy, słuchał w ogromnym napięciu. — Jeśli pies przybył, to i pański ojciec musiał być w pobliżu.

— Oczywiście, i w chwili, gdy niedźwiedź stanął na łapach pod belką, ukazał się w drzwiach ojciec błądzący jak kreda. ”Ojczce, ratunku!” krzyknąłem, uderzając niedźwiedzia nożem.

Stał jak skamieniały. Słowa ugrzęzły mu w gardle. Podniósł strzelbę — zaraz wystrzeli! Nie. Opuścił strzelbę z powrotem! Był tak wstrząśnięty, że broń drżała mu w rękach. Cisnął ją na ziemię, wyrwał zza pasa nóż i skoczył z tyłu na bestię. Chwytnąjąc lewą ręką za futro podszedł z boku i zatopił nóż aż po rękojeść między dwa żebra. Potem błyskawicznie odskoczył, unikając w ten sposób przedśmiertnego uścisku niedźwiedzia. Zwierzę stało przez chwilę nieruchome, potem zachrapało, poruszyło przednimi łapami, po czym runęło martwe. Jak się okazało, ostrze noża dotarło do samego serca.

— Dzięki Bogu! — rzekł Jemmy i odetchnął głęboko i głośno. — To się nazywa pomoc w potrzebie. Ale co się stało z pańską matką?

— Matka... ach, nie ujrzałem jej już nigdy...

Odwrócił się i szybkim ruchem otarł dwie łzy.

— Nie ujrzał pan? Jak to?

— Kiedy ojciec cały drżący zdjął mnie z belki, zapytał przede wszystkim o małą Luddy. Głośno płacząc opowiedziałem przebieg okrutnego zdarzenia. Nigdy jeszcze nie widziałem takiej twarzy, jaką miał wtedy mój ojciec. Była koloru popiołu i wyglądała jak głaz. Wydał okrzyk, jeden jedyny, ale jaki straszny! Potem zamilkł. Usiadł na ławce i ukrył twarz w rękach. Na moje słowa nie odpowiedział wcale. Kiedy zapytałem o matkę, potrząsnął głową, ale gdy chciałem wyjść, aby jej poszukać, chwycił mnie za ramię tak, że krzyknąłem z bólu i zawołał: "Zostań! To nie dla ciebie!" Potem siedział długo, długo, dopóki ognisko nie wygasło. A potem zamknął mnie w izbie, wziął małą Luddy i zaczął pracować na dworze. Usiłowałem usunąć mech, który zatykał szpary między poszczególnymi głazami, z których zbudowany był budynek. Udało mi się to w jednym miejscu. Gdy wyjrzałem, zobaczyłem, że kopie głęboki dół... Niedźwiedź, zanim wdarł się do izby, napadł i rozszarpał moją matkę. Nie widziałem jak ojciec pogrzebał matkę i Luddy, gdyż zaskoczył mnie przy podglądaniu i postarał się o to, żebym nie mógł podejść do ściany.

— Okropne, okropne! — zawołał Jemmy ocierając oczy rękawem futra.

— Tak, to było okropne! Ojciec przez długi czas chorował. Zaopiekował się nami człowiek przysłany przez najbliższego sąsiada. Gdy tylko ojciec wyzdrowiał, opuściliśmy tamto miejsce i zaczęliśmy polować na niedźwiedzie. Kiedy mój ojciec słyszy, że gdzieś widziano niedźwiedzia, nie zazna spokoju, dopóki mu nie pośle kuli lub nie zada ciosu nożem. A ja... no, mogę zapewnić, że zrobiłem swoje i pomściłem śmierć mojej biednej, małej Luddy! Dawniej było mi serce, kiedy kierowałem lufę na niedźwiedzia, ale mam talizman, który mnie ochrania tak, że

mogę stanąć naprzeciw grizzly z takim spokojem, jakbym miał przed sobą szopa.

— Talizman? — zapytał Davy. — Ech, przecież nie ma talizmanów! Miody człowieku, nie wierz w podobne brednie! To jest grzech wobec pierwszego przykazania.

— Nie. Talizman, o którym mówię, jest innego rodzaju niż pan myśli. Wisi tam, pod Biblią.

Wskazał na ścianę, gdzie pod półeczką leżała stara Biblia. Pod nią wisiał kawał drzewa, długi na półtora palca i gruby na palec. Górna część przypominała głowę.

— Hm! — mruknął Davy, który jak wszyscy jankesi, surowo trzymał się przykazań Bożych. — Nie chcę sądzić, że to wyobraża pogańskiego bożka.

— Bynajmniej. Nie jestem bałwochwalcą, ale dobrym chrześcijaninem. Widzicie tu drewnianą kukłę, którą swego czasu wystrugałem dla siostrzyczki. Zachowałem tę pamiątkę po strasznych chwilach i zawsze zawieszam ją na szyi, gdy towarzyszę ojcu w wyprawach na niedźwiedzie. Kiedy się zbliża niebezpieczeństwo, chwytam za lalkę i — niedźwiedź jest stracony. Możecie na to liczyć!

Teraz wzruszony Jemmy położył chłopcu rękę na ramieniu i rzekł:

— Marcinie, jesteś dzielnym chłopcem. Uważaj mnie za swego przyjaciela, a nie rozczarujesz się. Jak ja jestem gruby, tak samo grube możesz we mnie pokładać zaufanie. Dowiodę tego.

\* \* \*

Po południu piątego dnia jeźdźcy opuścili dorzecze rzeki Pulver i pomknęli ku górom Big Horn.

Obszary, które ciągną się od Missouri do tego łańcucha po dziś dzień leżą odłogiem. Teren ten stanowi prawie wyłącznie jednostajną, bezdrzewną prerię, gdzie myśliwy musi nieraz jechać kilka dni zanim natrafi na źródło lub zagajnik. Teren wznosi się powoli ku zachodowi, tworząc to łagodne pagórki, to znów wzgórza, coraz bardziej strome, coraz wyższe im dalej na zachód. Ale wszędzie brak drzewa i wody. Dlatego Indianie nazywają tę okolicę Mah-kosietsza, a biali Bad Lands. Oba wyrażenia oznaczają to samo, a mianowicie "Zły Kraj".

Dalej na pomocy obszary rzek Cheyenne, Powder, Tongue oraz Big Horn są znacznie gościnniejsze. Trawa jest obfitsza, rzadkie krzewy przechodzą w rozległe pasma i na koniec stopa westmana stąpa w pobliżu niejednego wiekowego olbrzyma.

Tam rozciągają się tereny łowieckie Szoszonów, Indian-Węży, Siuksów, Czejenów i Arapahoesów. Każde plemię rozpada się na szczepy, a każdy z nich ma swoje własne cele, dlatego nic dziwnego, że jest to teren stałych zamieszek, wojny i zbrojnego pokoju. A kiedy wreszcie Indianin przyzwyczajają się do zgody, wtedy przychodzi pan Błada Twarz i kłuje go strzelbą i nożem tak długo, aż Indianin wykopuje topór wojenny i od nowa wszczynają walkę. Zrozumiałe jest, że na granicy terenów łowieckich owych rozlicznych plemion i szczepów, życie jednostki nie jest zbyt bezpieczne. Szoszoni bowiem byli od wieków zapamiętałymi wrogami Siuksów — oto czemu obszary między Dakotą — na północ od rzeki Yellowstone — do gór Big Horn wchłonęły wiele krwi zarówno Indian, jak i białych.

Gruby Jemmy i Długi Davy wiedzieli o tym dobrze i starannie unikali spotkania z czerwonoskórymi jakiegokolwiek plemienia. Wohkadeh prowadził, ponieważ przebył tę drogę jadąc do strażnicy. Był teraz uzbrojony w strzelbę i za pasem miał torbę z wszelkimi drobiazgami, bez których westman nie mógłby się obejść. Jemmy i Davy wyglądali tak jak poprzednio. Pierwszy, oczywiście, jechał na swoim wysokim kłusaku, a drugi zwieszał swoje długie nogi po bokach małego, upartego muła, który co pięć minut usiłował wysadzić jeźdźca z siodła. Davy'emu wystarczyło tylko postawić na ziemi prawy lub lewy but, by mieć mocne oparcie. Na swoim zwierzęciu przypominał mieszkańca wysp australijskich, który swoją bardzo niepewną łódź zaopatrywał w pale, aby nie mogła się przewrócić. Palami Davy'ego były jego własne nogi.

Frank również nosił taką samą odzież, w której po raz pierwszy ujrzeli go obaj przyjaciele — mokasyny, legginy, niebieski frak i "Amazonkę" z długim, żółtym piórem. Mały Sas świetnie dosiadał konia i mimo osobliwego wyglądu, sprawiał wrażenie tęgiego westmana.

Przyjemnie było patrzeć, jak Marcin Baumann siedzi w siodle. Jechał nie gorzej od Wohkadeha. Był jak gdyby zrosnięty z koniem. Trzymał się pochylony naprzód, przez co ujmował ciężaru koniowi i mógł jechać miesiącami bez zbytniego zmęczenia. Nosił skórzany strój traperski, także jego broń nie pozostawiała nic do życzenia. Świeże oblicze i jasne spojrzenie świadczyły, że chociaż to jeszcze chłopiec, w potrzebie umie działać jak mężczyzna.

Zabawnie wyglądał Bob. Do konnej jazdy nigdy nie czuł namiętności, toteż siedział w sposób nie dający się opisać. Miał wiele udręki z koniem, ale nie mniej koń miał z nim, gdyż Murzyn nie potrafił przez dziesięć minut usiedzieć spokojnie w miejscu. Przysuwał się niemal do szyi wierzchowca, ale każdy krok zwierzęcia zsuwał go o cal<sup>[21]</sup> w tył. Zsuwał się i ześlizgiwał,

aż w końcu omal nie spadał na ziemię. Po czym znowu umieszczał się koło szyi i znowu ześlizgiwał się w sposób niezwykle zabawny. Zamiast siodła pod sobą miał koc, wiedział bowiem z poprzednich prób, że nie zdoła utrzymać się w siodle, a przy nieco szybszym tempie znalazłby się na ziemi. Nogi trzymał jak najdalej od konia. Gdy mu radzono, żeby przycisnął je do boków konia, odpowiadał:

— Dlaczego mieć Bob ścisnąć nogami biedny koń? Biedny koń nie zrobić mu nic złego. Oba nogi nie być kleszcze!

Jeźdźcy dotarli do brzegu niezbyt głębokiej, niemal okrągłej skarpy o promieniu wynoszącym trzy mile angielskie<sup>[22]</sup>. Otoczony z trzech stron ledwo widocznymi wzniesieniami zbiegał się na zachodzie ze sporym wzgórzem, gęsto zarośniętym krzewami i drzewami. Dawniej było tu jeszcze coś w rodzaju jeziora. Grunt stanowił głęboki piasek i poza skąpymi skupiskami traw, był zarośnięty tylko szarym mchem, charakteryzującym bezładne obszary Dalekiego Zachodu. Jak oświadczył Davy, miejsce to nosiło nazwę Pa-ave-pap, czyli Rdzawe Jezioro, gdyż kiedyś biali wymordowali w tym miejscu wielu Szoszonów.

Wohkadeh rozpedził konia i skierował się ku wspomnianemu wzgórzem. Ta naturalna niecka nie narażała żadnych niebezpieczeństw, gdyż z jej płaskiego dna można było zobaczyć każdego pieszego czy jeźdźcę.

Jechali może pół godziny, gdy Wohkadeh osadził rumaka w miejscu.

— Uff! — zawołał.

— Co takiego? — zapytał Jemmy.

— Szi-szi!

Jest to słowo mandańskie i oznacza nogi, ale używa się go także w znaczeniu "śląd".

— Śład? — zapytał Gruby. — Ludzki czy zwierzęcy?

— Wohkadeh nie wie. Niech moi bracia sami obejrzą.

— Do licha, Indianin, a nie wie, czy to trop człowieka czy zwierzęcia! Musi to więc być szczególny śład. Zejdźcie z koni i nie zadcpecie śladu, bo nie można go będzie rozpoznać.

— Owszem, będzie można — twierdził Indianin. — Jest wielki i długi. Ciągnie się z daleka, z południa i prowadzi na północ.

Jeźdźcy zeskoczyli z koni, aby zbadać tajemniczy trop. Każdy trzyletni chłopczyk indiański potrafi odróżnić ślad nogi ludzkiej od zwierzęcej. To po prostu niepojęta rzecz, że Wohkadeh nie potrafił tego dokonać. Ale i Jemmy potrząsał czupryną, spoglądał to na prawo, to

na lewo. Długo potrząsał głową i wreszcie rzekł do Długiego Davy'ego:

— No, stary przyjacielu, czy widziałeś już kiedyś coś takiego? Zapytany podrapał się najpierw za prawym, potem za lewym uchem, splunął dwukrotnie, co miało wyrażać zakłopotanie i wreszcie odpowiedział:

— Nie, jeszcze nigdy.

— A pan, Mr Frank?

Sas patrzył na ślad, w końcu mruknął:

— Niech diabeł rozpozna te ślady!

— Tak — rzekł Jemmy. — To tylko jest pewne, że przechodziła tędy jakaś żywa istota.

Ale jaka? Ile miała nóg?

— Cztery — odpowiedzieli wszyscy prócz Indianina.

— Tak, to widać dokładnie. Ale niech mi ktoś powie, z jakiego rodzaju czteronożną istotą mamy do czynienia?

— To nie jest jeleń — odezwał się Frank.

— Broń Boże! Jeleń nie zostawia tak głębokich śladów.

— Może niedźwiedź?

— Niedźwiedź wprawdzie zostawia tak wielkie i wyraźne ślady, że nawet ślepy może wymacać je palcami, ale ten trop nie jest śladem niedźwiedzia. Nie jest też długi i zatarty z tyłu jak odcisk pięty, ale prawie okrągły i gładko wyciśnięty, jak gdyby stemplowany pieczęcią. Zmieściłaby się w nim prawie cała dłoń. Na ogół jest równy, tylko z tyłu trochę wytarty. A więc zwierzę nie miało pazurów, ale kopyta.

— A więc koń? — zapytał Frank.

— Hm! — mruknął Jemmy. — Nie mógł to być koń. Odkrylibyśmy choćby najmniejszy ślad podkowy, poznalibyśmy nawet kopyta końskie, gdyby nie był podkuty. To jest trop najwyższej sprzed dwóch godzin, a więc odcisk nogi końskiej nie mógłby jeszcze zniknąć. A zresztą, czy istnieje koń o tak wąskich kopytach? Gdybyśmy byli w Azji lub Afryce, a nie na tej starej przyzwoitej sawannie, to uważałbym, że przeszedł tędy słoń.

— W samej rzeczy, tak to wygląda — roześmiał się Długi Davy.

— Co? Czy widziałeś kiedyś słońca?

— Nawet dwa. Jednego w Filadelfii u Barnuma, a drugiego u ciebie, grubasie!

— Jeżeli chcesz stroić żarty, to kup sobie lepsze za dziesięć dolarów, rozumiesz?

Przyznaję, że jak na słonia to dosyć duże ślady, ale byłyby o wiele bardziej od siebie oddalone. O tym nie pomyślałeś, Davy. To nie był też wielbłąd, gdyż musiałbym przyjąć, że przechodziłeś tędy przed dwiema godzinami. A teraz wyznaję, że wyczerpałem swoją mądrość.

Poszli naprzód i wrócili, aby zbadać dokładniej zadziwiające odciski, ale żaden z nich nie mógł wpaść na pomysł przynajmniej prawdopodobny.

— Co o tym powie mój czerwony brat? — zapytał Jemmy.

— Maho akono! — odparł Indianin z gestem czci.

— Duch prerii, tak myślisz?

— Tak, bo nie był to człowiek ani zwierzę.

— No, no! Wasze duchy mają przerażająco wielkie nogi! A może duch prerii cierpi na reumatyzm i nosi filcowe pantofle?

— Niech mój biały brat nie kpi! Duch sawanny może się objawić w każdym kształcie. Pojedziemy dalej!

— Nie. Muszę wiedzieć co mam o tym myśleć. Nigdy jeszcze nie widziałem takiego śladu i będę za nim chodził dopóki nie dowiem się kto go zostawił.

— Mój brat poprowadzi nas na zgubę. Duch nie znosi, aby go szukano.

— Bzdury! Kiedy później Gruby Jemmy będzie opowiadał o tym śladzie, a nie potrafi powiedzieć kto go zostawił, wykipią go! Każdy uczciwy westman poczytałby sobie za punkt honoru zbadanie tej tajemnicy.

— Nie mamy na to czasu.

— Nie żądam tego od was. Mamy cztery godziny do wieczora. Później będziemy musieli rozbić obóz. Czy mój czerwony brat zna odpowiednie miejsce na odpoczynek?

— Owszem. Jeżeli będziemy jechali wciąż naprzód, to dotrzemy do otworu w wyżynie. Jest tam dolina, do której z lewej strony prowadzi boczny parów. To godzina drogi. Właśnie w tym parowie rozbijemy obóz, gdyż pełno tam krzewów i drzew, które zasłonią ognisko, a jest tam także źródło dobrej wody.

— Łatwo to miejsce znaleźć. A więc ruszajcie! Ja pojedę tym śladem, a potem zawrócę do waszego obozowiska.

— Niech mój biały brat pozwoli się ostrzec!

— No, cóż! — zawołał Długi Davy. — Jemmy ma rację. To byłaby dla nas hańba, gdybyśmy nie zbadali tego śladu. Opowiadają, że przed stworzeniem świata istniały zwierzęta,



wobec których bawół jest tak mały, jak robak wobec parostatku. Być może zachował się dotychczas taki potwór i biega po piasku, żeby na ziarnach obliczyć ilość swoich stuleci. Zdaje się, że to bydlę nazywało się mamma.

— Mamut — poprawił Gruby.

— Być może. Jaka hańba spadnie na nas, gdybyśmy, natrafiwszy na takie przedświatowe ślady, nie usiłowali zobaczyć tej bestii. Jadę z tobą, Jemmy!

— Nie zgadzam się, gdyż my obaj, nie obrażając niczyjej skromności, posiadamy największe doświadczenie i jesteśmy niejako przywódcami wyprawy. A więc nie możemy się we dwójkę oddalać. Raczej niech ktoś inny jedzie ze mną.

— Pan Jemmy ma rację! — rzekł Marcin. — Ja będę panu towarzyszył.

— Nie, mój młody przyjacielu — odparł Jemmy. — Wiem, że w pańskich latach człowiek pali się do takiej przygody. Ale ta przygoda nie jest pozbawiona niebezpieczeństw, a my przyjęliśmy na siebie obowiązek, że będziemy cię strzegli i całego przyprowadzimy do ojca.

— W takim razie ja idę z panem! — zawołał Frank.

— Dobrze. Nie mam nic przeciwko temu. Mr Frank walczył kiedyś w Moritzburgu, najpierw ze służącym i stróżem nocnym, a więc nie będzie się lękał mamuta.

— Ja? Bać się? Ani mi się śni!

— A więc tak pozostanie. Wszyscy jadą naprzód — oprócz nas, bo skręcimy na prawo.

Tak też się stało. Jemmy i Frank pojechali na północ za tajemniczym tropem.

Ponieważ musieli przebyć okrężną drogę, więc popędzali swoje rumaki i już wkrótce stracili z oczu towarzyszy. Po pewnym czasie ślad skręcał na zachód, ku dalekiej górze, tak że Jemmy i Frank jechali równolegle do swoich przyjaciół, oddaleni od nich o parę godzin drogi.

Dotychczas nie przemówili ani słówka. Kłusak Jemmy'ego tak daleko wyrzucał swoje długie nogi, że koń Franka z trudem dotrzymywał mu kroku w grząskim piasku. Grubas zmienił cwałowanie swego konia w powolny kłus, dzięki czemu Frank mógł się nie wyęczać. Oczywiście uczestnicy wyprawy porozumiewali się po angielsku, natomiast teraz, gdy obaj Niemcy znaleźli się sami, przeszli do mowy ojczystej.

— Oczywiście — zaczął Frank — że z mamutem to był tylko żart?

— Naturalnie.

— Od razu się domyśliłem, gdyż nie ma już na świecie mamutów.

— A czy słyszał pan kiedyś o tych pradawnych zwierzętach?

— Ja? Oczywiście! Wie pan, że ten nauczyciel w Moritzburgu był właściwie moją duchową matką, był doskonałym biologiem. Znał wszystkie rośliny od szczawiu do sosny, a także każde zwierzę od węża morskiego do grubej zwierzyny w wielu krajach. Dużo wtedy od niego skorzystałem.

— Cieszy mnie to ogromnie — odpowiedział Gruby — gdyż z kolei ja od pana skorzystam.

— To jest zupełnie oczywiste. Na przykład właśnie o mamutach mogę panu udzielić najlepszych informacji.

— Czy widział pan kiedyś to zwierzę?

— Nie, bo wtedy, przed stworzeniem świata, nie byłem zameldowany w obecnej policji. Ale nauczyciel znalazł opis mamuta w starych rękopisach. Jak pan myśli, jak wielkie było to zwierzę?

— Znacznie większe, od słonia.

— Słoń? Daleko mu! Kiedy mamut wspinał się na kamień i spoglądał na dół, aby obejrzeć ten kamień, to widział ziarno piasku. Czy wyobraza pan sobie wielkość takiego zwierza?! A kiedy mucha siadała na końcu jego ogona, to dopiero po czternastu dniach dochodziła do rozumu mamuta. No, niech pan sobie wyobrazi długość takiego stworzenia!

— Do piorunów! — rzekł z podziwem Jemmy. — A jak pan dokładnie o tym wie!

— Tak, tak. Gdyby to wtedy nie wybuchł spór o ulubione słówko ojca Wrangla, to molens-polens<sup>[23]</sup> dociągnąłbym do akademii leśniczej, a nie pędziłbym po Dzikim Zachodzie i nie kulał od strzału Siuksów.

— Ach, więc nie urodził się pan kulawy?

Frank spojrział na Grubego z wyrzutem.

— Urodził się kulawy? Póki siebie pamiętam, zawsze miałem zdrowe nogi. Ale kiedy przybyłem z Baumannem w Czarne Góry, żeby założyć sklep, miałem jedną słabą godzinę i z tego powodu jeszcze dziś utykam.

— Jak to się stało?

— Całkiem niespodzianie, jak wszystko, czego człowiek wcześniej się nie spodziewa. Mam to w oczach, pamiętam to tak dobrze, jak gdyby zdarzyło się wczoraj. Gwiazdy świeciły, żaby skrzeczały w pobliskim bloku, gdyż zdarzyło się to, niestety, nie za dnia, ale w nocy. Baumanna nie było, wyjechał do fortu Fettermana po nowe zapasy. Marcin spał, a Bob, który

pojechał zainkasować długi, jeszcze się nie pokazał. Tylko jego koń wrócił do domu. Dopiero nazajutrz Murzyn wrócił z połamanymi gnatami i do tego bez złamanego szeląga. To nasi dłużnicy tak go obrobili. A więc gwiazdy świeciły z nieba, gdy ktoś zapukał do drzwi. Tu na Zachodzie trzeba być przezornym, dlatego nie od razu otworzyłem drzwi, ale zapytałem kto tam. Aby nie przedłużać opowiadania powiem tylko, że było to pięciu Siuksów, którzy chcieli zamienić futra na proch. Powiedzieli, że muszą jeszcze przez całą noc maszerować, co tak wzruszyło moje saskie serce, że — wpuściłem ich do środka.

— Co za nieostrożność!

— Czemu to? Nie zaznałem nigdy strachu. Zanim ich wpuściłem, zażądałem, aby złożyli na dworze broń. Muszę przyznać, że ucziwie wywiązali się z tego przyrzeczenia. Jednak oczywiście, usługując im, nie wypuszczałem z ręki rewolweru, czego, jako Indianie, nie mogli mi brać za złe. Ubiłem z nimi naprawdę wyśmienity interes: dałem im proch w zamian za cenne skórki bobrowe. Kiedy czerwoni i biali handlują ze sobą, to czerwoni są zawsze pokrzywdzeni. Bardzo mi przykro, ale przecież ja sam nie mogę tego zmienić. Obok drzwi wisiały trzy naładowane strzelby. Kiedy Indianie wyszli, jeden z nich zatrzymał się przy drzwiach, wrócił do mnie i zapytał, czy nie dodam im trochę wódki. Wprawdzie zabroniono sprzedawać Indianom wódkę, ale ja jestem poczciwy i nie odmawiam nikomu przysługi. Poszedłem więc do kąta, gdzie stała flaszka brandy. W chwili, gdy się odwracałem, zauważyłem, że Indianin zerwał jedną ze strzelb i znikł. Naturalnie odstawiłem butelkę, chwyciłem drugą strzelbę i wyskoczyłem z izby. Ponieważ wybiegłem z oświetlonej izby w mrok, więc nie widziałem wyraźnie. Słyszałem szybkie kroki, po czym za ogrodzeniem błysnęło. Rozległ się wystrzał i doznałem uczucia, jak gdyby ktoś uderzył mnie w nogę. Teraz ujrzałem Indianina, który chciał przejść przez płot. Złożyłem się i wystrzeliłem, ale poczułem, w nodze taki ból, że upadłem na ziemię. Moja kula chybiła, a strzelba była stracona. Z trudem dowlokłem się do izby. Strzał Indianina ugodził mnie w lewą nogę. Dopiero po miesiącach mogłem się nią posługiwać, ale zostałem Hobbler-Frankiem<sup>[24]</sup>. Dokładnie zapamiętałem sobie tego czerwonoskórego. Nigdy nie zapomnę jego oblicza i biada mu, jeśli go kiedykolwiek spotkam. My, Sasi, słyniemy z łagodności, ale jednocześnie nasze narodowe zalety nie mogą pozwolić na to, aby bezkarnie uszedł napad pod osłoną nocy, aby nas obrabowano i do tego raniono. Myślę, że ten Indianin należy do Ogallalla i kiedy... Cóż tam takiego?

Urwał, ponieważ Jemmy osadził wierzchowca na miejscu i wydał okrzyk zdziwienia.

Mieli już za sobą większość szerokiej, piaszczystej skarpy. Wjechali teraz na skalisty grunt i oto w miejscu, gdzie się znów zaczęły piaski, Jemmy się zatrzymał.

— Co takiego? — odparł. — Chciałbym sam wiedzieć. Czy właściwie mam oczy?

Ze zdumieniem spoglądał na piasek. Teraz Frank zobaczył, co jest powodem jego zdumienia.

— Czy to możliwe? — zawołał. — Ślad zupełnie się zmienił!

— A jakże. Przedtem był to ślad prawie słonia, a teraz to wyraźny trop wierzchowca. To koń indiański, nie ma podków.

— Czy to na pewno ten sam ślad?

— Naturalnie. Tu za nami tkwi skała, ale to miejsce nie jest szersze niż dwadzieścia stóp. Tam po drugiej stronie kończy się ślad słonia, a naprzeciw wylania się ślad koński. Niesłychany wypadek!

— Chciałbym wiedzieć, co powiedziałby na to nauczyciel z Moritzburga, gdyby znalazł się tutaj.

— Nie miałby mądrzejszej miny niż ja i pan.

— Za przeproszeniem, nie powiem, żeby pańska twarz wyglądała dowcipnie. Podejrzewam jednak, że na pewno można rozwiązać tę sprawę, bo już słynny Archidiakon powiedział: "Dajcie mi mocny punkt w powietrzu, a podniosę każde drzwi na ich osi".

— Pan mówi o Archimedesie!

— Tak, ale poza tym był diakonem, bo kiedy w sobotę po południu przyszli wrogowie, szykował się do niedzielnego kazania i zawołał: "Nie przeszkadzajcie mi i zachowajcie ciszę!" Wtedy żołnierze zamordowali go, a punkt znowu zginął w powietrzu.

— Kto wie, czy pan go nie znajdzie. Ale najpierw pójdziemy za tym osobliwym śladem.

Ślad — teraz koński — był wciąż wyraźny i po półgodzinnej jeździe schodził z piaszczystego na twardszy grunt. Rosła tu obficie trawa i krzewy. W pobliżu wznosiło się wzgórze porośnięte w dolnej części gęstym lasem. Trop, tutaj jeszcze wyraźny, niebawem znikł na kamiennym gruncie.

— Oto zagadka! — mruknął Frank.

— Niepojęte — oświadczył Jemmy. — Ostatecznie chyba naprawdę był to duch sawanny. Chętnie bym zobaczył jak wygląda taki duch.

— Pańskie życzenie łatwo spełnić. Obejrzyjcie go, jeśli łaska, moi panowie!

Słowa te, wypowiedziane po niemiecku dobiegły zza krzewu, przy którym obaj westmani się zatrzymali. Wydając okrzyk przerażenia cofnęli się obaj. Tajemniczy nieznajomy wyszedł zza krzaka.

Nie był zbyt wysoki ani zbyt tęgi. Spaloną od słońca twarz okalała ciemnoblonde broda. Nosił legginy z frędzlami, koszulę myśliwską, również z frędzlami, długie buty naciągnięte na kolana i kapelusz filcowy o szerokich kresach. Rondo opasane było sznurem z nawleczonymi końcami uszu niedźwiedzi. Dwa rewolwery, zakrzywiony nóż i liczne skórzane woreczki tkwiły za skórzanym pasem splecionym z pojedynczych rzemyków i wyłożonym nabojami. Od lewego ramienia do prawego biodra wiło się łąso splecione z kilku rzemieni, u szyi wisiała na mocnym jedwabnym sznurze fajka pokoju, ozdobiona piórkami kolibrów, z nakreślonymi na główce znakami indiańskimi. W prawej ręce trzymał strzelbę o krótkiej lufie, o zamku szczególnej konstrukcji.

Prawdziwy westman nie zwraca uwagi na połysk zewnętrzny i czystość. Im gorzej wygląda, tym więcej doznał przygód. Ze wzgardą spogląda na każdego, kto dba o wygląd zewnętrzny. Najstraszliwszą zaś grozę budzi w nim wyczyszczona do połysku strzelba. Według powszechnego przekonania westman nie ma czasu na podobne drobiazgi.

A ten oto młody nieznajomy wyglądał tak czysto, tak schludnie, jak gdyby dopiero wczoraj wyjechał z St. Louis. Zdawało się, że broń najwyżej przed godziną opuściła sklep. Buty miał porządnie wypomadowane, a ostrogi bez śladu rdzy. A strój myśliwski wyglądał jak nowy, nawet ręce były idealnie czyste. Nic dziwnego, że obaj myśliwi spoglądali na niego z podziwem i zapomnieli języka w gębie.

— No — dodał z uśmiechem — sądzę, że pragniecie zobaczyć ducha sawanny. Jeśli szukacie sprawcy śladu, który tropiliście, to macie go przed sobą.

— Do pioruna! W tym momencie rozum mi staje kołem! — zawołał Frank.

— O, jest pan Sasem?

— Nawet rodzonym. A pan jest rodowitym Niemcem?

— Tak, mam ten honor. A drugi z panów?

— Och, z tych samych pięknych stron. Radosny przestraszony rzucił mu się na język. Ale już za chwilę przemówił.

Miał słuszność, gdyż Jemmy zeskoczył z siodła i podał nieznajomemu rękę.

— Czy to możliwe! — zawołał. — Tu, w Devil Head, spotkać Niemca! Ledwo mogę

uwierzyć.

— Moje zdumienie musi być podwójne, gdyż spotykam aż dwóch Niemców. I jeśli się nie mylę, mam przed sobą Grubego Jemmy'ego?

— Co?! Zna pan moje imię?

— Gdy spotyka się grubego myśliwego na tego rodzaju wielbłądzim kłusaku, jest to oczywiście Jemmy. Ale gdzie jest pan, tam, lub przynajmniej w pobliżu, musi być też Długi Davy na swoim mule. A może się mylę?

— Nie, Istotnie Davy jest niedaleko stąd, na południu, u wylotu doliny.

— Aha. Obozujecie tam dzisiaj?

— Oczywiście. Mój towarzysz nazywa się Frank.

Nazwany również zeskoczył z konia. Podał nieznanemu rękę, a ten obejrzał go badawczo, uklonił się i zapytał:

— Zapewne Hobble-Frank?

— A skąd pan zna także moje nazwisko?

— Widzę, że pan utyka na nogę i słyszę, że nazywa się pan Frank. Łatwo się więc domyślić. Mieszka pan z Baumannem, pogromcą niedźwiedzi?

— Kto o tym panu powiedział?

— On sam. Kilka lat temu spotkaliśmy się i przebywaliśmy ze sobą jakiś czas. Gdzie jest teraz? W domu? Wydaje mi się, że to około pięciu dni jazdy stąd?

— To prawda. Ale nie ma go w domu. Wpadł w ręce Ogallalla. Wyjechaliśmy właśnie, żeby go odbić.

— Przeraza mnie pan. Gdzie to się stało?

— Niedaleko stąd, w Devil Head. Zataszczyli go i jego pięciu towarzyszy do Yellowstone, aby ich zamordować na grobowcu Złego Ognia.

Nieznajomy nadstawił uszu.

— Dla zemsty? — zapytał.

— Tak, w rzeczy samej! Słyszał pan chyba o Old Shatterhandzie?

— Zdaje się, że sobie przypominam — odpowiedział nieznajomy ze szczególnym uśmiechem na ustach.

— Otóż Old Shatterhand zabił Złego Ognia oraz dwóch innych Siuksów. Indianie wyruszyli z pielgrzymką do grobu zabitych i natknęli się przy tym na Baumanna.

— Skąd pan o tym wie?

Frank opowiedział o Wohkadehu i wszystkich innych wydarzeniach do ostatniej chwili. Nieznajomy przysłuchiwał się bardzo uważnie. Uśmiechał się od czasu do czasu, gdy Frank popisywał się swoim uczonym językiem. Wreszcie, gdy relacja dobiegła końca, rzekł:

— Z całego serca życzę powodzenia. Szczególnie zainteresował mnie Marcin Baumann. Być może niebawem go zobaczę.

— To nie jest trudną rzeczą — rzekł Jemmy. — Niech pan tylko z nami pójdzie, a raczej pojedzie. A gdzie pan podział konia?

— Tu, w pobliżu. Opuściłem wierzchowca tylko na parę chwil, żeby was podglądać.

— A więc spostrzegł nas pan z daleka?

— Oczywiście. Widziałem jak pół godziny temu zatrzymaliście się nad niezwykłym śladem.

— Jak to? Co pan o nim wie?

— Nic ponad to, że jest to mój własny ślad.

— Co, pański? Do wszystkich diabłów! To pan nas wodził za nos?

— Czy naprawdę wzięliście się na lep? No, to wielka dla mnie satysfakcja, że dałem prztyczka tak zawołanemu westmanowi jak Gruby Jemmy. Zresztą, nie dotyczy to tyle pana, co pańskich towarzyszy.

Grubas nie wiedział co myśleć o dziwnym osobniku. Potrząsając głową obejrzał go od stóp do głowy i zapytał:

— Ale kim pan właściwie jest?

Nieznajomy roześmiał się i odparł:

— Prawda, od razu pan zauważył, że jestem nowicjuszem na Dzikim Zachodzie?

— Tak, od razu widać, że nie ma pan zielonego pojęcia o Dzikim Zachodzie. Z pańską odświętną strzelbą może pan śmiało iść na wróble. Nawet mój kłusak poznałby, że uzbrojenie dźwiga pan na sobie dopiero kilka dni. Musiał pan przybyć tutaj w licznym towarzystwie i należy zapewne do grupy turystów. Gdzie się rozstał z koleją?

— W St. Louis.

— Co? Tak daleko na Wschodzie? Nie może być! Jak długo jest pan na Zachodzie?

— Tym razem od ośmiu miesięcy.

— O proszę, nie brać mi tego za złe, ale żaden żandarm w to nie uwierzy. Założę się, że

jest pan nauczycielem lub profesorem i jeździ z kolegami, aby zbierać rośliny, kamienie i motyle. Udzielę panu dobrej rady. Niech pan stąd znika. To nie jest odpowiednie miejsce dla pana. Życie każdej chwili wisi tutaj na włosku. Pan sobie nawet nie wyobraża, jakie grozi panu niebezpieczeństwo.

— O, wiem bardzo dobrze. Na przykład tu w pobliżu obozuje czterdziestu Szoszonów.

— Heavens! Czy to możliwe? Teraz naprawdę nie wiem co o panu myśleć.

— A ja myślę, sir, że tak samo jak panu, mogę dać prztyczka w nos czerwonoskórym. Już nieraz i niejeden westman omylił się co do mnie mierząc mnie zwykłą miarką. Proszę, chodźmy!

Odwrócił się i powoli ruszył do zagajnika. Obaj westmani poszli za nim, prowadząc konie za cugle. Wkrótce znaleźli się przy wspaniałym okazie jodły, wysokiej na trzydzieści metrów. Stał tu pyszny kary ogier o czerwonych chrapach i owych wirowatych kudłach grzywy, które u Indian uchodzą za znak przednich zalet. Siodło i uprząż miał najlepszej indiańskiej roboty, a do siodła był przytroczony płaszcz gumowy. Z bocznej torby wystawał futerał teleskopu. Na ziemi leżała ciężka, dwururkowa niedźwiedziówka najmocniejszego kalibru. Gdy Jemmy ujrzał tę broń, zbliżył się do niej szybko, podniósł, obejrzał i zawołał:

— Ta broń jest... jest... Ach, nigdy jeszcze jej nie widziałem, ale znam ją dobrze. Ta niedźwiedziówka oraz srebrna strzelba wodza Apaczów Winnetou są najsłynniejszymi strzelbami Zachodu. Niedźwiedziówka należy do...

Zatrzymał się i obejrzał właściciela nieprzytomnie, po czym dodał:

— To pańska broń, a sztucer w pańskiej ręce też nie jest odświętną flintą, ale jednym z owych siedmiu sztucerów Henry'ego, jakie w ogóle istniały. Frank, Frank, czy pan wie, kim jest ten jegomość?

— Nie. Nie oglądałem jego metryki.

— Człowieku, nie kpij! Stoi pan przed Old Shatterhandem!

— Old Shat... — Kulawy odstąpił na kilka kroków. — Wszystkie dobre duchy! — krzyknął. — Old Shatterhand! Wyobrażałem go sobie trochę inaczej!

— Ja też.

— A jak, messieurs<sup>[25]</sup>? — zapytał z uśmiechem myśliwy.

— Długiego i szerokiego jak kolos z Varus<sup>[26]</sup> — odparł uczony Sas.

— Tak, postaci kolosalnej — potwierdził Gruby.

— A więc widzi pan, że moja sława jest większa niż zasługi. Co się wspomni przy



jednym ognisku, to się podwaja przy drugim, a przy trzecim urasta już sześciokrotnie. W ten sposób człowiek uchodzi za istne dziwo.

— Ale to, co się o panu opowiada, to...

— E, tam! — urwał Old Shatterhand krótko. — Zostawmy to! Raczej panu wyjaśnię, w jaki sposób powstał ten osobliwy ślad. Niech pan obejrzy te cztery prawie okrągłe, grube plecionki z sitowia i słomy, zaopatrzone w rzemienie i sprzączki. Zrobiłem je wczoraj w wolnej chwili, aby dzisiaj zwieść moich ewentualnych prześladowców. Gdy przymocuje się te sprzączki do kopyt, pozostawiają one w piaszczystym gruncie ślad, który można przypisać słoniowi. Oczywiście utrudniają jazdę i prędko się niszczą.

— Do licha! A to numer! — odezwał się Frank. — Teraz nareszcie rozjaśniło się w mojej nocy duchowej. Co by powiedział nauczyciel z Moritzburga?

— Nie mam honoru znać tego pana, ale za to mam przyjemność, że was obu zaskoczyłem. Na skalistym gruncie ślad nie zostawał, więc zsiadłem z konia i zdjąłem plecionki, aby szybko jechać dalej. Z pewnych oznak bowiem wywnioskowałem obecność wrogich plemion. Istotnie, moje przypuszczenia okazały się słuszne i potwierdziły się, kiedy przybyłem do tego drzewa.

— Czy znalazł pan tutaj ślady Indian?

— Nie. To drzewo jest miejscem spotkania z Winnetou i...

— Winnetou! — przerwał Jemmy. — Czy jest tu wódz Apaczów?

— Tak. Przybył tu przede mną i zostawił mi znak, że jeszcze dzisiaj wróci. W każdym razie szpieguje Szoszonów.

— Czy wie o ich obecności?

— On właśnie mnie o tym zawiadomił. Nożem porobił w suchym drzewie znaki. Wyczytałem z nich, że był tutaj, że wróci i że w pobliżu jest czterdziestu Szoszonów. Na resztę wiadomości muszę poczekać.

— A więc pan tutaj zostaje?

— Tak, do powrotu Winnetou na pewno. A potem wraz z Apaczem odszukam wasz obóz. Wprawdzie dążymy do innego celu, ale jeśli mój przyjaciel się zgodzi, to jestem gotów towarzyszyć wam do Yellowstone.

— Naprawdę? Naprawdę? — zapytał Jemmy bardzo uradowany.

— W takim razie mógłbym przysiąc, że uwolnimy jeńców!

— Niech pan nie będzie zbyt pewny. Jestem... — umilkł, gdyż Frank wydał stłumiony okrzyk przerażenia wskazując ręką w kierunku zagajnika, przez który na piaszczystej równinie widać było oddział jeźdźców indiańskich.

— Szybko na konie i pędem do swoich! — krzyknął Shatterhand. — Jeszcze nas nie zauważono. Ja przyjadę później.

— Łotry znajdą nasze ślady — rzekł Jemmy dopadając kłusaka.

— Tylko jedźcie jak najszybciej! To jedyny ratunek dla was!

— Ale pana odkryją!

— Niech pana o to głowa nie boli. Naprzód! Naprzód!

Obaj myśliwi pomknęli co tchu. Old Shatterhand rozejrzał się uważnie. Na kamiennym żwirze nie było żadnego śladu. Żwir ciągnął się najpierw szeroką wstęgą, ale potem coraz węższą i węższą po stromej skarpie, aż wreszcie ginął wśród gęstych jodeł. Old Shatterhand zawiesił sztucer u siodła, niedźwiedziówkę zaś na plecach, po czym rzekł do konia jedno słowo w narzeczu Apaczów:

— Peniyil! — Chodźmy!

Wspinał się wielkimi, szybkimi krokami po skarpie, a za nim, posłusznie niby pies, szedł ogier. Po prostu trudno było uwierzyć, że koń zdoła wspiąć się na tę wyżynę, a jednak po krótkim wysiłku jeździec i wierzchowiec dotarli do drzew. Shatterhand położył rękę na szyi zwierzęcia — Iszkubsz! — Spać! Natychmiast rumak położył się i odtąd leżał nieruchomo.

Szoszoni zauważyli ślad; zbliżali się z wielką szybkością.

Nie upłynęły dwie minuty od chwili ucieczki obu Niemców, a już Indianie dojechali do olbrzymiej jodły. Niektórzy zeskoczyli z koni, aby zbadać dokładnie ślady.

— Ive, ive, mi, mi! — Tu, tu, naprzód, naprzód! — zawołał jeden z Indian.

Znalazł czego szukał, ale nie zwrócił uwagi na tę okoliczność, że jeden ze śladów gdzieś się zgubił. Czerwonoskórzy niebawem znikli. Shatterhand ze swego ukrycia usłyszał, jak galopowali w pościgu za dwoma myśliwymi.

Naraz koń parsknął bardzo cicho. Był to pewny znak, że pragnął na coś zwrócić uwagę swego pana. Zwierzę oglądało człowieka wielkimi, mądrymi ślepiami, po czym zwróciło łeb na bok, ku górze. Myśliwy ze sztucerem w ręku ukląkł i badawczo spojrzał w górę. Old Shatterhand szybko odłożył sztucer. Zauważył przez najniższe gałęzie parę mokasynów ozdobionych szczeciną morskiego jeża. Wiedział, że człowiekiem, który nosił to obuwie, był jego najlepszy

druh.

\* \* \*

Winnetou był ubrany podobnie jak Old Shatterhand, tylko, zamiast butów nosił mokasyny. Ponadto miał obnażoną głowę. Długie, gęste, krucze włosy, wysokie niby hełm, były splecione skórą grzechotnika. Orle pióra nie zdobiły jego indiańskiej fryzury — ten mąż bowiem miał godność wodza, której nie musiał podkreślać ozdobami. Na szyi nosił woreczek z lekami, fajkę pokoju i potrójny łańcuch z pazurów niedźwiedzich — zwycięskie trofea, które zdobył z narażeniem życia. W ręku trzymał dubeltówkę; drewniana kolba była gęsto nabijana srebrnymi gwoździami. Była to owa słynna srebrna strzelba, która nigdy nie chybiała celu. Rysy jego poważnej, po męsku pięknej twarzy można było nazwać niemal klasycznie rzymskimi. Kości policzkowe zaledwie wystawały na matowym obliczu o lekkim brązowym odcieniu.

To Winnetou — Płonąca Woda, wódz Apaczów, najwspanialszy z Indian, jego imię żyje w każdej strażnicy i przy każdym ognisku. Sprawiedliwy, mądry, wierny, odważny aż do zuchwalstwa, szczerzy przyjaciel i obrońca wszystkich pozbawionych pomocy bez względu na kolor skóry — jako taki słynął wzdłuż i wszerz Stanów Zjednoczonych i poza ich granicami.

Old Shatterhand podniósł się z ziemi. Chciał przemówić, ale Winnetou skinął dłonią nakazując milczenie. Gestowi temu towarzyszył wymowny błysk oka.

Z dala słyhać było jakieś jednostajne dźwięki, które powoli się zbliżały. Były to tony moll w takcie czteroósemkowym, dwie pierwsze ósemki na małej tercji i ćwierć na "prima", mniej więcej jak cca — cca. A następnie rozbrzmiał na wysokiej kwincie "e" radosny okrzyk.

Teraz usłyszeli głośny tętent, śpiew stawał się coraz wyraźniejszy. Było to tylko jedno słowo: totsi-wuw, totsi-wuw!, oznaczające skórę skalpu. Old Shatterhand pojął, że obaj myśliwi nie zdołali umknąć.

Wkrótce wyminęli go Szoszoni jadąc indiańskim szykiem, jeden za drugim. Pośrodku jechali obaj jeńcy. Zabrano im broń i przytroczono lassami do koni. Jeńcy nie zdradzili się żadnym spojrzeniem, że wiedzą o bliskości ukrytego przyjaciela. Pochód zniknął. Przez krótki czas słyhać było jeszcze monotonne "totsi-wuw, totsi-wuw!", potem i te dźwięki ucichły.

Winnetou odwrócił się i nie mówiąc ani słowa opuścił miejsce, w którym stał obok Old Shatterhanda. Po dziesięciu minutach Apacz wrócił prowadząc za cugle konia przypominającego rumaka Old Shatterhanda. Trudno było pojąć, jak to zwierzę tak pewnie umiało sobie radzić ze

stromym gruntem i gęstym lasem. Biały zapytał:

— Wódz Apaczów odkrył miejsce, gdzie wojownicy Szoszonów rozbili obóz?

— Winnetou szedł za ich śladem — odparł zapytany. — Pojechali na miejsce, które przed wiekami woda z gór spływała do Rdzawego Jeziora. Następnie ślad prowadzi na lewo poprzez wyżynę ku nastla-atahehle<sup>[27]</sup>, gdzie rozbili namioty.

— Czy są to namioty mieszkalne?

— Nie, wojenne. Wodzem jest Oihtka-Petay, Mężny Bawół. Winnetou widział go z daleka i poznał po trzech bliznach na policzkach.

— Co postanowił mój czerwony brat?

— Winnetou nie zamierzał pokazać się Szoszonom. Nie lęka się ich, ale ponieważ są na ścieżce wojennej, więc rozprawa będzie nieunikniona, a Winnetou chciałby tego uniknąć i nie zabijać nikogo, ponieważ nic złego ci ludzie mu nie wyrządzili. Ale teraz oto zabrali w niewolę obu białych. Mój biały brat pragnie ich odbić, więc Winnetou będzie musiał z nimi walczyć.

Z taką to pewnością prawił Apacz o zamiarach i myślach Old Shatterhanda, który bynajmniej nie był tym zdumiony i zapytał tylko:

— Czy mój brat odgadł, kim są ci dwaj jeńcy?

— Winnetou widział postać grubasa i wie zatem, że to Jemmy-Petahtszeh, Gruby Jemmy. Jego towarzysz utykał kiedy zszedł z konia, który, podobnie jak odzież jeźdźca, był tak świeży, jak gdyby dopiero od niedawna znajdował się w drodze. A zatem nie mieszka daleko stąd. Jest to więc inda-hisz-szohl-dentszu, którego biali nazywają Hobble-Frankiem — towarzysz niedźwiedźnika.

Apacze nie mają specjalnego słowa na znaczenie "kuleć". Cztery słowa wyrzeczone przez Winnetou oznaczały: "człowiek, który źle stawia nogę".

— Mój czerwony brat odgadł imiona obu myśliwych — odezwał się Old Shatterhand. — Winnetou widział, jak Hobble-Frank kuleje, a więc widział, jak rozmawialiśmy ze sobą?

— Tak. Winnetou szpiegował obóz Szoszonów i zobaczył, że oddział wyruszył w kierunku Rdzawego Jeziora. Wiedząc, że jego biały brat tam przybędzie, wyruszył przez wyżyny i lasy wprost do drzewa spotkania. Pod koniec drogi koń nie pozwalał mu się śpieszyć do brata i ostrzec go, więc zsiadł z konia i skradał się pieszo. Z góry zobaczył swego brata w chwili, gdy rozmawiał z dwoma białymi. Winnetou przypuszcza, że ci dwaj nie znajdowali się sami nad Rdzawym Jeziorem i w Devil Head. Natrafili zapewne na trop Old Shatterhanda i odłączyli się

od swoich towarzyszy, aby przez krótki czas jechać za śladem.

Jeszcze jeden dowód jego niezwyklej przenikliwości. Old Shatterhand opowiedział w krótkich słowach, czego się dowiedział od Jemmy'ego i Franka. Apacz przysłuchiwał się uważnie i rzekł:

— No tak! Psy Siuksów wyjechały na ścieżkę, aby się dowiedzieć, że Old Shatterhand i Winnetou nie dopuszczą do zguby pogromcy niedźwiedzi. Dziś odbijemy Grubego i Kulawego, a następnie z nimi i ich towarzyszami pojedziemy do To-li-tli-tsu<sup>[28]</sup>.

Mój czerwony brat wypowiedział moje życzenie. Nie przyszlśmy tutaj, aby rozlewać krew czerwonoskórych, ale nie dopuścimy, aby Siuksowie Ogallalla składali niewinnych w ofierze. Niech Winnetou towarzyszy mi w wyprawie do tych, którzy wyruszyli, aby uwolnić pogromcę niedźwiedzi.

Sprowadzili konie ze skarpy i pojechali w tym samym kierunku, w którym poprzednio usiłowali uciec Jemmy i Frank.

Niedługo było do zmroku, więc obaj jeźdźcy puścili rumaki w cwał. Wkrótce dotarli do miejsca, gdzie Szoszeni schwywali jeńców. Zatrzymali się, aby zbadać ślady.

— Nie walczone — oświadczył Winnetou.

— Nie. Gdyby się bronili, wpadliby również w ręce Szoszonów, z tą tylko różnicą, że nie wyszliby z tej walki cało. Pojęli, że opór może tylko pogorszyć ich los, więc poddali się dobrowolnie.

Winnetou, z właściwym sobie szczególnym i wyraźnym gestem rzekł:

— Odwaga jest ozdobą męża, ale roztropnością można pokonać więcej wrogów niż tomahawkiem. Howgh!

Pojechali dalej na południe wzdłuż łańcucha wzgórz. Z lewej strony zaczynał się brzeg dawnego jeziora.

— Czy mój brat ma jakiś plan uwolnienia białych? — zapytał Old Shatterhand.

— Winnetou obejdzie się bez planu. Wróci do Szoszonów i porwie obu białych. Ci Indianie dowiedli, że brak im rozumu.

Shatterhand wiedział, co ma na myśli Apacz.

— Tak — rzekł. — Żaden z nich nie pomyślał, że obaj myśliwi nie są sami na tym odludziu. Gdyby bowiem pomyśleli, niewątpliwie wysłaliby kilku zwiadowców. Mamy więc przed sobą ludzi, których rozsądek nie jest dla nas niebezpieczny. Jeśli sam wódz, Oihtka-Petay,

przewodziłby temu oddziałowi, na pewno rozesłałby wywiadowców.

— Nic by jednak nie znaleźli, gdyż Winnetou i Old Shatterhand ściągnęliby ich uwagę na siebie i zwiedliby ich z tropu.

W tej chwili dotarli do miejsca, gdzie wąwóz, dążąc ku zachodowi, wciskał się w wyżynę. Znaleźli ślady poszukiwanych, ale wskutek mroku trudno je było rozpoznać. Zawrócili na prawo, podążając za tropem.

Wąwóz był w miarę szeroki i dosyć dostępny. Obaj jeźdźcy mimo ciemności posuwali się szybko naprzód. Nie podkute konie nie robiły hałasu.

Nagle jakby wąski wąwóz rozbiegł się z lewej strony. Obaj jeźdźcy osadzili rumaki. Czy był to ten wąwóz, w którym rozbili obóz czterej poszukiwani?

Koń Winnetou zaczął grzebać kopytem ziemię i parsknął cicho, co oznaczało, że zwierzę czuje coś obcego, a nawet wrogiego.

— Jesteśmy na właściwej drodze — oświadczył biały. — Jedźmy na lewo. Koń daje znać, że w głębi ktoś jest.

Mniej więcej po dziesięciu minutach powolnej jazdy wąwóz lekko skręcał. Kiedy minęli zakręt, zobaczyli w odległości stu kroków od siebie ognisko. W tym miejscu wąwóz rozszerzał się i tworzył jak gdyby zadrzewiony placyk, pośrodku którego bilo z ziemi źródło, rozsiewając swoją skąpą wodę na piasek.

Nad źródłem drzewa rozstąpiły się i utworzyły wolne miejsce, gdzie właśnie płonęło ognisko. Obaj jeźdźcy ujrzeli trzy osoby, których twarze z powodu odległości trudno było rozpoznać.

— Jest ich tylko trzech, a my szukamy czterech — rzekł Winnetou.

— Zanim spostrzegą nas, powinniśmy się przekonać, czy to ci, których szukamy.

Zeskoczył z konia, Old Shatterhand poszedł za jego przykładem.

— Wystarczy, że ja sam pójdę — powiedział Shatterhand.

— Dobrze. Winnetou poczeka.

Ujął konie za cugle i zbliżył się do skały. Old Shatterhand podkraść się ostrożnie, po czym pełzał od drzewa do drzewa, aż położył się pod ostatnim i mógł oglądać trójkę z całym spokojem. Mógł ich nawet podsłuchać.

Był to Długi Davy z Wohkadehem i Marcinem Baumannem. Murzyna Boba nie było. Poczciwy Bob zapłonął prawdziwym zapałem do przygody i czuł się bardzo ważny. Tuż po

wieczerzy podniósł się i oświadczył, że będzie dbał o bezpieczeństwo swego młodego pana i obu pozostałych mężczyzn. Na próżno Davy perswadował, że nie jest to konieczne.

Jednak zamiast strzec wejścia do wąwozu, skąd jedynie mogło im coś grozić, Murzyn stanął na jego drugim końcu. Tu nie zauważył nic podejrzanego, więc wrócił do ogniska w chwili, gdy Old Shatterhand stanął za drzewem.

— Bobie — rzekł Davy — zostań tutaj. Na co przyda się twoje bieganie? Na pewno w pobliżu nie ma Indian.

— Skąd pan Davy móc wiedzieć? — odpowiedział Bob. — Indianin móc być wszędzie, na prawo, na lewo, z góry, z dołu, z tej strony, z tamtej, na przedzie, z tyłu.

— I w twojej głowie — roześmiał się Długi Davy.

— Pan móc się śmiać. Bob znać swój obowiązek. Pan Bob być wielki i znany westman — nie robić błęd. Kiedy czerwonoskóry przyjsć, pan Bob od razu ich zakatrupić.

Wyłamał młodą, suchą jodłę i trzymał ją w swoich olbrzymich rękach. Z tą bronią czuł się pewniej niż ze strzelbą. Pełen poczucia własnej godności kroczył w przeciwną stronę. Ponieważ szedł do miejsca, w którym stał Winnetou, więc należało się wkrótce spodziewać zderzenia, Wobec tego Old Shatterhand pozostał jeszcze na swoim miejscu.

Przewidywania westmana sprawdziły się. Murzyn był już blisko tego miejsca. Wiadomo, że konie indiańskie niełatwo oswajają się z Murzynami, zapewne wskutek ostrego zapachu ich skóry. Oba rumaki zwąchały Murzyna z daleka i bardzo się zaniepokoiły. Winnetou spostrzegł ciemną skórę zbliżającego się mężczyzny, a ponieważ słyszał od Old Shatterhanda, że w wyprawie bierze udział Murzyn, więc był przekonany, że ma przed sobą przyjaciół. Pozwolił więc Murzynowi się zbliżyć.

Jeden z rumaków parsknął. Bob usłyszał, zatrzymał się i natężył słuch. Powtórne parsknięcie dowiodło mu, że ktoś znajduje się w pobliżu.

— Kto tu być? — zapytał.

Cisza.

— Bob pytać kto tu być! Jak nie odpowiedzieć, to pan Bob zabić. Kto tu być?

I tym razem nie doczekał się odpowiedzi.

— No, to musieć umrzeć wszyscy, którzy tu być!

Wzniósł do góry maczugę i podszedł bliżej. Ogier Winnetou rozdał chrapy i zaiskrzyły mu się oczy. Stanął dęba i kopał przednimi kopytami w kierunku Boba, który ujrzał przed sobą

wysoką, ogromną postać, zauważył błyszczące ślepie i usłyszał groźne parskanie. Jedno kopyto huknęło mu nad głową i cofając się odrzuciło pana Boba na bok.

Był to odważny zuch, ale nie śmiał wdawać się w rozprawę z takim przeciwnikiem. Wypuścił z rąk maczugę i dał drapaką krzycząc na całe gardło:

— Woe is me! Help, help, help<sup>[29]</sup>! Chcieć zabić pan Bob! Chcieć połknąć pan Bob! Help, help, help!

Trzej siedzący przy ognisku zerwali się na równe nogi.

— Co takiego? — zapytał Davy.

— A giant<sup>[30]</sup>, olbrzym, mara, upiór, chcieć zadusić pan Bob!

— Bzdury! Gdzież to?

— Tam przy skale.

— Nie wystawiaj się na kpinki, Bob! Nie ma upiorów!

— Pan Bob widzieć.

— To była chyba dziwnie ukształtowana skała.

— Nie, to nie być skała!

— Albo drzewo.

— To nie być drzewo! To być żywe!

— Zdawało ci się tylko.

— Pan Bob nie zdawać się. Upiór być wielki, tak wielki! — mówiąc to podniósł ręce. — Mieć oczy jak ogień, otwierać usta jak paszcza i tak dmuchać na pana Boba, że pan Bob upaść. Pan Bob widzieć duża broda, taka duża, taka duża!

Zapewne widział mimo ciemności długą grzywę ogiera i uważał ją za brodę olbrzyma.

— Postradałeś zmysły! — stwierdził Davy.

— O, pan Bob być przy zmysłach, bardzo przy zmysłach. Wiedzieć co widzieć. Pan Davy też pójść i też zobaczyć.

— No, zobaczymy, co takiego Murzyn wziął za upiora czy olbrzyma!

Chciał pójść. W tej chwili rozległy się za nim słowa:

— Niech pan zostanie na miejscu, Mr Davy. Nie ma tam upiora.

Davy obejrzał się gwałtownie i przyłożył do ramienia broń. Wohkadeh i Marcin Baumann również sięgnęli po strzelby. Wszystkie trzy lufy były skierowane w Old Shatterhanda, który się podniósł z ziemi i wyszedł zza drzew.



— Good evening! — powitał wszystkich. — Schowajcie broń, panowie! Przybywam jako przyjaciel z ukłonem od Grubego Jemmy'ego i od Hobble-Franka.

Długi Davy opuścił strzelbę, pozostali dwaj poszli za jego przykładem.

— Ukłony od nich? — zapytał. — A więc się spotkaliście?

— Tak, oczywiście, na dole, nad brzegiem Rdzawego Jeziora, dokąd tropili ślad słonia.

— Prawda! Czy zbadali tę tajemnicę?

— Owszem. To był ślad mojego konia.

— Do licha! Miałby takie olbrzymie płatfusy, sir?

— Nie. Wręcz przeciwnie. Ma nader miłe kopytka. Ale były obute w plecionki, aby zmylić wrogich Indian.

Długi w lot pojął całą kombinację.

— Ach, jak mądrze! Ten obcy westman ubiera swego rumaka w podeszwy słonia, aby zmylić ludzi, którzy będą szli jego śladem. Człowieku, ten pomysł jest tak wyśmienity, tak świetny, jakbym to ja sam był jego autorem!

— O tak, Długi Davy, ze wszystkich myśliwych, którzy zaludniają obszary między dwoma oceanami, miewa najlepsze pomysły.

— Niech pan nie kpi! Jestem jeszcze tak rezolutny jak pan. Zrozumiano?

Mówiąc to, pogardliwie obejrzał Old Shatterhanda od stóp do głowy.

— Nie wątpię — odparł Shatterhand. — A ponieważ jest pan tak mądry, więc zechciej mi powiedzieć, jaki to upiór przeraził poczciwego Boba?

— Połknę cetnar kul bez masła i pietruszki, jeśli to nie był pański koń.

— Zdaje się, że pan zgadł.

— Aby to odgadnąć, nie trzeba nawet być dawnym gimnazjalistą, jak Gruby Jemmy. Ale teraz powiedz, sir, gdzie jest Gruby i Frank? Dlaczego przyszedł pan bez nich?

— Ponieważ zostali zatrzymani. Oddział Szoszonów zaprosił ich do siebie na kolację.

Długi krzyknął z gestem przerażenia:

— Heavens! To ma znaczyć, że wzięto ich do niewoli?

— Tak, napadnięto ich i uprowadzono.

— Szoszeni? Schwytali? Uprowadzili? To sobie wypraszamy! Wohkadeh, Marcinie, Bob, szybko na koń! Musimy ścigać Szoszonów!

— Chwileczkę, sir! — rzekł Old Shatterhand. — Czy chociaż pan wie, gdzie są

wrogowie?

— Nie, ale mam nadzieję, że pan będzie mógł to powiedzieć.

— A czy pan wie ilu ich jest?

— Ilu? Czy łądzi się pan, że będę ich liczył, kiedy trzeba odbić mojego Grubego Jemmy'ego? Może ich być stu, dwustu — to nie robi mi żadnej różnicy. On musi odzyskać wolność.

— A więc niech pan poczeka jeszcze chwileczkę. Sądzę, że mamy sobie do powiedzenia coś jeszcze. Nie jestem tu sam. Oto nadchodzi mój towarzysz, który chce was powitać.

Winnetou zauważył, że Old Shatterhand rozmawia z tymi ludźmi, więc i on mógł się zbliżyć. Długi Davy był zdumiony, że widzi czerwonoskórego w towarzystwie białego, ale nie uważał widocznie Apacza za kogoś godnego szczególnej uwagi, gdyż powiedział:

— Czerwonoskóry! I tak samo jak pan, jakby świeżo wyjęty ze skorupki jajka! Nie jest pan westmanem?

— Nie, właściwie nie. To pan znowu dobrze odgadł.

— Tak też sądziłem. A ten Indianin jest zapewne także osiadły. Wielki ojciec z Waszyngtonu zapewne ofiarował mu parę garści ziemi?

— Teraz strzelił pan jak kulą w płot, sir.

— Czyżby?

— Naturalnie. Mój towarzysz nie jest człowiekiem, który przyjmuje dary od prezydenta Stanów Zjednoczonych. Raczej on...

Przerwał mu Wohkadeh okrzykiem radosnego zdumienia. Młody Indianin podszedł do Winnetou i zauważył jego strzelbę.

— Uff, uff! — zawołał. — Maza-skamon-za-wakon! — Srebrna strzelba!

Długi Davy tyle jeszcze rozumiał z narzecza Siuksów, by zrozumieć Indianina.

— Srebrna strzelba? — zapytał. — Gdzie? Ach, tu, naprawdę?

— To Maza-skamon-za-wakon! — powtórzył Wohkadeh. — Ten czerwony wojownik to Winnetou, wielki wódz Apaczów!

— Do piorunów! — zawołał Davy. — Ale jeżeli ten czerwonoskóry dżentelmen jest naprawdę Winnetou, to ten...

Urwał, zapominając ze zdumienia zamknąć ust. Wbił spojrzenie w Old Shatterhanda, klasnął w ręce, skoczył w górę i zawołał:

— No, to dopiero strzeliłem gafę! Już większej nie mogłem zrobić! Jeśli ten Indianin jest Winnetou, to pan nie jest nikim innym jak tylko Old Shatterhandem, gdyż ci dwaj ludzie są tak ze sobą zrośnięci jak ja i Gruby Jemmy. A więc niech pan powie, czy to prawda?

— Tak. Tym razem nie omylił się pan.

— Z radości chciałbym wszystkie gwiazdy strącić z nieba i posadzić je na drzewach, aby uczcić wieczór naszego spotkania! Witam was, panowie, witam u naszego ogniska! Wybaczcie głupstwo, które popełniliśmy!

Wyciągnął ręce i uściśnął obu przybyszów z entuzjazmem. Bob nie puścił pary z ust, wstydził się, że wziął konia za upiora. Wohkadeh, cofnąwszy się aż do drzew, spoglądał z podziwem na obu myśliwych. U Indian bowiem młodzież jest bardzo skromna i wstydliva. Wohkadeh nie uważał się za uprawnionego do przebywania w pobliżu tak czcigodnych mężów. Marcin Baumann ciekawie oglądał tych ludzi, o których tyle słyszał. Stał oto przed dwoma swoimi ideałami, na których pragnął się wzorować.

Winnetou odpowiedział Dłугоmu Davy'emu uściskiem ręki, pozostałym skinął przyjaźnie głową. Tak dyktowała mu jego powaga. Old Shatterhand natomiast, człowiek o żywszym temperamentie i niezwykle humanitarny, wszystkim, nawet Murzynowi, podał rękę. Wohkadeh, wzruszony tym do głębi, położył prawicę na sercu i wyszeptał:

— Wohkadeh chętnie odda życie za Old Shatterhanda. Howgh!

Po wzajemnym powitaniu wszyscy usiedli przy ognisku. Shatterhand zaczął opowiadać, Winnetou zaś, milcząc, napełniał fajkę. Ucieszony Davy zrozumiał, że Winnetou pragnie z nimi wypalić fajkę pokoju. Jego przypuszczenie w rzeczy samej sprawdziło się, gdyż Old Shatterhand w końcu oświadczył, że Winnetou i on dziś jeszcze odbiją Jemmy'ego i Franka, a następnie będą im towarzyszyć do Yellowstone.

Winnetou zapalił fajkę i powoli się podniósł. Po wydmuchaniu dymu w przepisanych kierunkach oznajmił, że pragnie zostać nta-je — starszym bratem — nowych znajomych, po czym przekazał fajkę Old Shatterhandowi. Następnie dostał ją Davy, który, pociągnąwszy zgodnie ze zwyczajem sześć razy, odczuł ogromne zakłopotanie. Dwaj znakomici mężowie kurzyli z tej fajki, czy więc może ją dać chłopcom, a także Murzynowi?

Winnetou pojął myśli Dłугоgo Davy'ego. Skinął głową w kierunku trzech pozostałych i rzekł:

— Syn pogromcy niedźwiedzi zabił grizzly, Wohkadeh zaś jest zwycięzcą białego

bawołu. Obaj wyrosną na wielkich bohaterów — niech wypalą z nami fajkę pokoju, jak również ten czarny mąż, który miał odwagę mierzyć w upiora.

Był to żart, który w innych okolicznościach wywołałby żywe wybuchy śmiechu, lecz obrzęd palenia kalumetu wyklucza tego rodzaju wesołość. Bob chętnie by się zrehabilitował i dlatego, otrzymawszy fajkę, pociągnął sześć razy z całych sił, podniósł rękę, rozcapierzył pięć palców, jak gdyby pragnąc złożyć pięciokrotną przysięgę i zawołał:

— Bob być pan Bob, bohater i dżentelmen. On być przyjaciel i obrońca pana Winnetou i pana Old Shatterhanda. On zabić wszystkich ich wrogów, on zrobić wszystko dla nich, on... on... on... on wreszcie siebie samego zabić!

To była przyjaźń ponad miarę. Obracał oczami i zgrzytał zębami, aby pokazać, że poważnie traktuje swoje zapewnienie.

Oczywiście Długi Davy był wściekły, że jego Gruby wpadł w ręce Szoszonów, Marcin zaś był niespokojny o los Hobble-Franka. Obaj byli gotowi narazić życie za swoich przyjaciół. Obaj nalegali na natychmiastowy wymarsz. Nikt się temu nie sprzeciwiał. Pośpiesznie przejechali przez dwa wąwozy, które uprzednio przebyli. Potem skręcili na lewo, na północ. Nie ujechali daleko, gdy Winnetou osadził konia. Pozostali jeźdźcy zrobili to samo.

— Winnetou będzie jechał przodem — rzekł Apacz. — Niech moi bracia jadą za mną nie szybciej, niż gdyby szli chryżym krokiem i niech unikają najlżejszego hałasu. Niech uczynią wszystko, czego zażąda od nich Old Shatterhand.

Zeskoczył z konia i przez chwilę uwijał się przy jego kopytach, po czym dosiadł wierzchowca i pogalopował. Tętent brzmiał głucho, jakby ktoś uderzał pięścią o ziemię. Reszta towarzystwa ruszyła za nim powolniejszym kłusem.

— Co takiego Winnetou zrobił? — zapytał Davy.

— Czy nie widzieliście, jak poprzednio przytroczyłem mu plecionki? — odpowiedział Old Shatterhand. — Obuł w nie swego ogiera, aby go nie usłyszano.

— Ale dlaczego?

— Szoszoni, którzy schwytali waszych przyjaciół, nie pomyśleli, że ci mogą mieć w pobliżu towarzyszy. Ale Mężny Bawół, ich wódz, jest mądrzejszy i rozumniejszy od swoich wojowników. Domyśli się, że myśliwi nie odważyliby się zapuścić w tak niebezpieczne okolice samotnie. Bardzo więc możliwe, że wysłał wywiadowców.

— Byłby to daremny wysiłek. Jak mogliby nas spostrzec w tych mrokach? Nie wiedzą

gdzie jesteśmy, a nie zobaczą przecież naszych śladów.

— Uchodzi pan za dobrego westmana, dziwię się więc, że plecie pan podobne banialuki, Davy. Jesteśmy na terenach myśliwskich i pastwiskach Szoszonów, którzy znają je na wylot.

— Oczywiście.

— No więc niech pan pomyśli, co za tym idzie. Czy przezorni myśliwi obozowaliby na otwartej przestrzeni?

— Na pewno nie.

— Więc w jakiejś dolinie lub w wąwozie. Cóż, może pan objechać wielką przestrzeń dokoła, a prócz dawnego potoku, którym pojechali Szoszoni nie znajdzie pan innej doliny niż ta, w której rozbiliście obóz. A więc tam i tylko tam należy was szukać.

— Do diabła! Ma pan rację.

— Jeszcze jedno: w takich okolicach towarzysze rozłączają się tylko na krótki czas. Stąd wniosek, że nie mogliście się bardzo oddalić od Jemmy'ego i Franka. Więc obóz rozbiliście niedaleko w wąwozie, a że są tam poza tym boczne wąwozy, które każdy rozsądny westman przeniesie nad główny, więc Szoszoni dokładnie wiedzą, gdzie was szukać. Zrozumie to wódz Szoszonów, a Winnetou wie o tym dobrze. Dlatego nas wyprzedził, aby uchronić przed ciekawością jakichś wywiadowców.

Davy mamrotał coś po cichu, wreszcie rzekł:

— Dobrze, sir. Ale teraz przedsięwzięcie Apacza wydaje mi się daremne. Jakże potrafi w mrokach nocy dostrzec wywiadowców, a jednocześnie ujść ich uwadze?

— Niech pan nie zadaje takich pytań, jeżeli dotyczą one Winnetou. Przede wszystkim ma wyśmienitego rumaka — z doskonałości jego tresury nie zdaje pan sobie sprawy. Na przykład poprzednio u wylotu bocznego wąwozu zawiadomił nas o waszej obecności; także teraz, tym bardziej, że jedziemy pod wiatr, z dala zważa obecność każdego obcego. A następnie nie zna pan zapewne Apacza. Zmysły ma ostre jak zmysły zwierzęcia, a czego nie powiedzą mu oczy, słuch lub powonienie, to powie mu ten swoisty zmysł — powiedziałbym szósty — który posiadają ludzie przebywający od młodości na prerii. Jest to pewna zdolność przeczuwania, rodzaj instynktu, na którym można polegać jak na oczach.

— Hm, mam także trochę tego instynktu.

— Ja także, ale nie mogę go porównywać z Winnetou. Poza tym musi pan wziąć pod uwagę, że jego rumak ma opatrzone kopyta, podczas gdy Szoszoni nie unikną tętentu. Dopiero w

wąwozie będą się skradać pieszo.

— Hm, kiedy pan coś wytłumaczy, trzeba panu przyznać rację. Chcę z całą szczerością powiedzieć, że już niejedno przeżyłem i niejednemu drabowi dałem radę — z tego względu uważałem się za wytrawnego wygę. Ale widzę, że się nie umywam do pana. Winnetou powiedział, że musimy się stosować do pańskiej woli i to mnie trochę zabolalo, ale teraz przyznaję, że miał słuszość. Przewyższa nas pan ogromnie, więc chętnie poddam się pańskim rozkazom.

— Winnetou nie miał tego na myśli. Nie przypisuję sobie żadnej przewagi. Każdy przykłada się do wspólnego dzieła w miarę zdolności i doświadczeń i nikt nie postąpi kroku bez zgody towarzyszy. Tak musi być i my też tak będziemy postępować.

— Well! To się rozumie. Ale co zrobimy, kiedy spotkamy wywiadowców? Sprzątniemy ich, tak?

— Nie. Widzi pan, krew ludzka jest bardzo cennym płynem. Winnetou i Old Shatterhand nie rozlali ani kropli tej cieczy, jeśli nie zmuszała ich do tego konieczność. Jestem przyjacielem Indian. Wiem, po czyjej stronie jest słuszość, czy po ich, czy po stronie tych, którzy zmuszają czerwonoskórych do obrony swych praw. Indianin broni się w rozpaczliwej walce i musi zginąć, ale każda czaszka Indianina, którą pług prujący ugór wykopie z ziemi, rzuci w niebiosa ów krzyk, o którym jest mowa w czwartym rozdziale Genesis<sup>[31]</sup>. Oszczędzam Indianina, nawet jeśli jest wrogiem, gdyż wiem, że warunki zmusiły go do walki o byt. Dlatego nigdy nawet przez chwilę nie pomyślałem o popełnieniu morderstwa.

— Ale jak chce pan unieszkodliwić Szoszonów nie zabijając ich? Walki w razie spotkania i tak się nie uniknie. Będą się bronić strzelbą, tomahawkiem, nożem...

— Chwileczkę, zdaje się, że nadjeżdża Apacz!

Nie słyszeli go, a jednak w następnej chwili stanął przed nimi Winnetou.

— Dwaj wywiadowcy — rzekł lakonicznie.

— Dobrze — odezwał się Old Shatterhand. — Winnetou, Davy i ja zostaniemy tutaj. Pozostali pojedą szybko na piachy, zabiorą ze sobą konie i poczekają na nas.

Zeskoczył z konia. W ślad za nim Davy. Winnetou wręczył cugle swego rumaka Wohkadehowi. Przymocowali strzelby do siodła. Po paru sekundach trzech pozostali znikli.

— Co robimy? — zapytał Davy.

— Musi pan tylko uważać — odpowiedział Shatterhand. — Przysuń się, sir, do drzewa,

aby cię nie zobaczono. Słuchaj — nadjeżdżają!

— Szi darteh, ni awjeh! — Ja tego, a ty tamtego! — szepnął Apacz wskazując ręką na prawo i lewo. Po chwili nie było go już widać.

Długi Davy dotarł do drzewa. O dwa kroki od niego Old Shatterhand położył się plackiem na ziemi. Obaj Indianie nadjechali w szybkim tempie, rozmawiając ze sobą w dialekcie szoszońskim.

Długi Davy zauważył, że Old Shatterhand podniósł się z ziemi i skoczył.

— Saritsz! — Psie! — zawołał jeden z wywiadowców. To było jedyne słowo, które padło.

Davy skoczył. Zobaczył dwóch ludzi na jednym koniu, a właściwie czterech ludzi na dwóch koniach — obu napastników za napadniętymi. Konie stawały dęba, wierzgały, brykały — na próżno. Obaj mężowie trzymali mocno swoje ofiary. Po krótkiej walce ludzi na koniach zwyciężyli napastnicy. Rumaki stanęły spokojnie.

— Sarki? — Gotów? — zapytał biały.

— Sarki! — potwierdził Winnetou.

Old Shatterhand zeskoczył z konia trzymając wywiadowcę w ramionach. Indianin stracił przytomność.

— Halloo, ludzie, przybywajcie!

W chwilę potem nadjechał Wohkadeh, Marcin i Bob.

— Mamy ich. Przywiążemy wywiadowców lassem do koni i zabierzemy ze sobą. Mamy więc dwóch zakładników, którzy bardzo nam się przydadzą.

Szoszoni wkrótce odzyskali przytomność. Oczywiście uprzednio ich rozbrojono i związano. Teraz wsadzono jeńców na wierzchowce, związano im z tyłu ręce, a nogi pod brzuchem konia. Old Shatterhand zapowiedział, że stawianie oporu przyplacą życiem. Wreszcie podjęto dalszą jazdę. Chociaż schwytano już dwóch wywiadowców, Winnetou wciąż wyprzedzał swoich towarzyszy.

Niebawem dotarli do dawnego potoku, którym trzeba było jechać na lewo w góry. Jeźdźcy zboczyli. Wystrzegano się rozmowy, ponieważ wywiadowcy mogli znać angielski.

Po upływie godziny natrafiono na Winnetou, który czekał na nich.

— Moi bracia — rzekł — mogą tutaj zsiąść z koni. Szoszoni ruszyli przez las ku góróm. Podążymy za nimi.

Nie było to łatwe zadanie ze względu na jeńców, których nie należało zdejmować z koni. Wśród drzew panował kompletny mrok. Musieli jedną ręką macać przed sobą, a drugą ciągnąć wierzchowca. Winnetou i Old Shatterhand podjęli się najtrudniejszego zadania — szli przodem prowadząc za sobą także konie jeńców. Teraz dopiero okazała się w całej pełni wartość obu ogierów — biegły za swoimi panami niczym psy, nie wydając mimo nierównego gruntu żadnego dźwięku, podczas gdy inne konie głośno rżały.

Wreszcie pokonano uciążliwą drogę. Apacz zatrzymał się.

— Moi bracia są u celu — rzekł. — Mogą przymocować konie, a potem przywiązać jeńców do drzew.

Rozkaz został wykonany natychmiast. Jeńcom zakneblowano usta chustami, które pozwalały im oddychać nosem, ale uniemożliwiały krzyk. Apacz kazał towarzyszom iść za sobą.

Zaprowadził ich niedaleko. Stąd wyżyna, którą przybyli ze wschodu, opadała na zachód. Na dole leżała kotlina, o której wspominał Winnetou. W górę strzelał ogień. Widziano tylko jego blask, nic więcej. Okolica była pogrążona w ciemności.

— A więc tam na dole siedzi mój Gruby? — zastanawiał się Davy. — Co też Jemmy robi?

— To, co jeniec może zrobić u Indian, to znaczy nic! — odparł Marcin.

— Oho, nie zna pan Jemmy'ego, my boy<sup>[32]</sup>! Na pewno już sobie wymyślił, w jaki sposób bez pozwolenia czerwonoskórych urządzić wieczorny spacer.

— Nie udałoby mu się to bez naszej pomocy — odezwał się Shatterhand. — A zresztą, na pewno na nas liczy.

— A więc nie stracimy czasu i zbiegniemy szybko na dół, sir!

— Musimy przeprowić się bardzo ostrożnie i gęsiego. Ale przy koniach i jeńcach musi pozostać ktoś, na kim możemy polegać. Mam na myśli Wohkadeha.

— Uff! — zawołał młody Indianin, zachwycony zaufaniem Old Shatterhanda.

Właściwie był to krok dość ryzykowny; zostawić jeńców i konie, które dźwigały cały dobytek jeźdźców, pod opieką młodego Indianina, ale szczerą, z jaką Wohkadeh powiedział, że oddałby życie za Old Shatterhanda, pozyskała mu serce białego. Poza tym Shatterhand wiedział, że młodzieniec posiada zimną krew, której wymagała ta odpowiedzialna funkcja.

— Mój młody czerwony brat posiedzi przy jeńcach z nożem w ręce — rzekł. — Kiedy któryś z nich zechce uciec lub sprawić szmer, mój brat potrafi go unieszkodliwić.



— Wohkadeh nie zawaha się! — powiedział czerwonoskóry tonem bardzo wymownym i poważnym.

Wyciągnął nóż i usiadł między jeńcami, których ostrzeżono po raz drugi. Pięciu myśliwych zaczęło ukradkiem schodzić na dół.

Skarpa była, jak już wspominaliśmy, bardzo stroma. Drzewa, gęsto skupione, i chrust między nimi zmuszały ostrożnych westmanów do bardzo powolnego stąpania. Nie wolno było wywołać żadnego szmeru. Złamanie najmniejszej gałązki mogło zdradzić obecność.

Winnetou szedł na przędzie. Jego oczy najbystrzej przeszywały mrok nocy. Za nim szedł Marcin Baumann, następnie Długi Davy, Murzyn Bob i na końcu Old Shatterhand.

Minęły przeszło trzy kwadranse zanim pokonano przestrzeń która za dnia wymagałaby pięciu minut pieszej przeprawy. Znaleźli się wreszcie w kotlinie na skraju lasu. Rosły tu pojedyncze krzewy, a ziemia zarośnięta była trawą.

Ogień płonął jasno, zgoła nie po indiańsku, co oznaczało, że Szoszoni czują się tutaj pewnie.

Biali zwykle składają drzewo w stos i płomień ogarnia je całkiem, świeci jasno i daleko i bardzo dymi. Indianie natomiast układają polana tak, że jak promienie koła, zbiegają się w jednym punkcie. W ten sposób płonie małe ognisko, do którego podrzuca się na miejsce spalonej szczapy nową. To daje odpowiedni dla celów Indian, mały, słabo dymiący ogień, który łatwo ukryć i którego z wielkiej odległości nie sposób dostrzec. Poza tym Indianie wybierają specjalny rodzaj opału, który przy spalaniu nie wydziela szczególnego zapachu. Zapach dymu jest na Zachodzie bardzo niebezpieczny. Wrażliwy węch Indian wyczuwa go z wielkiej odległości.

Tutaj ogień był podsycany na sposób białych i zapach pieczonego mięsa rozchodził się po całej kotlinie. Winnetou wciągnął zapach w nozdrza, po czym rzekł:

— Mokasi-si-tsze — grzbiet bawoli.

Powonienie miał tak czułe, że mógł nawet określić, jaka część ciała zwierzęcia się piecze.

Widać było trzy wielkie namioty. Tworzyły duży trójkąt. Na przedłużeniu jego wysokości leżeli westmani. Najbliższy namiot był ozdobiony orlimi piórami, a więc był to namiot wodza. Ognisko płonęło pośrodku trójkąta.

Konie czerwonoskórych pasły się swobodnie na łące. Wojownicy leżeli przy ognisku i odcinali kawałki pieczeni, która wisiała na gałęzi nad płomieniem. Choć byli pewni bezpieczeństwa, jednak na wszelki wypadek rozstawili strażę, które po cichu i powoli

maszerowały tam i z powrotem.

— Piekielna historia — szepnął Davy. — Jak wydostaniemy naszych towarzyszy? Jak myślicie, panowie?

— Przede wszystkim chcielibyśmy poznać pańskie zdanie, Mr Davy — odpowiedział Shatterhand.

— Moje? Do licha! Nie mam żadnego!

— A więc może zechce się pan zastanowić.

— To na nic! Inaczej sobie wyobrażałem to wszystko. Ci Szoszoni nie mają rozumu. Wszyscy przykucnęli między namiotami, dokoła ognia tak, że nie można się wkraść do żadnego wigwamu. Mogliby postąpić inaczej.

— Widzę, że lubi pan wygodę, sir! Czy chciałby pan, żeby Indianie wymościłi gładki trakt i sprowadzili do nas powozem pańskiego Grubego Jemmy'ego? No, w takim razie nie powinien pan mieszkać na Zachodzie.

— Słusznie! Gdyby chociaż było wiadomo, w którym namiocie umieszczono jeńców...

— Zapewne w namiocie wodza.

— A więc proponuję coś. Podkradniemy się tak blisko, jak tylko można, a kiedy nas zauważą, napadniemy na nich — z takim krzykiem i rwetesem, aby myśleli, że jest nas stu. Z przerażenia dadzą drapakę. Wyciągniemy z namiotu jeńców i czmychniemy co sil. Jak się panu podoba ten plan?

— Wcale mi się nie podoba.

— O! Czy pan sądzi, że można wymyśleć coś lepszego?

— Nie twierdzę, że wymyślę coś lepszego, ale w każdym razie nie będzie to tak niedorzeczne.

— Sir, czy to ma być obelga?! Jestem Długim Davy!

— Wiem o tym od pewnego czasu. Nie ma mowy o obeldze. Przecież sam pan stąd widzi, że Indianie trzymają broń w pogotowiu. Nie będą głupi, aby tak przecenić naszą liczbę, jakby pan sobie tego życzył. Jeśli napadniemy na nich, będą zaskoczeni tylko w pierwszej chwili. Jest ich dziesięć razy tyle co nas. A nawet jeśli zwyciężymy, to przeleje się wiele, wiele krwi, a do tego nie chcę dopuścić. Przecież lepiej jest znaleźć sposób, który nas zaprowadzi do celu bez przelewu krwi.

— Tak, sir. O ile znajdzie pan taki sposób, to będę pana bardzo chwalił.

— Być może już znalazłem. Pragnę jednak wiedzieć, jak będzie się na to zapatrywał Winnetou.

Przez kilka chwil rozmawiał z wodzem w języku Apaczów, tak że nikt nie mógł ich zrozumieć. Po czym zwrócił się ponownie do Długiego Davy'ego:

— Tak, ja i Winnetou dokonamy tego czynu. Wy zostaniecie tutaj. Nawet jeśli nas nie zobaczycie za dwie godziny, pozostańcie na miejscu i nie ważcie się niczego przedsięwziąć. Chyba że usłyszycie trzykrotne ćwierkanie świerszcza, wtedy wypadnijcie z ukrycia.

— I co mamy robić?

— Szybko, ale jak najciszej i niepostrzeżenie, podążcie do najbliższego namiotu, do którego przekradnę się z Winnetou. Dam umówiony znak, jeśli będziemy potrzebowali waszej pomocy.

— Jak pan naśladuje ćwierkanie świerszcza?

— Za pomocą źdźbła trawy. Składa się dłonie przytykając do siebie oba kciuki, które mocno ściskają źdźbło trawy. Między niższymi końcami kciuków pozostawia się wąską lukę, gdzie źdźbło może swobodnie wibrować. W ten sposób tworzy się rodzaj piszczałki. Gdy przykładą się usta do kciuków i dmucha się w słomkę krótko — fr fr — fr! rozlega się ćwierkanie podobne do głosu świerszcza. Oczywiście trzeba mieć w tym wprawę.

W tej chwili odezwał się Winnetou:

— Mój biały brat później wyjaśni te rzeczy. Zaczynamy!

— Dobrze. Czy weźmiemy ze sobą nasze znaki?

— Owszem. Niech Szoszoni się dowiedzą, kto u nich był.

Wielu westmanów i wybitnych Indian posługuje się specjalnymi znakami, aby zawiadomić o sobie przyjaciół lub wrogów. Niektórzy Indianie na przykład wycinają swój znak na mchu, na policzku, czole czy na ręce zabitego wroga.

Winnetou i Old Shatterhand odcięli kilka krótkich gałązek z najbliższego krzewu i schowali je za pasem. Odpowiednio ułożone tworzyły znak obu mężów, znany każdemu czerwonoskóremu. Broń natomiast zostawili towarzyszom.

Niebawem wyruszyli. Położyli się na ziemi i zaczęli się czołgać ku celowi odległemu o osiemdziesiąt kroków.

\* \* \*

Niełatwo jest westmanowi podkraść się do wroga. Kiedy nie grozi doraźne niebezpieczeństwo i kiedy wolno zostawić za sobą ślady, można pełzać na czworakach.

Zostawia to wyraźny ślad, zwłaszcza w trawie. Chcąc go jednak uniknąć, trzeba się czołgać na palcach rąk i nóg. Trzeba mieć wiele siły, zręczności i wieloletniej wprawy, aby wytrzymać przez niedługi nawet czas. Podobnie jak pływacy, skradający się w ten sposób westmani podlegają skurczowi mięśni, który w tym wypadku jest nie mniej niebezpieczny niż w tamtym — może zdradzić westmana, a więc zgotować mu śmierć.

Trzeba dodać, że westman, zanim postawi koniec palców, musi dokładnie zbadać miejsce. Może bowiem natrafić na małą, niedostrzegalną, suchą gałązkę, która trzeszcząc naraża go na ogromne niebezpieczeństwo. Wprawni myśliwi natychmiast poznają, komu przypisać szmer, zwierzęciu czy człowiekowi. Zmysły westmana z czasem stają się tak wyczulone, że kiedy leży on na ziemi, potrafi nawet rozpoznać szmer sunącego chrabąszcza. A tym bardziej poznaje, czy suchy liść sam spadł, czy też został strącony przez nieostrożnego wroga.

Dobry myśliwy stawia koniuszki palców u nóg na śladach pozostawionych przez palce u rąk. Dzięki temu odcisków jest znacznie mniej i łatwiej je zatrzeć.

Bo też często należy zatrzeć za sobą ślady. Westman posługuje się wyrażeniem "zgasić". W powrotnej drodze z obozu wroga oczekuje go najzmudniejsza i najtrudniejsza część wyprawy. Nikt nie powinien się dowiedzieć o obecności westmana. Trzeba więc, posuwając się na czworakach nogami naprzód, "gasić" ślad, który się zostawiło. Czyni się to prawą ręką, podczas gdy końce palców u nóg i u lewej ręki utrzymują równowagę ciała. Kto spróbuje przez minutę tkwić w takim położeniu, ten dopiero potrafi ocenić wysiłek, jakiego wymaga kilkugodzinne trwanie w tej pozycji.

To samo oczekiwało myśliwych w tym wypadku. Old Shatterhand, a za nim Winnetou, posuwali się w wyżej opisany sposób. Biały musiał badać grunt cal za cal, Indianin natomiast trzymać się odcisków zostawionych przez Old Shatterhanda. Nie dziw, że poruszali się pomalutku, jak żółwie.

Trawa była wysoka prawie na łokieć<sup>[33]</sup>. Miała tę zaletę, że ukrywała myśliwych, ale miała również poważną wadę, albowiem w wysokiej trawie ślad jest wyraźniejszy.

Im bardziej się zbliżali, tym wyraźniej dostrzegali szczegóły obozowiska, od którego oddzielał ich kroczący tam i z powrotem strażnik. Jakże tu wobec tego przekraść się do namiotu?

— Czy Winnetou ma załatwić się z wartownikiem? — szepnął wódz Apaczów.

— Nie — odparł Shatterhand. — Znam swój cios i mogę na nim polegać.

Cicho, niczym węże, pełzali w trawie i zbliżali się do strażnika, który wyglądał na młokosa. Nie miał przy sobie innej broni oprócz noża tkwiącego za pasem i strzelby na plecach. Ubrany był w skórę bawolą. Nie można było rozpoznać jego rysów, bo twarz miał wymalowaną na przemian czerwonymi i czarnymi krechami — barwami wojennymi.

Nie spoglądał wcale w kierunku westmanów, zdawał się skupiać całą uwagę na obozie. Być może nęcił go zapach mięsa pieczonego na ogniu, bardziej niż powinien nęcić strażnika. Ale nawet gdyby spoglądał w ich stronę, nic by nie zobaczył, gdyż ciemne postacie nie wyróżniały się na tle równie ciemnej trawy. Posuwali się bowiem w cieniu namiotu, po przeciwnej stronie ogniska.

Byli oddaleni od siebie zaledwie o osiem kroków.

Chodząc tam i z powrotem strażnik wydeptał prostą ścieżkę w trawie. Na tej linii powinien nastąpić napad, o ile nie miałyby zostać po nim śladu.

Teraz na najbardziej wysuniętym punkcie tej prostej strażnik zatrzymał się i powoli zawrócił. Wyminął ich i znalazł się w cieniu tak samo jak oni.

— Szybko! — szepnął Winnetou.

Old Shatterhand podniósł się, w dwóch potężnych susach podskoczył do Indianina, który tymczasem usłyszał szmer i odwrócił się raptownie. Ale już pięść Shatterhanda grzmotnęła go w skroń i powaliła.

Tak samo w dwóch susach zbliżył się Winnetou.

— Nie żyje? — zapytał.

— Nie, tylko stracił przytomność.

— Niech mój brat go zwiąże. Winnetou pójdzie na jego miejsce.

Apacz podniósł broń strażnika, zawiesił ją sobie na plecach i zaczął maszerować tak, jak poprzednio robił to wartownik, aby z dala nie zauważono zamiany.

Tymczasem Shatterhand dotarł do namiotu wodza. Usiłował nieco unieść płótno, aby zajrzeć do wnętrza, ale musiał je najpierw odwiązać od kołka.

Trzeba było zachować największą ostrożność. Westman ryzykował, mógł przecież ktoś go zobaczyć z wnętrza, a wtedy cały wysiłek poszedłby na marne. Mocno przywarł do piasku i zbliżył oczy do ziemi. Bezszelstnie podniósł skraj płótna. Teraz mógł zajrzeć.

Zdziwiło go to, co ujrzał. Nie było tu bowiem ani jeńców, ani żadnego Szoszona. Tylko

sam wódz siedział na bawolej skórze, ćmił kinnik-kinnik o ostrym zapachu, a składający się z tabaki i liści dzikich konopi, i spoglądał przez na pół otwarte wejście na ożywioną scenę rozgrywającą się dookoła ogniska. Był do Old Shatterhanda odwrócony plecami.

Biały wiedział co powinien zrobić, ale chciał się najpierw porozumieć z Apaczem, Opuścił więc płótno, odwrócił się od namiotu, wyrwał źdźbło trawy i w opisany wyżej sposób wsunął je między dwa kciuki. Rozległo się ciche, pojedyncze ćwierkanie.

— Tho-ing-kai — to świerszcz śpiewa — odezwały się głosy Szoszonów z obozu.

Gdyby wiedzieli, co to za świerszcz! Ćwierkanie oznajmiło Winnetou, że ma się zbliżyć do Shatterhanda. Apacz zachowywał się jednak jak poprzednio, dopóki nie wszedł w cień namiotu, gdzie nie docierały spojrzenia Szoszonów. Położył strzelbę w trawie, pochylił się i podkraść szybko do namiotu.

— Po co wezwał mnie mój brat? — szepnął.

— Ponieważ musimy zmienić plan — odparł szeptem Old Shatterhand. — Jeńców nie ma w tym namiocie.

— Hm! Musimy się wycofać i z drugiej strony podkraść się ku pozostałym namiotom. Upłynie jednak tyle czasu, że może się już zrobić widno.

— Oihka-Petay, Mężny Bawół, siedzi w namiocie.

— Uff, sam wódz! Czy nie ma przy nim nikogo?

— Nikogo,

— W takim razie nie potrzebujemy odbijać jeńców.

— Tak sobie od razu pomyślałem. Jeśli schwytamy wodza, możemy zmusić Szoszonów, aby wydali Grubego Jemmy'ego i Franka.

— Mój brat ma słuszość. Ale przecież Szoszoni mogą spojrzeć w półotwarty namiot!

— Tak. Ale blask ognia nie dociera do tego miejsca.

— Ale od razu zauważą, że wódz zniknął.

— Pomyślą, że skrył się w cieniu. Niech mój brat Winnetou będzie gotów śpieszyć mi z pomocą, jeśli mój pierwszy cios się nie uda.

Mówili szeptem, tak, że żaden dźwięk nie mógł dotrzeć do wnętrza namiotu.

Teraz Winnetou odchylił cicho i powoli płótno tak, że Old Shatterhand, który przywarł do ziemi, mógł się do niego wczłogać. Odważny myśliwy uczynił to bez szmeru — Mężny Bawół nie mógł go usłyszeć.

Old Shatterhand znajdował się w namiocie. Apacz wysunął się połową tułowia, aby w razie potrzeby pośpieszyć z natychmiastową pomocą. Shatterhand wyciągnął prawe ramię. Mógł dosięgnąć Szoszona. Szybki, mocny chwyt za szyję — i Mężny Bawół opuścił fajkę, zamachał dwukrotnie rękami w powietrzu, po czym je zwiesił. Zabrakło mu tchu.

Old Shatterhand wciągnął Węża w nieoświetloną część namiotu i powoli ciągnąc jeńca za sobą, wy dostał się z wigwamu.

— Powiodło się — szepnął Winnetou. — Ale jak go uprowadzimy? Musimy nieść wodza, a zarazem gasić ślady.

— Trudne zadanie.

— A co zrobimy ze związanym strażnikiem?

— Jego też zabierzemy ze sobą. Im więcej będziemy mieli Szoszonów, tym łatwiej wy dostaniemy obu jeńców.

— Mój brat będzie niósł wodza, Winnetou wartownika. Ale przy tym nie potrafimy gasić śladów i dlatego będziemy musieli jeszcze raz wrócić.

— Niestety. Upłynie wiele cennego czasu, a my...

Urwał, gdyż nastąpiło coś, co udaremniło wszelki namysł. Rozległ się głośny, przeraźliwy krzyk.

— Tiguw-ih, tiguw-ih! — zawołał ktoś. — Wrogowie, Wrogowie!

— Strażnik się ocknął! Pędźmy, szybko! — rzekł Old Shatterhand. — Zabierzemy go ze sobą!

Winnetou szybko dopadł związanego Szoszona, podniósł go zarzucił sobie na plecy. Po chwili był już poza wrogim obozem.

Old Shatterhand, mimo wielkiego niebezpieczeństwa, zatrzymał się na kilka chwil za namiotem. Wyciągnął małe gałązki, znowu podniósł płótno i wsadził je w ziemię w taki sposób, że skrzyżowały się jak hiszpańscy jeźdźcy. Dopiero potem podniósł wodza i pomknął z powrotem.

Szoszoni przez cały czas siedzieli przy ognisku. Dlatego ich oczy, jak słusznie przypuszczał Shatterhand, były oślepienie blaskiem ognia i długo nie mogły się oswoić z mrokiem nocy. Zerwali się na równe nogi i spoglądali nieruchomo w noc, ale nic nie dostrzegli. Przy tym nie wiedzieli, z której strony rozległ się alarm. Dzięki temu nic nie przeszkodziło w ucieczce Winnetou i Old Shatterhanda.

Apacz musiał się nawet raz zatrzymać w drodze powrotnej. Nie mógł jedną ręką całkowicie zatkać ust Szoszona. Jeniec wprawdzie nie zdołał krzyknąć, ale wydał głośnie rżenie. Winnetou musiał się zatrzymać, aby ścisnąć go za gardło.

— Do piorunów, kogo tu przynosicie? — zapytał Długi Davy, gdy obaj pozbyli się swoich ciężarów.

— Zakładników — odparł Old Shatterhand. — Szybko zakneblujcie im usta i zwiążcie wodza.

— Wodza? Heavens! Co za chwyt! Przez długi czas będę o tym opowiadał. Wyłapać Mężnego Bawołu ze środka obozu! Tylko Old Shatterhand i Winnetou mogą się na to zdobyć!

— Żadnych niepotrzebnych słów. Musimy szybko stąd iść do wyżyny, gdzie stoją nasze konie.

— Mój brat nie powinien się śpieszyć — rzekł Apacz. — Stąd o wiele lepiej możemy zobaczyć, co zrobią teraz Szoszoni.

— Tak, Winnetou ma słuszość — przyznał Old Shatterhand. — Nie wpadnie im na myśl przyjść tutaj. Nie wiedzą, z jakimi i z iloma wrogami mają do czynienia. Będą musieli przede wszystkim myśleć o obronie obozu. Dopiero o świcie mogą coś przedsięwziąć.

— Winnetou postrachem zatrzyma ich w obozie.

Apacz przyłożył lufę rewolweru prawie do samej ziemi. Shatterhand w lot pojął jego zamiar.

— Stój! — rzekł. — Nie powinni zobaczyć blasku wystrzału, bo dowiedzieliby się gdzie jesteśmy. Sądzę, że rozlegnie się echo, które ich oszuka. Dajcie wasze okrycia i marynarki, panowie!

Długi Davy zdjął swój znakomity płaszcz gumowy. Inni też wykonali polecenie Shatterhanda. Rozpostarto odzież nad rewolwerem, który po chwili dwukrotnie wypalił. Rozległy się dwa strzały. Odbiły się od ścian doliny, a ponieważ nie widać było błysku, więc Szoszoni nie wiedzieli skąd padły strzały. Odpowiedzieli przeraźliwym wyciem.

Kiedy Szoszoni usłyszeli krzyk — Tiguw-ih, tiguw-ih! — Wrogowie, wrogowie! — skoczyli na równe nogi i usiłowali wypatrzeć wroga. Lecz nie tak szybko ich oczy przyzwyczyły się do ciemności, a tymczasem Shatterhand i Winnetou byli już poza obrębem niebezpieczeństwa.

Wielu Indian podeszło do namiotu wodza. Zajrzeli do środka i zobaczyli, iż świeci on



pustką.

— Mężny Bawół wyszedł zapytać strażników — rzekł jeden z wojowników.

— Mój brat się myli — odparł drugi. — Gdyby wódz wyszedł z namiotu, widzielibyśmy go przecież.

— Ale nie ma go tutaj.

— Nie mógł także wyjść.

— W takim razie Wakon-tonka, Zły Duch, zrobił go niewidzialnym.

W tej chwili pewien stary wojownik odsunął innych i rzekł:

— Zły Duch może zabić lub unieszczęśliwić, ale nie potrafi zrobić wojownika niewidzialnym. Jeżeli wodza nie ma w namiocie, a nie mógł wyjść, mógł tylko...

Nie dokończył zdania. Tymczasem bowiem odchyłono płótno i blask ogniska oświetlił całe wnętrze. Stary Indianin wszedł szybko do namiotu i pochylił się.

— Uff! — zawołał. — Porwano wodza!

Nikt się nie odezwał.

— Moi bracia nie wierzą? — dodał. — Niech spojrzą! Tu płótno jest rozluźnione, a tu tkwią w ziemi gałązki. Znam ten znak. Jest to znak Non-pay-klama, zwanego przez białych Old Shatterhandem. Był tu i porwał Mężnego Bawołu!

W tej chwili rozległy się dwa wystrzały Apacza. To rozwiązało języki Szoszonów. Wydali wspomniane już wycie.

— Szybko zgaście ognisko! — rozkazał stary wojownik. — Nie dajmy celu wrogowi!

Rozrzucano czym prędzej płonące szczapy i zdeptano płomień. Ponieważ wódz zniknął, Szoszoni słuchali rozkazów najstarszego wojownika. Ciemność zaległa obóz. Każdy chwycił za broń i na rozkaz starego Indianina wojownicy stanęli wokół namiotu, aby przyjąć wroga, z jakiegokolwiek strony nadejdzie.

Wystawiono poprzecznie cztery posterunki we wszystkich kierunkach. Gdy padły strzały, trzech strażnicy natychmiast wycofali się do obozu. Ale czwarty nie nadchodził. Był to najznakomitszy spośród strażników, Moh-Aw<sup>[34]</sup>, syn wodza. Jeden ze śmiałków zgodził się go szukać. Położył się na trawie i czołgał się w kierunku placówki zaginionego. Po pewnym czasie wrócił ze strzelbą Moskita. To był pewny dowód, że syn wodza doznał nieszczęśliwego wypadku.

Stary wojownik odbył krótką naradę z najwybitniejszymi Szoszonami. Postanowiono

otoczyć szczególną pieczę namiot, gdzie się znajdowali jeńcy, a konie trzymać w pobliżu obozu i czekać świtu.

Tymczasem myśliwi postarali się, aby obaj jeńcy nie mogli dobrać głosu i w ciszy i skupieniu nadstawili uszu. Nic nie było słychać oprócz stłumionego trawą stąpania koni.

— Moi bracia słyszą jak Szoszoni skupiają konie. Przywiążą rumaki niedaleko namiotów i będą czekać świtu — rzekł Winnetou. — Możemy iść!

— Tak, wycofajmy się! — powiedział Old Shatterhand. — Przecież my nie musimy czekać do rana. Oihka-Petay wkrótce się dowie, czego od niego żądamy.

Nie wiedział jeszcze, że połów był cenniejszy niż mógł się spodziewać. Podniósł Mężnego Bawołu, który tymczasem oprzytomniał, ujął go za ramię i pociągnął za sobą na górę. Towarzysze poszli za jego przykładem. Winnetou ciągnął Moskita. Po uciążliwym wspinaniu się dotarli do miejsca, gdzie zostawili Wohkadeha.

Długi Davy rozwinął swoje lasso i rzekł:

— Podajcie mi tych drabów. Przywiążemy ich do tamtych.

— Nie — odparł Old Shatterhand. — Opuścimy to miejsce.

— Czemu? Sądzi pan, że coś nam tu grozi? O, Szoszoni chętnie pozostawią nas w spokoju! Będą szczęśliwi, że nic im się nie przytrafiło.

— Wiem o tym nie gorzej niż pan, Mr Davy. Ale musimy porozmawiać z wodzem i pozostałymi. Trzeba więc będzie wyjąć im kneble, a jeśli zrobimy to tutaj, mogą krzykiem zdradzić naszą kryjówkę.

— Mój brat ma słuszość — rzekł Apacz. — Winnetou był tu dzisiaj rano i śledził Szoszonów. Znam miejsce, gdzie wraz z braćmi i jeńcami mógłby obozować.

— Musimy rozniecić ognisko — dodał Old Shatterhand. — Czy to odpowiednie miejsce?

— Tak. Przywiążcie jeńców do koni!

Po wykonaniu tego rozkazu jeźdźcy ruszyli w drogę przez gęsty las. Oczywiście marsz był bardzo powolny. Przez pół godziny pokonano tyle drogi, ile by za dnia zrobiono przez pięć minut. Wreszcie Apacz osadził konia w miejscu.

Szoszoni nie wiedzieli, w czyje ręce wpadli. Obaj schwytani wywiadowcy z powodu ciemności nie mogli dostrzec dwóch pozostałych jeńców, ci zaś nie widzieli wywiadowców. Wódz nie miał żadnego pojęcia o tym, że schwytano także jego syna. Odosobniono ich teraz zdjawszy uprzednio z koni.

Old Shatterhand nie chciał, aby Mężny Bawół znał siłę wroga. Dlatego postanowił najpierw sam porozmawiać z wodzem. Pozostali mieli się cofnąć. Westman zgarnął suchy chrust, aby rozpalić ognisko.

\* \* \*

Znajdowali się wraz z Szoszonami na niewielkiej polance. Apacz jeszcze rano spostrzegł, jak bardzo to miejsce nadaje się na obóz. Znalazł je instynktownie mimo ciemności.

Było ono otoczone zewsząd drzewami. Paprocie i cienie zapełniały luki i zatrzymywały światło ogniska. Old Shatterhand za pomocą hubki zapalił zebrane drzewo i tomahawkim zaczął odrąbywać suche gałęzie, aby podsycać ognisko, które miało oświetlać tylko to niewielkie miejsce, a więc musiało być małe.

Szoszon leżał na ziemi i ponuro się przyglądał białemu myśliwemu. Gdy westman skończył pracę, zaciągnął jeńca do ogniska i wyjął mu z ust knebel. Indianin nie zdradził po sobie ulgi, jakiej doznał. Indiański wojownik poczytałby sobie za hańbę, gdyby się zdradził z myślami lub uczuciami, Old Shatterhand usiadł naprzeciw wroga i oglądał go uważnie.

Był to mocno zbudowany Indianin. Nosił ubiór ze skóry bawolej bez żadnych ozdób prócz włosów skalpowych wplecionych w szwy. U pasa wisiało dwadzieścia dobrze spreparowanych kawałków skalpów, gdyż całe skóry zajęłyby zbyt wiele miejsca. Oblicze czerwonoskórego nie było pomalowane, dzięki czemu wyraźnie odznaczały się trzy szramy na policzkach. Z niewzruszonym wyrazem twarzy spoglądał na ogień, nie racząc białego wroga ani jednym spojrzeniem.

— Oihtka-Petay nie nosi barw wojennych — zaczął Old Shatterhand. — Czemu więc wystąpił wrogo wobec spokojnych ludzi?

Indianin nie odpowiedział — ani słowem, ani spojrzeniem.

— Czy wódz Szoszonów oniemiał z trwogi, że nie odpowiada na moje pytanie?

Myśliwy wiedział, jak należy sobie poczynać z Indianami. W samej rzeczy jeniec obrzucił go wściekłym spojrzeniem i odparł:

— Oihtka-Petay nie zna strachu. Nie lęka się wroga ani śmierci.

— A jednak zachowuje się tak, jakby go obleciał strach. Odważny wojownik barwi twarz kolorami wojennymi zanim rozpoczyna atak. Tak nakazuje uczciwość i odwaga, ponieważ wtedy przeciwnik wie od razu, że ma się bronić. Jednak wódz Szoszonów nie nosi barw wojennych —

miał oblicze pokoju, a mimo to napadł na białych? Może nie mam racji? Czy Mężny Bawół znajdzie słowa na swoje usprawiedliwienie?

Indianin zwiesił głowę i rzekł:

— Mężny Bawół nie był z wojownikami, którzy ścigali białych.

— To nie jest usprawiedliwienie. Gdyby był uczciwym i odważnym człowiekiem, natychmiast puściłby białych na wolność. A w ogóle nie słyszałem, że Szoszoni wykopali tomahawk wojny. Jak w czasach pokoju pasą swoje trzody nad rzekami Tongue i Big Horn, bywają w domach białych, a jednak Mężny Bawół napada na ludzi, którzy go nigdy nie obrazili. Kiedy więc odważny mąż oświadczy, że tylko tchórze postępują w ten sposób, to cóż Mężny Bawół potrafi na to odpowiedzieć?

Indianin spojrział na białego spod oka, było widać, że jest zły. Mimo to jego głos brzmiał spokojnie:

— Może ty jesteś tym odważnym mężem? Czy masz jakieś imię?

— Tak — odparł zapytany obojętnie, jakby to się samo przez się rozumiało.

— Biali mogą nosić broń i imiona, nawet jeśli są tchórzliwi. Im kto tchórzliwszy, tym dłuższe ma imię. Znasz moje, a więc wiesz, że nie jestem tchórzem.

— W takim razie wypuść obu jeńców, a potem walcz z nimi szczerze i otwarcie.

— Odważyli się ukazać nad brzegiem Rdzawego Jeziora. To miejsce jest dla nas święte, gdyż błędzą tam duchy pokonanych Szoszonów. Biali jeńcy muszą umrzeć.

— Ale wtedy ty także umrzesz.

— Mężny Bawół powiedział ci, że nie lęka się śmierci, pragnie jej nawet.

— Czemu?

— Został schwyty, pojmany przez białego, upokorzony, uprowadzony z własnego wigwamu, stracił cześć — nie może nadal żyć. Musi umrzeć, ale bez pieśni wojennej. Nie będzie siedział dumny i wyprostowany na swym walecznym rumaku, obwieszony skalpami wrogów, ale będzie leżał w piasku, poszarpany dziobami śmierdzących sępów...

Wypowiedział to powoli i monotonicznie z twarzą nieruchomą, a jednak z każdego słowa bił ból graniczący z beznadziejną rozpaczą. Było to w zgodzie z jego poglądami. Zostać porwanym z własnego namiotu, spośród otoczenia zbrojnych wojowników — to dla wodza straszliwa hańba!

Old Shatterhand odczuł litość, ale nie zdradził się z tym, gdyż byłoby to obrazą dla jeńca i pogłębiłoby jego mękę.

— Oihtka-Petay — rzekł Old Shatterhand — zasłużył na taki los, ale może pozostać przy życiu, chociaż jest moim jeńcem. Jestem gotów zwrócić mu wolność, jeśli rozkaże swoim wojownikom, żeby wypuścili jeńców.

Wódz Szoszonów odparł dumnie:

— Oihtka-Petay nie może żyć. Pragnie umrzeć. Przywiąż go bez troski do pala męczarni. Nie powinien wprawdzie opowiadać o swoich czynach, które mu zyskały sławę, zapewnia cię jednak, że mimo najdotkliwszych cierpień, nie drgnie powieką.

— Nie przywiążę cię do pala męczarni. Jestem chrześcijaninem. Nawet kiedy muszę zabić zwierzę, zabijani je tak, aby się nie męczyło. Ale umrzesz niepotrzebnie. Mimo twojej śmierci odbiję obu białych.

— Tylko spróbuj! Mogłeś się do mnie podkraść, zaskoczyć, znienacka oszołomić i pod osłoną mroku wyciągnąć z obozu. Ale teraz moi wojownicy są ostrożni. Nie zdołasz odbić białych. Odważyli się pokazać nad brzegiem Rdzawego Jeziora i przyplacą to powolną śmiercią. Jeśli pokonałeś Mężnego Bawołu — umrze, ale żyje Moh-Aw, jego jedynak, duma jego dumy, który go pomści. Już teraz Moh-Aw zabarwił twarz kolorami wojny, gdyż on miał zadać białym śmiertelne cięcie. Potem wymaluje swe ciało ich ciepłą krwią, aby zabezpieczyć je przed ciosami bladych twarzy.

Lekki szmer rozległ się w pobliskich gałęziach. To nadszedł Marcin Baumann. Nachylił się nad Old Shatterhandem i szepnął mu do ucha:

— Sir, mam panu oznajmić, że schwytany strażnik jest synem wodza. Winnetou wydobył z niego to wyznanie.

Wiadomość ta przysłała na czas. Shatterhand odpowiedział szeptem:

— Niech Winnetou natychmiast go przyśle. Niech go przyniesie Długi Davy, który ma tutaj zostać.

Marcin szybko się oddalił. Old Shatterhand zwrócił się do Indianina:

— Nie lękam się Moh-Awa. Od jak dawna ma imię i gdzie słyszy się o jego czynach? Jego także będę miał w swej mocy.

Tym razem wódz nie mógł się opanować. Wyrażano się wzgardliwie o jego synu. Brwi wodza zasępiły się groźnie, oczy rzucały błyski. Rzekł ze wściekłością:

— Kim jesteś, że śmiesz w ten sposób wyrażać się o moim synu? Przed jego wzrokiem schowałbyś się pod ziemię. Walczył z Siuksami Ogallallami i wielu pokonał. Posiada oczy orła i

śluch nocnych ptaków. Żaden wróg nie zdoła go zaskoczyć. Pomści krwawo swego ojca na ojcach i synach bladych twarzy!

W tej chwili nadszedł Długi Davy niosąc na plecach młodego Indianina. Przeszedł przez leżące suche gałęzie, położył jeńca na ziemi i rzekł:

— Przyniosłem chłopaka.

— Niech go pan posadzi, Mr Davy i usiądzie przy nim. I niech mu pan wyjmie knebel z ust.

— Ach, sir! Chciałbym wiedzieć, co pan zrobi z tym chłopcem.

Obaj Indianie oglądali się z przerażeniem. Wódz nic nie powiedział, i nawet się nie poruszył, ale mimo ciemnej cery widać było, że krew odpłynęła mu z twarzy. Syn natomiast krzyknął:

— Uff! Oihtka-Petay także schwytano! Wycie będzie się rozlegać w wigwamach Szoszonów. Wielki Duch odwrócił oblicze od swoich synów.

— Milcz! — huknął ojciec. — Żadna squaw Szoszonów nie uroni łezki, kiedy mgławice śmierci połkną Oihtka-Petay i Moh-Awa. Mieli oczy i uszy zamknięte i byli bez mózgow, niczym krety, które dają się połknąć wężom bez oporu. Hańba ojcu i hańba synowi!

Old Shatterhand zwrócił się do Davy'ego i szeptem wydał mu rozkaz:

— Przyprowadź wszystkich oprócz Winnetou.

Długi wstał i odszedł.

— A teraz — rzekł Shatterhand — czy Mężny Bawół widzi, jak chowam się pod ziemię pod wzrokiem jego syna? Nie chcę was obrażać. Wódz Szoszonów słynie jako mężny wojownik i mądry wódz. Moh-Aw, jego syn, pójdzie w ślady ojca i będzie równie mężny i mądry. Daję im wolność w zamian za wolność obu białych jeńców.

Błysk jakby radości przemknął po twarzy młodego Indianina. Lecz ojciec zgromił go spojrzeniem i rzekł:

— Oihtka-Petay oraz Moh-Aw wpadli bez walki w ręce nędznego białego — nie zasługują więc na życie. Tylko śmierć może zmyć z nich hańbę. Dlatego mogą umrzeć również biali jeńcy, a także ci, którzy jeszcze w niewolę Szoszonów...

Urwał spoglądając ze zdumieniem na obu wywiadowców, których przyprowadził Bob, Davy i Marcin.

— Czemu Mężny Bawół przestał mówić? — zapytał Old Shatterhand. — Czy czuje, że

pięć strachu sięga mu do serca?

Wódz opuścił głowę i w milczeniu wpatrywał się w ziemię. Nie zauważył, jak się za nim poruszyły gałązki. Old Shatterhand ujrzał głowę Apacza i spojrzał na niego z niemym zapytaniem. Apacz odpowiedział lekkim skinieniem głowy.

— Teraz Oihtka-Petay widzi, że jego nadzieja zwycięstwa była daremna — rzekł Shatterhand. — Ale nie wyruszyliśmy, aby zabić odważnych synów Szoszonów, lecz aby poskromić psy Ogallalla. Pozwalamy wam wrócić do obozu.

Podniósł się, podszedł do wodza i rozciął więzy. Wiedział, że zaczyna ryzykowną grę, ale był znawcą Zachodu i jego mieszkańców i był przekonany, że me przegra.

Wódz stracił pewność siebie. Postępowanie białego było niepojętym szaleństwem. Uwolnił wroga nie odzyskawszy swoich przyjaciół. A teraz podszedł do Moh-Awa i uwolnił także jego.

Mężny Bawół spojrzał na białego nieprzytomnym spojrzeniem, po czym szybkim ruchem wyrwał nóż zza pasa Marcina i zerwał się na nogi. Jego oczy płonęły dzikim szyderstwem.

— Mamy być wolni? — krzyknął. — Wolni? Mamy się przyglądać, jak stare sąuaw będą nas wytykać palcami i opowiadać, jak nas schwytały bezimienne psy? Mamy w Wiecznych Ostępach leżeć na ziemi i gryźć myszy, podczas gdy nasi czerwoni bracia będą się rozkoszować pieczeniami nigdy nie wymierających niedźwiedzi i bawołów? Nasze imiona są splamiony.. Nie krew wroga, ale własna krew może zmyć hańbę! Oihtka-Petay umrze, a przedtem wyśle duszę swojego syna.

Wzniósł nóż i skoczył ku synowi, aby zatopić ostrze w jego sercu, a potem w swoim. Moh-Aw nie drgnął. Oczekiwał ze spokojem ciosu ojca.

— Oihtka-Petay! — rozległo się nagle za wodzem. Niepodobna było oprzeć się temu władcemu głosowi. Mężny Bawół z ręką wzniesioną do uderzenia, szybko się odwrócił. Przed nim stał wódz Apaczów. Ręka Szoszona opadła.

— Winnetou! — zawołał.

— Czy wódz Szoszonów uważa wodza Apaczów za kojota? — zapytał Winnetou.

Kojot to pies prerii lub mały wilk Zachodu — zwierzę bardzo gnuśne i nieraz parszywe. Porównanie do kojota uchodzi za krwawą obelgę.

— Kto śmiałyby to powiedzieć? — odparł zapytany.

— Oihtka-Petay śmiał to powiedzieć. Czy nie nazwał swego zwycięzcy bezimiennym

psem?

Nóż wypadł z ręki Szoszona.

— Czy Winnetou jest zwycięzcą? — zapytał.

— Nie, ale jest nim mój biały brat — odparł Apacz wskazując na Old Shatterhanda.

— Uff! Uff! Uff! — krzyknął Mężny Bawół. — Ten biały mąż jest Non-pay-klama, zwany przez białych Old Shatterhandem?

Spojrzenie jego biegło od Winnetou do Old Shatterhanda. Winnetou odpowiedział:

— Oczy mego czerwonego brata były zbyt zmęczone, a duch zbyt zgnębiony, aby mógł się zastanowić. Człowiek, który Mężnego Bawołu jednym uderzeniem pięści pozbawił tchu, musiał mieć głośne imię!

Szoszon chwycił się za głowę i odpowiedział:

— Oihtka-Petay miał mózg, ale nie miał myśli!

— Tak, tu stoi Old Shatterhand, jego zwycięzca. Czy z tego powodu mój czerwony brat musi się rozstać z życiem?

— Nie — rzekł odetchnawszy z ulgą. — Może je zachować.

— Zamierzając się dobrowolnie oddalić do Wiecznych Ostępów dowiódł, że posiada męzne serce. Old Shatterhand także powalił Moh-Awa uderzeniem swojej miazdzącej ręki. Czy jest to hańba dla młodego, odważnego wojownika?

— Nie. I on może żyć.

— Old Shatterhand razem z Winnetou schwytali obu wywiadowców, nie jako wrogów, ale jako zakładników, których pragnęli wymienić na białych jeńców. Czy mój czerwony brat nie wie, że Old Shatterhand i Winnetou są przyjaciółmi wszystkich męźnych czerwonoskórych?

— Tak. Oihtka-Petay wie o tym.

— A więc niech wybiera, czy pragnie zostać naszym bratem czy wrogiem? Jeśli będzie naszym bratem, jego wrogowie będą także naszymi wrogami. Jeśli zaś wybierze to drugie, puścimy Mężnego Bawołu oraz jego syna i wywiadowców, ale wiele krwi poleje się w walce o wolność obu białych. Dzieci Szoszonów zakryją głowy, a w wigwamach i u ognisk będą się rozlegać gorzkie lamenty. Niech więc wybiera. Winnetou powiedział!

Zaległo głuche milczenie. Obecność i mowa Apacza wywarły wielkie wrażenie. Oihtka-Petay nachylił się, podniósł nóż, który wypuścił z ręki, wbił go w ziemię aż po rękojeść i powiedział:



— Tak, jak ostrze tego noża znikło, niech tak zniknie wszelka nienawiść między synami Szoszonów a mężnymi wojownikami, którzy tu stoją.

Następnie wyciągnął nóż, podniósł go wysoko i dodał:

— I nóż niech przebije wszystkich wrogów Szoszonów i ich braci. Howgh!

— Howgh! Howgh! — rozległo się dokoła.

— Mój brat dokonał roztropnego wyboru — rzekł Old Shatterhand. — Czy zna imiona swoich jeńców?

— Nie.

— Są nimi Jemmy-petahtszeh i kulawy Frank, towarzysz Mato-Poki, niedźwiedznika.

— Mato-Poka! — krzyknął zdziwiony wódz. — Czemu kulawy nie powiedział? Czy Mato-Poka nie jest bratem Szoszonów? Czy nie ocalił życia Oihtka-Petay, kiedy go ścigali Siuksowie Ogallalla?

— Ocalił ci życie? No, to widzisz tu jego syna oraz Boba, wiernego służącego. A tutaj stoi Davy, słynny myśliwy. Wyruszyli, aby ratować Mato-Pokę, a my im towarzyszymy, gdyż Mato-Poka, niedźwiedznik, wpadł w ręce Ogallalla wraz z pięcioma towarzyszami i ma niebawem zginąć.

— Psy Ogallalla chcą zabić niedźwiedznika? Och, Wielki Manitou wytępi te kojoty! Dusze tym psom zostaną wyrwane z ciał, a kości zbieleją na słońcu! Gdzie można wytropić ich ślady?

— Wyruszyli w stronę Yellowstone River, gdzie wznosi się grobowiec Złego Ognia.

— Czy to nie mój brat Old Shatterhand zabił pięścią Złego Ognia i jego dwóch towarzyszy? Tak samo zginą ci, którzy się ważyli schwytać niedźwiedznika. Niech moi bracia pójdą ze mną do obozu moich wojowników. Tam wypalimy fajkę pokoju i tam się naradzimy.

Oczywiście wszyscy na to przystali. Uprzednio jeszcze uwolniono obu wywiadowców. Sprowadzono konie.

— Sir, jest pan diabelskim wysłańcem! — szepnął Davy do Old Shatterhanda. — Poczyna pan sobie zuchwale, a jednak wiecie się panu, jak gdyby szło o zwykłą, drobną sprawę. Zdejmuję przed panem kapelusz!

Istotnie zerwał z głowy swój zniekształcony cylinder i machał nim to w jedną, to w drugą stronę, jak gdyby nabierając wody.

Wyruszono do obozu. Ciągnąc za sobą konie, myśliwi wracali po omacku ku pochyłości.

Ognisko było zgaszone. Nad brzegiem skarpy Moh-Aw, przyłożywszy dłonie do ust, krzyknął na dół:

— Khun, khun, khun-wah-ka! — Ogień, ogień, zapalcie ognisko narady!

Echo zwielokrotnieło okrzyk. Na dole rozległ się zgiełk.

— Hang-pa? — Kto przybywa? — zapytano z doliny.

— Moh-Aw, Moh-Aw! — odpowiedział syn wodza.

Teraz zabrzmiało radosne — ha-ha-hih! — i po kilku minutach zapłonęło ognisko. A więc Szoszoni poznali głos młodego Indianina. Mimo to przezornie wysłali na spotkanie kilku ludzi, którzy mieli się przekonać, czy istotnie nie było powodu do obawy.

Kiedy do obozu dotarł także i wódz, zapanowała powszechna radość. Indianie pragnęli się dowiedzieć, w jaki sposób wódz został porwany, ale nie śmieli pytać. Oczywiście, zdumienie ogarnęło czerwonoskórych na widok obcych białych, ale, przyzwyczajeni do ukrywania swych uczuć, nie pokazali po sobie tego zdziwienia. Tylko najstarszy wojownik, który poprzednio wydawał rozkazy, podszedł do wodza i rzekł:

— Oihtka-Petay jest wielkim czarodziejem. Znika z namiotu tak, jak znika słowo, gdy zostanie wypowiedziane.

— Czy moi bracia naprawdę myśleli, że Mężny Bawół znikł bez śladu, jak dym z powietrza? — zapytał wódz. — Czy nie mieli oczu i czy nie widzieli, co się stało?

— Wojownicy Szoszonów mają oczy. Znaleźli znak słynnego białego i poznali, że rozmawiał on z wodzem.

Było to bardzo ostrożne omówienie faktu.

— Moi bracia słusznie sądzili — odparł wódz. — Tu oto jest Non-pay-klama, biały myśliwy, który pięścią powala wrogów. A przy nim stoi Winnetou, wielki wódz Apaczów.

— Uff! Uff! — rozległo się dokoła.

Szoszoni spoglądali z podziwem i czcią na obu znakomitych mężów i cofnęli się o kilka kroków.

— Ci wojownicy przybyli, aby wypalić z nami fajkę pokoju — dodał wódz. — Chcieli uwolnić swoich dwóch towarzyszy, którzy spoczywają tam w namiocie. Mieli życie Mężnego Bawołu i jego syna w swoich rękach, a jednak go nie zabrali. Wobec tego niech wojownicy Szoszonów uwolnią obu jeńców. Moi bracia dostaną w zamian skalpy wielu Siuksów Ogallalla, którzy wypełzli ze swoich nor jak myszy, aby paść ofiarą jastrzębia. O świcie wyruszymy w ślad

za nimi. A teraz niech wojownicy zbiorą się wokół ogniska narady, aby zapytać Wielkiego Ducha, czy wyprawa wojenna się uda. Howgh!

Zapanowało głębokie milczenie, choć ta wiadomość powinna była wzbudzić żywe zainteresowanie. Niektórzy udali się do namiotów, aby wykonać rozkaz wodza, po czym przyprowadzili obu białych jeńców do ogniska. Jeńcy szli niepewnym, chwiejnym krokiem. Więzy wrzyły im się głęboko w ciało i tamowały normalne krążenie krwi.

— Stary szopie, jakie popełniłeś głupstwo? — zapytał Długi Davy swego grubego przyjaciela. — Tylko taka żaba jak ty może skakać wprost do dzioba bociana!

— Przymknij no swój własny, bo inaczej skoczę także do twojego i to natychmiast! — odpowiedział gniewnie Jemmy, pocierając obolałe miejsca.

— No, stary, nie myślałem źle, a wiesz, że się cieszę, że jesteś wolny.

— Pięknie! Ale swoją wolność zawdzięczam Old Shatterhandowi. — I zwracając się do westmana dodał: — Niech mi pan powie, jak mógłbym się odwdziżyć? Moje życie jest wprawdzie tylko życiem Grubego Jemmy'ego, ale w każdej chwili jestem gotów je oddać do pana dyspozycji.

— Nie mnie jest pan winien wdzięczność — odparł Shatterhand. — Pańscy przyjaciele sprawili się dzielnie — A przede wszystkim powinien pan dziękować Winnetou, bez którego pomocy nie moglibyśmy przybyć tu tak szybko i pewnie.

Grubas z podziwem spojrział na zgrabną i silną postać Apacza. Uścisnął mu rękę i rzekł:

— Wiedziałem, że Winnetou musi być w pobliżu, jeśli widzi się Old Shatterhanda. Ponieważ jestem jakby żabą, więc niech ten bocian, którego zwą Długim Davy'm, połknie mnie z miejsca, jeśli nie jesteście najodważniejszym Indianinem, jakiego kiedykolwiek widziałem.

Bob z radosnym okrzykiem podszedł do Hobble-Franka i rzekł:

— Nareszcie, nareszcie, pan Bob znów widzieć swój dobry pan Frank! Pan Bob chce zabić wszystkich Szoszonów, ale pan Shatterhand z pan Winnetou chce sami obu uwolnić. Dlatego Szoszeni jeszcze raz zostać żyć.

\* \* \*

Wąskim, długim węzłem pochód zdązał przez prerię Blue Grass<sup>[35]</sup>, która rozciąga się z Devil Head między Big Horn a Górą Grzechotników do miejscowości, gdzie Grey Bull River przelewa swe czyste wody do rzeki Big Horn.

Taka błękitną murawę nieczęsto spotyka się na Zachodzie. Na ogół wysoka, na wilgotnym gruncie osiąga wysokość człowieka. Wtedy nastęcza wiele trudności westmanowi, który powinien trzymać się ścieżki wydeptanej w tym morzu traw przez bawoły. Rozkołysane wysokie źdźbła nie pozwalają daleko sięgać wzrokiem i nieraz w mroczną pogodę zdarzyło się niejednemu doświadczonemu myśliwemu, który nie miał kompasu, a nie mógł ustalić położenia słońca, po uciążliwej całodziennym jeździe wrócić wieczorem do tego samego miejsca, skąd wyruszył rano. Czasami zdarza się nawet, że jeździec wpada na własne ślady i przyjmuje je za obce.

Ścieżka wydeptana przez bawoły też nie jest pozbawiona niebezpieczeństw. Nagle można się tutaj natknąć na wroga w ludzkiej czy zwierzęcej postaci. Tak samo niebezpiecznie jest wpaść znienacka na starego bawołu — rozwścieczonego samotnika, który oddalił się od stada, jak napotkać nagle wrogiego Indianina, który stoi w odległości trzech kroków z wycelowaną strzelbą. Wtedy należy działać z błyskawiczną szybkością. Kto pierwszy zdoła wystrzelić, ten żyje.

Szozoni jechali gęsiego — jeden za drugim, tak, że koń następnego stąpał śladami poprzedniego jeźdźca. Tak jeżdżą Indianie w wypadkach, kiedy nie są pewni bezpieczeństwa. W takich razach wysyła się także wywiadowców, najroztropniejszych wojowników, których oczu nie ujdzie źdźbło zwrócone przeciw wiatrowi, których uszy usłyszą najcichszy szmer łamanej gałązki.

Skurczony i pochylony naprzód wisi taki wywiadowca na swoim wierzchowcu, jak gdyby nie umiał jeździć konno. Wydaje się, że oczy ma zamknięte i śpi, tak nieruchomo siedzi. Jego rumak również posuwa się sennie jak z przyzwyczajenia. Wróg, który podpatruje ich z ukrycia, może sobie pomyśleć, że jeździec ucina sobie drzemkę. Ale wręcz przeciwnie, im mniej widoczna, tym bardziej napięta jest uwaga wywiadowcy. Chociaż powieki ma opuszczone, jego bystre oczy widzą wszystko.

Oto rozlega się słaby, bardzo słaby dźwięk, ale ucho wywiadowcy już go usłyszało. Pod najbliższym drzewem przykucnął wróg, który podniósł strzelbę i celuje w jeźdźca. Kolbą poruszył przypadkiem rogowy guzik ubrania. Ten oto szmer zwrócił uwagę wywiadowcy. Krótkie, ostre spojrzenie, szarpnięcie cugli — jeździec błyskawicznie zsuwa się z siodła trzymając się jednak jedną ręką i nogą uprzęży; jego ciało znika za ciałem konia i staje się niedostępne dla kul. Rumak wyrwany z leniwej senności w dwóch, trzech susach znika wraz z

jeźdźcem w gęstwinie czy za drzewami.

Trzej wywiadowcy wyprzedzali teraz pochód Szoszonów na dość znaczną odległość. Na czele oddziału jechali Old Shatterhand, Winnetou i Mężny Bawół, a za nimi biali, Wohkadeh i Bob.

Murzyn, mimo nabytego doświadczenia, niedobrze się czuł w strzemionach. Skóra nie zdążyła mu się uodpornić. Była podrażniona i starta, wskutek czego siedział jeszcze niezgrabniej niż poprzednio. Przez cały czas jęczał: — Ah, oh, alas, woe is me<sup>[36]</sup>! Ślizgał się po grzbiecie rumaka. Stękał i jęczał w różnych tonacjach i ze strasznymi grymasami zapewniał, że srogo pomści swoje udręki na Siuksach.

Podłożył dla wygody podściółkę z błękitnej trawy. Ponieważ nie był w stanie mocno siedzieć na koniu, więc co pewien czas spadał na ziemię. Nawet zazwyczaj poważni Szoszoni nie mogli się powstrzymać od śmiechu. Jeden z nich władający jako tako angielskim, nazwał Murzyna Sliding Bob, co znaczy ”Ślizgający się Bob”. Przydomek ten od razu zyskał powszechne uznanie.

Zachodni widnokrąg dotychczas stanowił równą linię. Teraz miejscami się podnosił. Zaczynały się góry. Zarysowały się nie mglisto, błękitnawo, lecz wyraźnie i ostro, mimo wielkiej odległości, jaka dzieliła od nich jeźdźców.

W tamtych bowiem stronach powietrze jest tak ostre, że miejsca bardzo odległe wydają się bardzo bliskie. Poza tym powietrze jest nasycone elektrycznością do takiego stopnia, że kiedy przypadkowo zetkną się ręce czy łokcie dwóch ludzi, nierzadko powstają przy tym iskierki. Napięcie elektryczne wyładowuje się bez przerwy. Nie ma chmur, a jednak stale błyska na całym niebie. Czasem zdaje się, że płomień ogarnął niebiosy. Jednakże nie przeszkadza to ani ludziom, ani koniom. Wieczorem zaś ta nieustanna iluminacja stanowi widok, którego nie można opisać. Nawet najbardziej przyzwyczajony do tych zjawisk westman za każdym razem bywa głęboko przejęty podziwem — czuje się drobnym, bezwładnym pyłkiem wobec majestatu tajemniczych sił.

Weh-ku-on-peh-ta-wakon-szetsza! — Płomień Wigwamu Wielkiego Ducha! — tak nazywają Siuksowie to błyskanie. ”Widziałem Manitou w błyskawicy — Manitou ahnima ahwarrenton” — powiada Yutah-Szoszon, kiedy chce oznajmić, że przebył drogę rozjaśnioną takim ”elektrycznym oświetleniem”.

Jednak w czasach wojny są to zjawiska niebezpieczne. Indianie wierzą, że wojownicy,

którzy polegli w nocy, będą żyć w Wiecznych Ostępach wśród nieustannego mroku. Dlatego unikają nocnej walki i zazwyczaj atakują o świcie. Kto jednak umiera pośród ”płomieni Wielkiego Ducha”, ten nie zazna mroku w Wiecznych Ostępach. Z tego powodu Indianie chętnie walczą w świetle błyskawic i niejednen, kto o tym nie wiedział, przyplacił swą niewiedzę skalpem.

Mały Hobble-Frank nigdy jeszcze nie widział tych zjawisk. Zwrócił się więc do Grubego Jemmy’ego, za którym jechał:

— Panie Pfefferkorn, pan był w Niemczech gimnazjalistą, a więc łatwo przypomni pan sobie swoje psychikalne wiadomości. Czemu tutaj tak bardzo błyska i świeci?

— Mówi się fizykalne, a nie psychikalne — poprawił Gruby.

— Czy mówię psychikalne czy fizykalne — tureckiemu cesarzowi na jedno wychodzi. Rzecz najważniejsza to dobrze wymówić iksylump.

— Mówi się ”ypsilon”.

— Co?! Jak?! Ja miałbym nie wiedzieć jak się nazywa przedostatnia litera naszego ojczystego alfabetu? Jeśli pan to jeszcze raz powtórzy, to może nastąpić coś, co pana bardzo zmartwi. Wielbiciel wiedzy niechętnie słucha podobnych orzeczeń. Nie może mi pan dać na moje pytanie akademickiej odpowiedzi i dlatego pan chytrze i podstępnie podkopuje się pod moją edukację. Ale jeśli pan sądzi, że to się panu uda, to myli się pan stokrotnie. Czy może pan dać odpowiedź czy nie?

— Zawsze! — roześmiał się Gruby.

— No, więc szybciej! A więc, dlaczego tu stale błyska?

— Ponieważ jest dużo elektryczności.

— Ach? Tak? To pan nazywa odpowiedzią? Nie trzeba być gimnazjalistą, aby dać taką odpowiedź. Nie byłem wprawdzie w Alma Pater<sup>[37]</sup>, nie byłem studentem, nigdy nie macałem Aleksandra, a wiem dokładnie, że tam gdzie błyska, musi być elektryczność. Każda rzecz ma swoją przyczynę. Kiedy ktoś dostał w gębę, to musi być ktoś inny, kto wyciął mu policzek. Kiedy zaś błyska, to... to... to...

— To musi być ktoś, kto zapalił — wtrącił Jemmy. Hobble-Frank przez parę chwil zastanawiał się w milczeniu, następnie rzucił z gniewem:

— Posłuchaj pan, panie Pfefferkorn, to dobrze, że jeszcze nie wypiliśmy bruderszaftu, gdyż cofnąłbym się teraz, co stanowiłoby wieczną plamę na pańskiej obywatelskiej tarczy herbowej! Czy aby sądzi pan, że pozwolę sobie pluć w moje etymongoliczne<sup>[38]</sup> językoznawstwo?

Po co pan przerywa moją piękną potoczną mowę? Skoro we właściwy sobie, skromny i dowcipny sposób przyrównuję elektryczność do mordobicia, nie masz pan prawa przywłaszczać sobie, niczym herszt rozbójników, mego szlachetnego porównania. A więc mówiliśmy o błyskawicach. Powiedział pan, że błyska z powodu elektryczności. Ale pytam dalej, czemu tutaj jest tyle elektryczności? Przecież nigdzie nie widziałem takiej skupionej masy. Teraz ma pan najlepszą okazję, aby zdać egzamin ze swojej wiedzy.

Gruby Jemmy roześmiał się głośno. Uczony Sas dodał:

— Co pan tak trajkocze niczym klarnet? Czy śmieje się pan z zakłopotania? Jestem bardzo ciekaw, jak pan sobie poradzi, najlepszy panie Pfefferkorn?

— Tak — odparł Jemmy. — Pańskie pytanie jest naprawdę dosyć trudne. Nawet profesor podrapałby się w głowę.

— Tak? Innej odpowiedzi nie ma pan dla mnie?

— Może i mam.

— Więc niech ją pan da! Cały zamieniam się w słuch.

— Może to wielka zawartość metalu w górach jest powodem tego skupienia elektryczności.

— Zawartość metalu? Elektryczność nie ma z tym nic wspólnego!

— A jednak. Czemu więc piorunochron przyciąga elektryczność?

— Ale wylatuje spodem, a więc można to pominąć milczeniem. Zresztą niejedno drzewo pada od pioruna, mimo że nie zawiera ani odrobiny żelaza. Nie, to nie jest dla mnie odpowiedzią! W takim razie wszystkie na przykład huty żelaza byłyby rażone piorunami.

— A może dlatego, że się zbliżamy do bieguna magnetycznego?

— Gdzie on jest, ten biegun?

— W Ameryce Północnej, oczywiście dosyć daleko stąd.

— Zostaw go pan na miejscu! To nie jego wina.

— Albo może szybkie obroty ziemi skupiają elektryczność na wyżynach?

— Nie można myśleć o takich skupieniach. Elektryczność nie jest tak gęsta jak syrop — nie podnosi się w górę gwałtownie. No, nie zdał pan egzaminu.

— Jeśli pan to mówi, to musi się pan chyba lepiej na tym znać.

— Naturalnie! Powiedział mi to kiedyś nauczyciel z Moritzburga, że elektryczność powstaje na skutek tarcia. Chyba pan nie zaprzeczy?

— Oczywiście.

— A więc elektryczność powstaje tam, gdzie jest tarcie.

— Na przykład przy tarcu kartofli.

— Niech pan połknie swój dowcip, zwłaszcza kiedy mówi pan do człowieka, który odnośnie swej wiedzy sztucznej zalicza się do hydraulicznych autorytetów. Z elektrycznością nie robię sobie wiele trudu. Nie zwracam uwagi na trochę mniej lub więcej elektryczności, szczególnie w tych stronach. Przecież rozciągają się tu ogromne prerie i wznoszą ogromne góry. Kiedy więc wiatr wieje po prerii i górach, powstaje kolosalne tarcie. A może nie?

— Tak — odparł z uśmiechem Jemmy.

— Wicher ociera się o grunt, niezliczone miliony traw ocierają się o siebie, niezliczone gałęzie i liście drzew także się trą. Bawoły tarzają się w wallows<sup>[39]</sup>, co wytwarza wspaniałe tarcie. Krótko i węzłowato, jak wszędzie indziej, odbywa się tutaj tarcie, które nagromadza ogromne ilości elektrycznej siły. Oto i ma pan najprostsze i bezbłędne wytłumaczenie z ust najkompletniejszych. Czy chce pan coś więcej?

— Nie, nie — roześmiał się Jemmy. — Mam dosyć.

— A więc niech pan przyjmie to wytłumaczenie z powagą i należną czcią. Ze śmiechem nie jest panu do twarzy. Gdyby nie znakomity Old Shatterhand, wykonałby pan mimo swej całej wesołości niebezpieczne salto quartale ku Wiecznym Ostępom.

— Mówi się "mortale", a nie "quartale".

— Niech się pan zamknie! Nic podobnego w tym kwartale mi się nie zdarzy, dlatego powiedziałem "quartale". Nasza naukowa rozmowa w ogóle dobiega końca, gdyż zbliżamy się do gór, a tam właśnie zatrzymali się wywiadowcy. Musieli odkryć coś ważnego.

Mały pseudouczony w ferworze swej wybitnie naukowej dyskusji nie patrzył na drogę, którą przebywał. Tymczasem zamiast niebieskiej trawy rosły już trawy festucca i gęsto rozsiane cumarin, a opodal widniał zagajnik, nad którym wznosiły się wierzchołki kilku drzew sygnalizując, że w pobliżu znajduje się woda.

Wywiadowcy zatrzymali się przy zagajniku. Gdy pochód zbliżył się do nich, zaczęli dawać rękami ostrzegawcze znaki, a jeden zawołał:

— Nambau, nambau!

Słowo to oznacza nogę i używa się go także w odniesieniu do śladu. Wywiadowcy ostrzegali, aby nie zdeptano śladu dopóki nie zostanie on dokładnie zbadany.



Lecz Wohkadeh nie zwrócił uwagi na ostrzeżenie. Podjechał galopem do wywiadowców.

— Wehts toweke! — zawołał wywiadowca, który ostrzegał.

To znaczy "młodzieńcze" i jest niejako napomnieniem. Młodzieniec nie postępuje tak rozsądnie, jak dorośli. Wohkadeh odparł:

— Czy moi bracia liczyli lata Wohkadeha? On wie dobrze co czyni. Zna ten ślad, gdyż jest to także jego własny trop. Tu obozował z Siuksami Ogallalla, zanim go wysłali na przespīgi. Stąd pojechali na zachód, aby dotrzeć do rzeki Big Horn. Na pewno zostawili Wohkadehowi znaki, aby mógł ich znaleźć.

Miejsce rzeczywiście świadczyło, że obozował tu przed kilkoma dniami znaczny zastęp jeźdźców. Mogło się na tym poznać jedynie bardzo wyćwiczone oko. Podeptana trawa zdążyła się już wyprostować. Tylko po najbliższych krzakach było widać, że konie odgryzły ich końce.

Po oświadczeniu Wohkadeha niepotrzebnie byłoby się tutaj zatrzymywać. Wprawdzie słońce stało w zenicie, a koniom należał się odpoczynek, jednak postanowiono obozować dopiero nad wodą.

Grunt, dotychczas równy, zaczynał się powoli wznosić. Z przodu, z prawej i lewej strony widać było wydłużone grzbiety gór. Jeźdźcy jechali po obszernej pochyłości zarośniętej wysoką trawą i coraz gęstszymi krzewami. Nieco dalej rosły podobne do krzewów balsamiczne topole oraz dzikie grusze z rodzaju tych, które Amerykanie nazywają "Spiked hawthorn"<sup>[40]</sup>.

Kawalkada wjeżdżała w cień coraz gęściej rosnących drzew. Białe jesiony, kasztany, jodły, lipy i wiele innych dawały dobroczynny chłód.

Kiedy droga ostro skręciła na północ, jeźdźcy ujrzeli przed sobą zalesione góry. Tam zapewne była woda. Dwie dzikie góry wznosiły się stromo, przedzielone wąską doliną z szemrzącym pośrodku potokiem. Jeźdźcy stanęli wobec wyboru: skręcić czy jechać w tym samym kierunku?

Old Shatterhand spoglądał badawczo na skraj lasu. Zadowolony skinął głową i rzekł:

— Nasza droga wiedzie na lewo, do doliny.

— A to czemu? — zapytał Davy.

— Czy nie widzi pan tam gałęzi jodły sterczącej u pnia lipy?

— Tak, sir. To dziwne, że iglaste drzewo rośnie na liściastym.

— To znak dla Wohkadeha. Ogallalla tak go skierowali, że wskazuje na dolinę. A więc pojechali w tym właśnie kierunku. Przypuszczam, że natkniemy się jeszcze na kilka takich

drogowskazów.

Winnetou jechał w milczeniu, rzuciwszy tylko pobieżne spojrzenie na lipę. Taki miał zwyczaj. Zwykł działać bez zbędnych słów.

Niebawem dotarli do miejsca wyśmienicie nadającego się na obóz. Było tu sporo wody, cienia i paszy dla koni. Jeźdźcy zeskoczyli z wierzchowców i puścili je na popas. Szoszeni mieli spory zapas mięsa suszonego na słońcu, a biali różnego rodzaju żywność zabraną ze strażnicy niedźwiedznika. Pożywiono się i ułożono na trawie lub mchu, aby uciąć krótką drzemkę lub wdać się w rozmówki z towarzyszami.

Najmniej spokojny był Murzyn Bob. Jazda konna dała mu się we znaki.

— Pan Bob być bardzo chory, bardzo chory — rozpaczał. — Pan Bob nie mieć już skóry na nogach. Cała skóra być starta, a teraz spodnie kleić się do kości i boleć pana Bob. Kto być winien? Siuksowie Ogallalla. Kiedy pan Bob ich znaleźć, pan Bob ich zakatrupić i oni wszyscy umrzeć! Pan Bob nie móc jechać, nie móc stać, nie móc leżeć. Pan Bob mieć jakby ogień w kościach.

— Jest na to środek — powiedział Marcin. — Wyszukaj coltsfoot<sup>[41]</sup> i przyłóż jego liście do obolałych miejsc.

— Ale gdzie rosnąć coltsfoot?

— Zwykle na skraju lasu. Może i tutaj znajdziesz.

— Ale pan Bob nie znać tej rośliny. Jak móc znaleźć?

— Chodź! Pomogę ci poszukać.

Obaj chcieli się oddalić, ale Jemmy ostrzegł ich:

— Weźcie ze sobą broń! Nigdy nic nie można przewidzieć.

Marcin chwycił za strzelbę, to samo uczynił Murzyn.

— Yes! — powiedział. — Pan Bob wziąć swoją flinta. Jak przyjdzie Siuks albo dzikie zwierzę, pan Bob zastrzelić go, aby ocalić swój młody pan Marcin. Come on<sup>[42]</sup>!

Obaj poszli na skraj lasu, lecz nigdzie nie było widać szukanej rośliny. Oddalali się coraz bardziej od obozu. Było cicho i słonecznie, jak to w dolinie. Motyle fruwały nad kwiatami, bąki brzęczały. Woda szemrała spokojnie i wierzchołki drzew kąpały się w promieniach słonecznych.

Marcin zatrzymał się i wskazał ręką na linię, która ciągnęła się prosto od małego strumyka i ginęła wśród drzew.

Podeszli i obejrzelili ślad. Od wody aż do drzew trawa była tak wydeptana, że wystąpił

nagi grunt. Marcin i Bob stali wobec prawdziwego śladu.

— To nie być zwierzę — rzekł Bob. — Tu biegać człowiek w butach tam i z powrotem. Pan Marcin musieć przyznać rację pan Bob.

Młodzieniec potrząsnął głową. Zbadał dokładnie ślad i powiedział:

— To dziwna rzecz. Nie widać śladu podków ani pazurów. Ziemia jest tak wydeptana, że nie można określić czasu. Sądzę, że tylko kopyta musiały zostawić taki ślad.

— O pięknie, bardzo pięknie! — odrzekł uradowany Murzyn. — Być może to być opos. Pan Bob być z tego bardzo zadowolony.

Opos to drapieżny szczur amerykański, długi na pół metra. Posiada wprawdzie miękkie, białe i tłuste mięso, ale okropny zapach odstręcza białych. Lecz Murzyni na to nie zważają i po prostu rozkoszują się cuchnącą pieczenia z tego zwierzątka. Do takich namiętnych smakoszy zaliczał się męzny Bob.

— Co ci wpadło do głowy? — roześmiał się Marcin. — Opos tutaj? Czy opos posiada podkowy?

— Co opos posiadać, to nie obchodzić pan Bob. Opos być wyśmienite mięso i pan Bob teraz spróbować złapać oposa.

Chciał podążyć za siadem, ale Marcin powściągnął jego zapal.

— Zostań tu i nie ośmieszaj się, stary! Nie ma mowy o oposie — to za drobne zwierzątko, aby wydeptać takie ślady. Tędy przechodziła większa bestia, być może...

— Łoś, o, łoś! — zawołał Bob mlaskając językiem. — Łoś dać wiele mięsa i tłuszczu i skóry. Łoś być dobry, bardzo dobry. Bob zaraz znaleźć łoś!

— Zostań, stój! To nie może być łoś, bo trawa byłaby wyskubana!

— To pan Bob zobaczyć co to być. Być może to być opos. O, jeśli pan Bob znaleźć opos, to zrobić wielki bal!

I co prędzej pomknął ku zalesionej skale.

— Czekaj! Czekaj! — wołał Marcin. — To może być drapieżnik!

— Opos być drapieżnik, zreć ptaki i inne małe zwierzęta, ale pan Bob go złapać! — krzyknął w odpowiedzi Murzyn biegnąc za tropem.

Myśl o smakołyku kazała mu zapomnieć o przezorności. Marcin poszedł za nim, aby w razie potrzeby pośpieszyć z pomocą, ale Murzyn wyprzedził go na znaczną odległość.

Doszli do skraju lasu. Grunt wznosił się równie stromo po tej stronie doliny, jak po

drugiej. Ślad biegł prosto przez drzewa pomiędzy wielkie głązy, wciąż tak wydeptany, że niepodobna było rozróżnić pojedynczego śladu.

Murzyn wspinał się coraz wyżej. Pomiędzy gęstymi drzewami pełno było chrustu. Nagle Marcin usłyszał ucieszony głos Murzyna.

— Pan przyjsć, prędko przyjsć! Pan Bob znaleźć gniazdo oposa! Młodzian czym prędzej pośpieszył do Murzyna. Przecież nie było mowy o oposie, a więc Bob mógł się znaleźć w niebezpieczeństwie, którego nawet nie przeczuwał.

— Stój, stój! — ostrzegł Marcin głośno. — Nic nie rób dopóki nie przyjdę!

— O, tu być dziura — drzwi do gniazda oposa. Pan Bob złożyć wizytę.

Marcin dotarł do miejsca, gdzie znajdował się Bob. Było tu pełno nagromadzonych głązów. Dwa złomy skalne, wsparte o siebie, tworzyły jakby jaskinię, pod którą wznosiły się gęste krzewy orzecha laskowego, dzikiej morwy, malin i jeżyn. Poprzez krzewy prowadził udeptany trop. Poza tym jednak były tu i inne ślady, które świadczyły, że mieszkaniec jaskini wyprawia się na wycieczki we wszystkich kierunkach.

Murzyn przykucnął i zamierzał wczolgać się do jaskini. Marcin natychmiast zrozumiał, że jego obawy nie były płonne. Z nieco wyraźniejszych śladów poznał przeciwnika.

— Na miłość Boską! — krzyknął. — Cofnij się, cofnij! To jaskinia niedźwiedzia.

Mówiąc to złapał Boba za nogi, aby go odciągnąć. Murzyn zapewne nie zrozumiał, gdyż odpowiedział:

— Po co mnie trzymać? Pan Bob odważny, zwyciężyć całe gniazdo pełne oposów.

— Nie oposy, ale niedźwiedź, niedźwiedź!

Ciągnął go z całych sił. Naraz rozległ się głęboki, gniewny pomruk i prawie jednocześnie okrzyk przerażonego Boba.

— Boże! Bydlę, bestia! O pan Bob, o pan Bob!

Z błyskawiczną szybkością wydostał się z krzewów i skoczył na równe nogi. Mimo czarnej skóry widać było, że krew spłynęła mu z twarzy.

— Czy jest jeszcze w jaskini? — zapytał chłopiec.

Bob machał rękami i poruszał ustami, ale nie mógł wydobyć żadnego dźwięku. Broń wypadła mu z ręki, oczy latały nieprzytomnie, szczął zębami.

Krótki szmer — i ukazał się łeb szarego niedźwiedzia grizzly. To rozwiązało język Boba.

— Uciekać, uciekać! — krzyczał. — Pan Bob uciekać na drzewo!

Jednym susem znalazł się przy wiotkiej brzozie i wspiał się na górę ze zręcznością wiewiórki.

Marcin zbladł, ale bynajmniej nie z trwogi. Szybkim ruchem chwycił strzelbę Murzyna i ukrył się za grubym bukiem. Oparłszy strzelbę o pień wziął w ręce własną dubeltówkę, którą poprzednio zawiesił na plecach.

Niedźwiedź powoli wysuwał się z krzewów. Z początku spojrział małymi ślepiami na Boba, który rękami trzymał się najniższych gałęzi brzozy, a następnie na trochę bardziej oddalonego Marcina. Opuścił łeb, otworzył paszczę i wywiesił ozór. Zastanawiał się, z którym z wrogów zacząć. Po czym powoli, chwiejnie podniósł się na tylne łapy. Był wysoki na pewno na osiem łokci i rozsiewał ten przenikliwy zapach, właściwy wszystkim drapieżnikom puszczy. Nie upłynęła jeszcze minuta od chwili, kiedy Bob zerwał się na nogi. Kiedy Murzyn zobaczył olbrzyma w odległości czterech kroków, krzyknął:

— For God's sake! Niedźwiedź chce zjeść pan Bob! Na górę, szybko, szybko!

Wspinał się coraz wyżej. Niestety brzoza była tak słaba, że schyliła się pod ciężarem olbrzymiego Murzyna. Rozszerzył jak najbardziej nogi i trzymał się rękami i stopami, nie mógł jednak siedzieć okrakiem. Cienki wierzchołek drzewa uginał się i Bob zwisał na czworakach jak olbrzymi nietoperz. .

Niedźwiedź zrozumiał widać, że tego wroga łatwiej pokona niż drugiego — skierował się ku brzozie i odwrócił się do Marcina lewym bokiem. Młodzieniec złapał się za pierś. Pod koszulą myśliwską wisiała mała kukła, pamiątka po nieszczęśliwej siostrzyczce.

— Luddy, Luddy! — szepnął. — Pomszczę ciebie!

Pewną ręką przyłożył strzelbę. Rozległ się strzał, po nim drugi... Bob puścił gałąź ze strachu.

— Boże, Boże! — krzyczał. — Pan Bob być martwy, quite dead<sup>[43]</sup>.

Zwalił się z brzozy, która ponownie się wyprostowała.

Niedźwiedź skurczył się, jak gdyby od uderzenia. Otworzył wielką paszczę uzbrojoną w żółte kły i posunął się o dwa kroki. Murzyn wyciągnął ręce i krzyczał nie podnosząc się z ziemi:

— Pan Bob nie chce zrobić ci nic złego, chce tylko złapać oposa!

W tej chwili odważny chłopak stanął między niedźwiedziem a Murzynem. Rzucił wystrzeloną dubeltówkę i wymierzył z flinty Boba. Stał o dwa łokcie od drapieżnika. Oczy rozbłysły mu odwagą — usta zwarły się w twardą linię, jak gdyby chciał powiedzieć: ”Ty albo

ja!”

Jednak zamiast wypalić opuścił strzelbę i odskoczył do tyłu. Poznał, że trzeci strzał jest zbyt ciężki. Niedźwiedź stał nieruchomo. Po chwili opuścił przednie łapy i z chrapliwym pomrukiem zwał się na bok. Leżał nieruchomo tuż obok Murzyna.

— Help. Help! — Na pomoc! Na pomoc! — jęczał Bob wyciągając zeszywniałe ręce.

— Człowieku, Bob! — zgromił go Marcin. — Czemu lamentujesz, stary tchórze!

— Niedźwiedź, niedźwiedź!

— Nie żyje!

Murzyn oprzytomniał, przykucnął, spojrzał powątpiewająco na bestię i na Marcina.

Powtórzył:

— Martwy, martwy... Czy to być prawda?

— Przecież widzisz! Założę się, że obie kule dotarły do serca.

Bob natychmiast się zerwał. Pokazał, że ma wszystkie kości w porządku i zawołał radośnie:

— Martwy, martwy być niedźwiedź! Och, och, och! Pan Bob i pan Marcin zastrzelić bestię! Pan Bob zrobić polowanie na niedźwiedzie! O, co za odważny, co za sławny westman być pan Bob! Wszyscy ludzie mówić, co za odwagę mieć zuchwały i nieustraszony pan Bob!

— Tak — roześmiał się Marcin. — To zuchwalstwo upaść jak pieczone gołąbki wprost do gąbki okrutnego, niedźwiedzia!

Murzyn spojrzał z udawanym zdumieniem.

— Upaść? — zapytał. — Nie upaść! Pan Bob skoczyć na niedźwiedzia. Pan Bob chcieć grizzly wziąć za sierść i zakatrupić.

— Ale się nie podnosiłeś.

— Pan Bob siedzieć spokojnie, bo chcieć pokazać, że się nie bać niedźwiedzia. Oho! Co to być niedźwiedź wobec pan Bob! Bob być bohater, brać niedźwiedź za uszy i dać mu tyle razy po mordzie, ile niedźwiedź wcale nie umieć zliczyć!

Pochylił się. Lewą ręką ujął ucho powalonego zwierzęcia, ale robił to dosyć ostrożnie i powoli, aby się przekonać, czy niedźwiedź rzeczywiście nie żyje. Dopiero potem zaczął walić prawą pięścią.

W tej chwili rozległy się głosy i spieszne kroki.

— Do diabła, to ślad niedźwiedzia! — zaklął ktoś. — To mógł być tylko potężny grizzly.

Nie poznali się na tym i zbliżyli do niego nie podejrzewając niebezpieczeństwa. Śpieszmy z pomocą!

To był głos Old Shatterhanda. Doświadczony westman pierwszym spojrzeniem poznał ślad zwierzęcia.

— Tak, to grizzly — potwierdził Gruby Jemmy. — Może już za późno. Naprzód do lasu! Słychać było zgiełk wielu głosów i szmer szybkich kroków.

— Halloo! — zawołał Marcin Baumann. — Nie obawiajcie się! Wszystko w porządku!

Przede wszystkim ukazali się Old Shatterhand i Winnetou. Za nimi szedł Oihka-Petay oraz Długi Davy, a następnie Gruby Jemmy i mały Sas w towarzystwie licznych Indian. Wielu jednak nie opuściło obozu, gdyż nie można było zostawić koni bez nadzoru.

— Naprawdę grizzly! — zawołał Old Shatterhand spoglądając na leżące zwierzę. — Co za potężny okaz! A pan żyje, panie Marcinie! Co za szczęście!

Podszedł do niedźwiedzia i obejrzał ranę.

— Prosto w serce i to z dosyć bliska! Świetny strzał. Nie muszę chyba pytać kto położył bestię?

Teraz wystąpił Bob i z dumnym uśmiechem oznajmił:

— Pan Bob pokonał niedźwiedzia! Pan Bob być mąż, co być winien, że niedźwiedź stracić życie!

— Wy, Bobie? No, to brzmi nieprawdopodobnie.

— Och! Ale to prawda, bardzo prawda! Pan Bob usiąść pod nosem niedźwiedzia, aby niedźwiedź zobaczyć tylko pan Bob, a nie pan Marcin, który musieć strzelać. Pan Bob narazić życie, aby pan Marcin dobrze trafić.

Old Shatterhand nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Spojrzał na zielone liście brzozy, które leżały na ziemi. To Bob je zerwał wspinając się na drzewo. Połamał też niektóre słabsze gałązki, które teraz smętnie zwisały z drzewa.

— Tak, pan Bob był bardzo odważny — odezwał się westman. — Gdy ujrzał niedźwiedzia, wdrapał się czym prędzej ze strachu na brzozę nie zastanowiwszy się, że drzewo jest zbyt słabe, aby go udźwignąć. Pochyliło się, a następnie pan Bob zleciał na ziemię, wprost pod pysk niedźwiedzia. Byłby zgubiony, gdyby pan Marcin nie zdążył na czas wystrzelić. Czy to prawda, panie Baumann?

Marcin musiał potwierdzić, chociaż przykro mu było wystawiać na ogół odważnego

Murzyna na pośmiewisko. Bob usiłował się wytłumaczyć:

— Tak, pan Bob włączyć na brzozę, aby niedźwiedź wleźć za nim i nic nie zrobić dobry pan Marcin. Pan Bob chce się poświęcić dla dobrego pana.

Niestety, nie zdołał wzbudzić wiary w swoje zapewnienie.

Marcin na powszechnie żądanie musiał opowiedzieć przebieg przygody. Opowiadał w prostych, szczerych słowach, które nie zdołały zataić jego zimnej krwi i odwagi.

— Mój młody, drogi przyjacielu — rzekł Old Shatterhand. — Muszę panu powiedzieć, że nawet najbardziej doświadczony myśliwy nie poradziłby sobie lepiej. Jeśli będzie pan tak dalej postępował, to wyrosnie pan na człowieka, o którym wiele będą mówić.

Zazwyczaj milczący Winnetou dodał:

— Mój młody biały brat podziwem napelnia starych wojowników. Jest godnym synem słynnego niedźwiedźnika. Wódz Apaczów podaje mu dłoń.

Dla Szoszonów grizzly był wielce pożądaną zdobyczą, mięso jest wysmienite i pachnące, zwłaszcza szynka i łapy. Indianie nie jedzą jedynie serca i wątroby, które uważają za jadowite. Ich uznaniem cieszy się też tłuszcz, z którego wyrabiają rodzaj oliwy przydatnej do wcierania rozmaitych farb wojennych czy ochry, używanej przez Siuksów do wymalowania przedziałka na głowie.

Na pytający gest wodza Szoszonów Marcin odpowiedział:

— Moi bracia mogą zabrać mięso niedźwiedzia. Zachowam tylko skórę.

Po dwóch minutach skóra była zdarta, a mięso poćwiartowane. Większość Szoszonów ostrymi nożami do skalpowania kroїła mięso na cienkie pasma, inni znowu preparowali skórę.

Odbywało się to z taką szybkością, że już po kwadransie wojownicy wrócili do obozu. Skórę umieszczono na jednym z wielu dodatkowych koni, mięso zaś włożono do pieców.

— Jak to pieców? — zapyta Czytelnik. — Czy Indianie rozporządzają piecami?

Oczywiście, chociaż nie są one zbudowane z marmuru, porcelany czy żelaza. Chodzi o to, że każdy Indianin kładzie kawał mięsa pod siodłem. Podczas codziennej jazdy porcja tak mięknie, że wieczorem stanowi już strawny posiłek. Oczywiście, europejskiemu smakoszowi nie bardzo się podoba taki sposób przyrządzania potraw.

Przygoda myśliwska przerwała poobiedni odpoczynek, którego nie można było już przedłużyć. Znowu ruszono w drogę.





# Sępy Skalne I

Droga opadała ku dolinie, wiła się między wzgórzami i wiodła do obszernej niziny, na której już poprzednio byli. Okazało się, że jechali okrężną drogą. Siuksowie Ogallalla zatem dobrze znali okolicę. W niektórych miejscach, zwłaszcza przy zakrętach, zostawili drogowskazy dla Wohkadeha.

Po południu oddział dotarł do doliny w kształcie wydłużonego koła o wielomilowej średnicy, ciągnącej się między stromymi skałami. Pośrodku doliny wznosiła się stożkowata góra, a jej łyse boki błyszczały w słońcu. Na wierzchołku stał niski i szeroki głąz przypominający żółwia.

Geolog nie miałby wątpliwości, że ma przed sobą przedhistoryczne jezioro, którego brzegi stanowiły wznoszące się wokół wzgórza. Wierzchołek stożkowej góry, która wznosiła się na środku doliny, był kiedyś wyspą wystającą z wody.

Badania wykazały, że w okresie trzeciorzędu krajobraz Ameryki Północnej charakteryzował się dużą ilością słodkowodnych jezior. Z biegiem lat woda w tych zbiornikach opadła, tworząc doliny.

Dolina nad którą zatrzymali się jeźdźcy, była właśnie kiedyś takim jeziorem. Znak, zostawiony przez Siuksów Ogallalla dla Wohkadeha, wskazywał, że przejechali dolinę w poprzek. Old Shatterhand jednak nie skorzystał z tego szlaku, tylko skręcił w lewo wzdłuż góry.

— Oto drogowskaz — rzekł Davy wskazując na drzewo ze sztuczną szczepionką innego gatunku. — Oto znak Ogallalla. Czemu pan nie jedzie we wskazanym kierunku?

— Ponieważ znam lepszą drogę — odparł zapytany. — Od tego miejsca orientuję się doskonale. Oto góra Pejaw-epoleh, Wzgórze Żółwia, jest to indiańska góra Ararat<sup>[44]</sup>. Czerwonoskórzy przechowują także w pamięci wspomnienie dawnego potopu. Indianie Wrony powiadają, że tylko jedna para ludzi ocalała z potopu. Uratował ich Wielki Duch, posyłając ogromnego żółwia. Para z całym swoim dobytkiem zamieszkała na grzbiecie tego zwierzęcia i przebywała na nim dopóki woda nie opadła. Ta góra, którą widzicie, jest wyższa od otaczających, dlatego pierwsza wynurzyła się spod wody jako wyspa. Żółw stanął na niej, dzięki czemu para ludzi mogła wylądować. Wtedy dusza zwierzęcia, spełniwszy swoją misję, wróciła do Wielkiego Ducha, ale cielsko zostało na wierzchołku góry i skamieniało na pamiątkę tamtych czasów. Opowiedział mi o tym Szunka-szetsza, Wielki Pies, wojownik szczepu Wron, w którego

towarzystwie przed wielu laty obozowałem na górze Żółwia.

— A więc nie chce pan jechać śladem Siuksów Ogallalla?

— Nie. Znam bliższą drogę, która o wiele prędzej doprowadzi nas do celu. Obszary Yellowstone są mało dostępne. Zdaje się, że Ogallalla nie znają tego skrótu. Sądząc z kierunku, zwrócą się ku Wielkiemu Kanionowi, dalej ku Yellowstone, aby przez rzekę Mostów dostać się do Góry Kraterów, gdyż miejsce, w którym mają stracić Baumanna i jego towarzyszy, nie leży nad Yellowstone River, lecz nad rzeką Kraterów. Aby do niej dotrzeć, zakreślą ogromne półkole o średnicy sześćdziesięciu kilometrów w bardzo trudnym i mało dostępnym terenie. Natomiast droga, którą ja wybieram, biegnie prosto i prowadzi do rzeki Pelikan, a potem między tą rzeką a wzgórzem Siarkowym do ujścia rzeki Yellowstone i do jeziora o tej samej nazwie. Myślę, że łatwo natrafimy na rzekę Bridge, a w pobliżu odnajdziemy ślad Siuksów i pojedziemy do Basenu Gejzerów nad rzeką Kraterów. Ta droga jest również uciążliwa, ale mniej niż droga Siuksów, dlatego prawdopodobnie dojedziemy do celu wcześniej niż Ogallalla.

Mała, od dawna wyschnięta rzeczka, przed wiekami z zachodu toczyła swoje wody do dawnego jeziora i wryła się głęboko w brzegi. Koryto było bardzo wąskie, a ujście zamaskowane tak bujną roślinnością, że tylko bardzo byстрыm okiem można było je odnaleźć. Old Shatterhand skierował tam konia. Przedostali się przez gęste krzaki i jechali korytem dawnego potoku, dopóki nie skończyło się ono wąskim rowem w rejonie zwanym Undulating. Dalej była niewielka preria podzielona zalesionymi wzgórzami, przez które jeźdźcy przejechali bez trudności.

Wieczorem dojechali do potoku, który prawdopodobnie należał do dorzecza rzeki Big Horn. Należało pomyśleć o noclegu. Wkrótce jeźdźcy dostrzegli miejsce nadające się na obozowisko. Potok rozszerzał się tutaj i stanowił mały, płytki staw o brzegach zarośniętych gęstą trawą. W jasnej, przejrzystej do dna wodzie widać było liczne pstrągi — zapowiedź smacznego posiłku. Z jednej strony brzeg wznosił się stromo, z drugiej był równy i gęsto zalesiony. Duża ilość konarów i gałęzi, które leżały na ziemi świadczyła, że ubiegłej zimy runęły one pod ciężarem śniegu. Stanowiły niejako zasiek dookoła miejsca wybranego na obozowisko, zasiek zapewniający bezpieczeństwo i dostarczający opału.

— Pstrągi! — zawołał Gruby Jemmy, zeskakując ze swego rumaka. — Urządzimy sobie wspaniałą ucztę!

— Nie tak szybko! — odezwał się Old Shatterhand. — Przede wszystkim musimy się postarać, żeby ryby nie uciekły. Przyniescie gałęzie. Zrobimy dwie zapory.

Po napojeniu koni, Indianie nazbierali cienkich gałązek, zaostrzyli ich końce i wbili je przy ujściu potoku w miękkie dno tak, że tworzyły gęstą kratę. Taką samą zaporę postawili w górnej części stawu, lecz nie tam gdzie strumyk do niego wpływał, a jeszcze wyżej, tak, że była ona oddalona mniej więcej o dwadzieścia kroków od górnej części stawu, Ryby znalazły się w matni.

Gruby Jemmy zaczął ściągać z nóg swoje wielkie buty z wyłogami. Zdjął już pas i położył go wraz ze strzelbą na brzegu.

— Słuchaj no, mały — rzekł Długi Davy — zdaje się, że chcesz wejść do wody.

— Naturalnie. To dopiero będzie przyjemność.

— Zostaw to raczej ludziom wyższym od ciebie. Taki co wystaje ledwo ponad stółek może trafić na głębię.

— Nie szkodzi. Umiem pływać. Poza tym staw jest płytki. — Jemmy podszedł bliżej, aby przekonać się dokładnie jaki jest poziom wody.

— Najwyżej metr.

— Można się pomylić. Kiedy ktoś patrzy na dno, wydaje się ono bliższe niż jest w rzeczywistości.

— E, tam! Chodź i popatrz. Widać każde ziarenko piasku, a ponieważ... do licha!

Nachylił się za mocno, stracił równowagę i wpadł do stawu. Trafił akurat na najgłębsze miejsce. Znikł na chwilę pod wodą, ale szybko wypłynął na powierzchnię. Był dobrym pływakiem i wcale by mu nie przeszkadzała ta przymusowa kąpiel, gdyby nie miał na sobie futra. Natomiast jego szeroki kapelusz pływał niczym wielki liść.

— O rany — roześmiał się Długi Davy. — Chodźcie tu wszyscy, obejrzyjcie dobrze pstrąga, którego trzeba schwytać. Ta gruba ryba starczy na wiele porcji.

Mały Sas stał w pobliżu. W pseudonaukowych dyskusjach nieraz się sprzeczał z Grubym Jemmy'm, ale lubił go bardzo, a poza tym byli przecież rodakami.

— Wielki Boże! — krzyknął przerażony. — Co pan zrobił, panie Pfefferkorn? Czemu pan skoczył do wody? Czy nie zmókł pan?

— Do suchej nitki — odparł ze śmiechem Jemmy.

— Do suchej nitki! To niebezpieczne. Może pan zachorować! I do tego wpadł pan w futrze! Niech pan natychmiast wychodzi. Już ja się zajmę kapeluszem. Wyłowię go gałęzią.

Mówiąc to znalazł długą gałąź i próbował złowić kapelusz. Pseudowędka była jednak za

krótka, więc pochylał się coraz bardziej do przodu.

— Niech pan uważa — ostrzegał go Jemmy wychodząc z wody. — Sam mogę schwytać moje nakrycie głowy. I tak już jestem mokry.

— Niech pan nie plecie głupstw! — odparł Frank. — Jeśli pan myśli, że jestem takim niedołągą jak pan, to myli się pan setnie. Ja nie wpadnę do wody. I jeśli ten przeklęty kapelinder popłynie dalej, to nachylę się jeszcze bardziej i...O wielki Boże!

Wpadł do wody. Widok był tak komiczny, że wszyscy biali roześmieli się głośno. Natomiast czerwonoskórzy zachowali zewnętrzną powagę, mimo że w duszy zapewne zawtórowali im śmiechem.

— No, kto nie jest takim niedołągą jak ja? — zapytał Jemmy, któremu ze śmiechu kręciły się łzy w oczach.

Frank pluskał się w wodzie, strojąc gniewne miny.

— Z czego tu się śmiać? — zawołał. — Pływam jako ofiara swojej usłużności, samarytańskiej miłości do bliźniego i w podzięce za miłosierdzie zbieram śmiech i drwiny. Na drugi raz dobrze to sobie zapamiętam. Rozumiecie?

— Nie śmieję się, ale płaczę, drogi panie Hobble-Franku. Czy pan tego nie widzi?

— Niech pan milczy z łaski swojej! Nie pozwolę z siebie kpić. Nic mnie ta kąpiel nie obchodzi, martwię się tylko, że frak przemoknie. A tam oto płynie moja Amazonka przy boku pańskiego kapelusza. Kastor i Phylaks, jak to mówią w mitologii i w astronomii. To jest właśnie...

— Mówi się Kastor i Polluks<sup>[45]</sup> — poprawił Jemmy.

— Niech pan będzie cicho! Polluks! Jako leśniczy tyle miałem do czynienia z psami myśliwskimi, że wiem dokładnie, czy to Polluks czy Phylaks. Wypraszam sobie takie poprawki. Swoją drogą pragnę wyłowić szlachetne rodzeństwo. Właściwie nie powinienem ruszać pańskiego kapelusza. Nie zasłużył pan sobie na to, abym z powodu pańskiego nakrycia głowy zmoczył się jeszcze bardziej.

Wyłowił jednak oba kapelusze.

— Tak — dodał. — Uratowane! A teraz weźmiemy się do wyżęcia pańskiego futra i mojego fraka, które będą się zalewać gorzkimi łzami. Już teraz z nich kapie.

Obaj mieli tyle kłopotu i zajęcia ze swymi przemoczonymi ubiorami, że ku swojemu zmartwieniu nie mogli przyłączyć się do rozpoczętego połowu ryb. Gromada Szoszonów stanęła

w wodzie na jednym końcu stawu i posuwając się do przodu zapędziła ryby do drugiego brzegu, gdzie już czekała na nie następna grupa Indian. Pstrągi wpędzone w cieśninę nie mogły się ani przedostać przez kratę, ani cofnąć. Indianie chwyтали je pełnymi garściami i rzucali ponad swoimi głowami na brzeg. Połów nie trwał długo.

Tymczasem przygotowano płaskie doły i wyłożono je kamieniami. Położono na nich ryby i przykryto drugą warstwą kamieni, na której rozpalono ogień. Między rozgrzаныmi kamieniami pstrągi szybko się upiekły. Były miękkie i bardzo smaczne.

Po posiłku spędzono na jedno miejsce konie i rozstawiono strażników, po jednym w każdym kierunku.

Podróżni rozpalili ogniska, dookoła których zebrano się grupami. Oczywiście wszyscy biali skupili się przy jednym. Old Shatterhand, Gruby Jemmy, Marcin Baumann i mały Frank byli Niemcami; Długi Davy nauczył się od swego przyjaciela tyle, że rozumiał po niemiecku i chociaż nie mówił, można było się porozumiewać w tym języku. Nawet Bob rozumiał coś niecoś, wiadomo bowiem, że Murzyni posiadają wybitną pamięć językową.

Takie gawędy przy ognisku w puszczy albo na prerii mają swój niezwykły urok. Opowiada się swoje własne przeżycia lub czyny znakomitych myśliwych. Trudno uwierzyć, jak szybko na Dzikim Zachodzie mimo ogromnych odległości i uciążliwych dróg rozchodzi się wieść o wybitnym czynie, o znakomitej osobie, o niezwykłym zdarzeniu. Biegnie ona niczym strzała od ogniska do ogniska. Jeśli Czarne Stopy znad rzeki Marias wykopały tomahawk wojny to po czternastu dniach mówią już o tym Komanczowie znad Rio Conchas. A jeśli wśród szczepu Wallawalah wyróżnia się wielki wojownik, to wieść o nim dociera do Dakoty z Coteau znad Missouri.

Jak można się było tego spodziewać, mowa była o bohaterskim czynie Marcina Baumanna. Hobble-Frank powiedział:

— To prawda, dobrze się wywiązałeś z zadania, ale nie jesteś tutaj jedynym człowiekiem, który może się chlubić swoją przygodą. Mój niedźwiedź, na którego kiedyś się natknąłem też nie był z papieru.

— Co? — zapytał Jemmy. — Pan także miał przygodę z niedźwiedziem?

— I to jeszcze jaką! Ja z nim, a on ze mną.

— Musi pan opowiedzieć!

— Czemu nie? — Hobble-Frank odkaslnął i zaczął: Nie byłem wtedy jeszcze długo w

Stanach Zjednoczonych, to znaczy, że nie znałem jeszcze tutejszych stosunków. Nie chcę bynajmniej powiedzieć, że nie jestem wykształcony. Wprost przeciwnie, przywiozłem wielki zapas cielesnych i duchowych zalet. Jednak wszystkiego trzeba się uczyć. Czego się nie widziało ani uprawiało, tego nie można znać. Bankier, na przykład, jakkolwiek będzie mądry, nie potrafi tak grać na kobzie jak ja i pan, a uczony profesor eksperymentalnej astronomii nie potrafi od razu, ot tak, bez wskazówek, zostać kucharzem. Przytaczam ten przykład dla własnego usprawiedliwienia i obrony. Otóż moja przygoda rozegrała się w pobliżu Arkansasu w Colorado. Poprzednio włóczyłem się po rozmaitych miastach Stanów Zjednoczonych i uciulałem małą sumkę. Chciałem obracając tym kapitałem rozpocząć handel na Zachodzie, chciałem zostać tym, co tu nazywają a pedlar<sup>[46]</sup>. Ruszyłem w drogę z dość pokaźnym zapasem różnych towarów. Szczęście mi sprzyjało i już w okolicy fortu Lyon nad Arkansas pozbyłem się reszty towarów. Splawiłem nawet wózek z dobrym zarobkiem. Siedziałem na koniu ze strzelbą w ręku, z nabitą kiesą u boku i postanowiłem dla własnej przyjemności wybrać się nieco dalej. Już wtedy miałem chęć zostać sławnym westmanem.

— Jakim pan istotnie jest — wtrącił Jemmy.

— No, jeszcze nie. Ale myślę, że jeśli teraz uderzymy na Siuksów, nie zostanę za frontem jak Hannibal<sup>[47]</sup> pod Waterloo<sup>[48]</sup> i niezawodnie będę miał sposobność uzyskania sławnego imienia. Lecz opowiadajmy dalej. W tym czasie Colorado było jeszcze mało znane. Znalaziono olbrzymie pola złota, więc ze wschodu przybywali prospektorzy<sup>[49]</sup> i diggersi<sup>[50]</sup>. Prawdziwych osiedleńców zjawiało się niewielu. Byłem więc zdumiony, gdy natrafiłem po drodze na prawdziwą, normalną farmę. Składała się z małej strażnicy, rozległych pól i wielkich łąk. Settlement<sup>[51]</sup> wznosiło się na brzegu Purgatorio, w przepięknym klonowym lesie. Zdziwiłem się też bardzo widząc w każdym klonie rurę, przez którą sok drzewny wlewał się do naczyń wkopanych w ziemię. Była wiosna, najlepszy czas do zbierania cukru klonowego. W pobliżu strażnicy stały drugie, obszerne, ale dość płytkie drewniane kadzie pełne soku. Zaznaczam to ze względu na rolę, jaką błogosławiony sok odgrywa w moim opowiadaniu.

— Ta osada na pewno nie była własnością Jankesa — rzekł Old Shatterhand. — Jankes udałby się na poszukiwanie złota, zamiast jako squatter<sup>[52]</sup> siedzieć na gospodarstwie.

— Słusznie. Właściciel farmy pochodził z Norwegii. Przyjął mnie bardzo gościnnie. Mieszkał z rodziną, a więc z żoną, dwoma synami i córką. Proszono mnie, abym został jak najdłużej. Chętnie przystałem na to i starałem się pomagać w gospodarstwie. Rozmaite przysługi

i moja wrodzona duchowa przewaga zyskały mi zaufanie do tego stopnia, że zostawili mnie samego na farmie. Chodzi o to, że u jednego z sąsiadów miał się odbyć tak zwany house-raising-frolic<sup>[53]</sup> i cała rodzina chciała wziąć w nim udział. Moja obecność bardzo ich cieszyła, gdyż mogłem zostać w domu jako householder<sup>[54]</sup> i dbać o bezpieczeństwo domu. A więc wszyscy pojechali i zostałem sam. Sąsiadem nazywają tu każdego, kto mieszka w odległości dwunastogodzinnej jazdy koniem. Tak właśnie odległa była farma tego sąsiada, wobec czego nie należało się spodziewać powrotu moich gospodarzy przed upływem dwóch dni,

— Naprawdę pozyskał pan sobie wielkie zaufanie — rzekł Jemmy.

— Czemu nie? Czy pan myśli, że mógłbym uciec wraz z farmą? Czy wyglądam na rabusia?

— O tym nie ma mowy. Wtedy włóczyło się tam mnóstwo obieżyświatów i bandytów. Czy mógłby pan sam jeden dać radę całej bandzie? Trzej ludzie nie zwracają uwagi na jedną kulę.

— Ja także. Muszę dodać, że z boku, koło domu, stało wysokie drzewo ogołocone z kory aż do pierwszych gałęzi. Kora służyła do farbowania na żółto. Pień był bardzo gładki — trzeba było mieć akrobatyczne zdolności, aby się wspiąć na wierzchołek.

— Nikt chyba tego od pana nie żądał? — wtrącił Długi Davy.

— No, oczywiście, nikt tego nie żądał, ale mogą się zdarzyć rozmaite wypadki, które nawet najszlachetniejszego człowieka zapędzą na sam wierzchołek drzewa. Za parę chwil przekona się pan o słuszności tego prawa natury. A więc, aby nie zejść z tematu, zostałem sam jeden w całej farmie i medytowałem nad sposobem przepędzenia długich godzin samotności. Prawda! W strażnicy gliniana tarcica była uszkodzona, wykruszyła się też gliniana zaprawa spomiędzy desek ściany. Właśnie w celach remontu farmer wykopał koło domu dół długi na cztery metry, szeroki na trzy i wypełnił go po brzegi gliną. Natchniony chęcią do pracy pędzę ku dołowi i zatrzymuję się...jak myślicie, wobec czego lub wobec kogo?

— Wobec niedźwiedzia? — zapytał Jemmy.

— Tak, wobec niedźwiedzia, który opuścił swój górski azyl i wywędrował, aby obejrzeć świat i ludzi. Ale bynajmniej nie przypadło mi to do gustu. Łotr obejrzał mnie z taką miną, że jednym potężnym susem, którego już chyba nie potrafię powtórzyć, cofnąłem się. Drapieżnik z taką samą szybkością skoczył za mną. Z niespodzianą zręcznością pędziłem co sił. Jak indyjski tygrys doskoczyłem do drzewa i jak rakietą wspiąłem się na górę. Trudno uwierzyć, do czego



zdolny jest człowiek w podobnie niesympatycznych okolicznościach.

— Jednak już przedtem był pan wygimnastykowany? — zapytał Jemmy.

— Nie bardzo, wcale nie bardzo. Ale kiedy za kimś stoi niedźwiedź, wtedy człowiek nie pyta się, czy włożenie jest pożyteczne dla zdrowia czy szkodliwe, tylko wchodzi z prawdziwą namiętnością, tak jak ja wtedy. Na nieszczęście drzewo było, jak już zaznaczyłem, zbyt gładkie. Nie zdołałem dotrzeć do gałęzi, a trzymać się pnia było niezmiernie trudno.

— O, biada! Mogło się źle skończyć. Nie miał pan broni. A co zrobił niedźwiedź?

— Coś, czego mógłby zaniechać bez wyrzutów sumienia. Mianowicie wspiał się za mną.

— Ach, w takim razie, na szczęście, nie był to grizzly!

— To mnie nie obchodziło. Wtedy niedźwiedź był dla mnie niedźwiedziem. Trzymałem się kurczowo pnia i spojrzałem w dół. Niedźwiedź podniósł się, objął pień i powoli zaczął się wspinać. Stanowiło to pewnie niezłą zabawę, bo wielce zadowolony mruczał coś pod nosem, jak kot, ale głośniej. Ja natomiast mruczałem nie tylko ustami, lecz całą osobą z ogromnego napięcia, z jakim się trzymałem. Niedźwiedź zbliżał się coraz bardziej. Nie mogłem już dłużej pozostać na swoim stanowisku. Musiałem wspiąć się wyżej. Ledwo jednak podniosłem rękę, aby położyć ją wyżej, straciłem równowagę. Chwyciłem się wprawdzie od razu za pień, ale siła przyciągania Matki-Ziemi nie wypuściła już ofiary ze swoich szponów. Mogłem sobie tylko pozwolić na krótkie, przerażone westchnienie, po czym zleciałem, niczym dwudziestocetnarowy młot, z taką siłą na niedźwiedzia, że poleciał ze mną. Runął na ziemię, a ja na niego.

Mały Sas opowiadał z taką werwą i tak interesująco, że wszyscy słuchali go z napięciem, teraz zagrzmiął wybuch śmiechu.

— Tak, śmiecie się — mruknął. — Było mi wtedy wcale nie do śmiechu. Miałem wrażenie, że wszystkie części ciała upadły wzajemnie na siebie. Byłem tak oszołomiony upadkiem, że przez kilka sekund nie myślałem wcale o tym, że trzeba się podnieść.

— A niedźwiedź? — zapytał Jemmy.

— Leżał równie cicho pode mną, jak ja na nim. Ale po chwili wyrwał się, co mnie doprowadziło do świadomości moich obowiązków osobistych. Zerwałem się na równe nogi i czmychnąłem — a on za mną, czy ze strachu jak ja, czy też pragnąc utrzymać nawiązane ze mną stosunki — nie wiem. Właściwie chciałem dostać się do domu, ale miałem za mało czasu, gdyż bestia po prostu deptała mi po piętach. Strach przypiął mi skrzydła jaskółki, uwielokrotnił długość moich kulasów. Mknąłem jak kula karabinowa, skręciłem za róg domu i ... wpadłem do

dołu z gliną aż po ramiona. Zapomniałem o wszystkim, o niebie, o ziemi, o Europie i Ameryce, o mojej doczesnej wiedzy i o całej glinie. Tkwiłem jak rodzynek w cieście, gdy przy mnie rozległ się głośny, jak powiadają Amerykanie, ślap<sup>[55]</sup>. Doznałem uderzenia jakby szturchnął mnie wagon kolejowy i nad głową moją rozprysła się glina. Pokryła mi całą twarz i tylko prawe oko ocalało. Odwróciłem się i oto spoglądałem na niedźwiedzia, który przez lekkomyślność zapomniał uważać na grunt i poleciał za mną. Widać było tylko jego łeb — straszliwie zeszpecony. Oglądaliśmy się przez jakieś trzy sekundy, po czym on zwrócił się na lewo, a ja na prawo. Każdy z nas pragnął się dostać do gościnniejszego miejsca. Oczywiście niedźwiedź prędzej zdołał się wygrzebać niż ja. Bałem się, że zostanie na miejscu, aby mnie nie spuszczać z oka, ale gdy tylko się wygramolił, pomknął w tym samym kierunku, skąd przybyliśmy i znikł za krawędzią nie racząc na mnie spojrzeć. Farewell, big muddy beast<sup>[56]</sup>!

Hobble-Frank podniósł się w trakcie opowiadania i ilustrował opowieść takimi gestami, że słuchacze zrywali boki ze śmiechu — śmiechu, jaki się chyba jeszcze nigdy tutaj nie rozlegał. Jeśli ktoś przestał się śmiać, to po chwili musiał rozpocząć od nowa, tyle było komizmu w tym opowiadaniu.

— To bardzo wesoła przygoda rzekł wreszcie Old Shatterhand. — A najlepsze to, że skończyła się dobrze dla pana i dla niedźwiedzia.

— Także dla niedźwiedzia? — odparł Hobble-Frank. — Oho! Nie skończyłem jeszcze. Gdy mój niedźwiedź znikł za krawędzią, usłyszałem huk jak gdyby przewracanego mebla. Nie zwracałem na to uwagi, starając się przede wszystkim wydostać z rowu. Kosztowało mnie to wiele trudu, gdyż glina była bardzo lepka i tylko dzięki temu się wygrzebałem, że zostawiłem buty. Przede wszystkim musiałem z gliny obmyć twarz. Poszedłem do strumyka płynącego za domem i zmyłem z siebie wszystko, co było zbyteczne dla mojego zewnętrznego człowieczeństwa. Po czym wróciłem do tropu niedźwiedzia. Lecz on wcale jeszcze nie uciekł. Siedział pod drzewem i oblizywał się smacznie.

— Z gliny? E, tam! — rzekł Jemmy potrząsając głową. — O ile znam te zwierzęta, to szukałyby przede wszystkim wody.

— Wcale nie przyszło mu to do głowy, bo był mądrzejszy od pana, Mr Jemmy. Niedźwiedź namiętnie lubi słodczy. Wspominałem już o drewnianych kadziach, w których wyparowywał sok cukrowy. Niedźwiedź był tak mało zachwycony przygodą, że pragnął tylko jak najprędzej uciec. Po drodze wpadł na jedną z nich i przewrócił ją. Zapach cukru zatarł w

pamięci niedźwiedzia upadek z drzewa, dół z gliną i mnie. Zamiast stosować się do mojego farewell, położył się wygodnie pod drzewem i zaczął zlizywać słodycz z gliny. Był tak zajęty swoim uctowaniem, że nie zauważył, jak powoli wkradłem się do domu. Teraz byłem bezpieczny i uzbrojony we flintę. Ponieważ bestia siedziała na tylnych łapach, ja natomiast mogłem długo celować, więc kula nie mogła chybić. Istotnie ugodziła niedźwiedzia w to miejsce, gdzie według zapewnień poetów tkwią wszystkie szlachetne uczucia, mianowicie wprost w serce. Niedźwiedź drgnął, podniósł się znowu, oznajmił ostatnią wolę drgawkami przednich łap i zwałił się jak kłoda. Był martwy. Z powodu swej lekkomyślności i łakomstwa przestał istnieć jako istota żywa.

— Hm, hm — powiedział Old Shatterhand. — Grizzly nie potrafi łązić po drzewach. Jakiej barwy był pański niedźwiedź?

— Miał czarną sierść.

— A ogon?

— Żółty.

— A więc to był szop, którego wcale nie powinien pan się bać.

— Oho! Widać było po nim, że lubi ludzkie mięso.

— Niech pan tak nie myśli! Szop chętniej żywi się owocami niż mięsem. Podejmuję się uporać z takim pocziwym zwierzakiem zupełnie bez żadnej broni. Parę silnych ciosów — a zwierzę ucieknie.

— Tak, to pan. Jak głosi pańskie imię, uderzeniem pięści zabija pan nawet człowieka. Ja natomiast jestem o wiele delikatniej zbudowany i bez broni nie odważyłbym się... stój! Co tam ucieka?

Frank podczas opowiadania podniósł się, a teraz stanął na głazie, który poprzednio leżał za nim i wypłoszył jakieś zwierzątko, które błyskawicznie pomknęło do dziupli pobliskiego pnia. Przestraszone stworzenie pobiegło tak szybko, że nikt nie był w stanie określić jego gatunku.

To drobne wydarzenie zelektryzowało Murzyna Boba. Zerwał się z miejsca, popędził do pnia i zawołał:

— Bestia, bestia tu biegać! Tu się schować w dziurze. Pan Bob wyjąć bestię z drzewa!

— Ostrożnie, ostrożnie — ostrzegł Old Shatterhand. — Nie wiesz, co to było za zwierzę.

— O, to być tylko mała bestia!

— W pewnych okolicznościach małe zwierzątko może stać się niebezpieczniejsze niż

duże.

— Opos nie być niebezpieczny.

— Więc widziałeś, że to był opos?

— Tak, tak, pan Bob widzieć dokładnie oposa? Być tłusty, bardzo tłusty i dać bardzo smaczną pieczeń, o, bardzo smaczną!

Mlasnął językiem i oblizywał się, jak gdyby już miał przed sobą pieczeń.

— A ja myślę, że się mylisz. Opos nie jest tak chyży jak to zwierzątko.

— Opos bardzo, bardzo prędko odejść. Dlaczego pan Old Shatterhand nie życzyć Murzynowi Bob dobrą pieczeń? Pan Bob złapać oposa!

— No, jeśli jesteś tak pewny, to rób co ci się podoba. Ale nie zbliżaj się do nas z tą potrawą!

— Chętnie odsunąć się z potrawą. Pan Bob nikomu nie dać oposa. Jeść pieczeń sam, sam jeden. Teraz uważać! Wyciągnąć oposa z dziury!

Mówiąc to sięgnął prawą ręką.

— Nie tak, nie tak! — rzekł Old Shatterhand. — Musisz schwytać zwierzę lewą ręką, a do prawej wziąć nóż. Gdy złapiesz ofiarę, wyciągnij ją i uklęknij na niej. Wtedy nie będzie mogła się bronić, a ty ją zabijesz.

— Pięknie! To być bardzo pięknie! Pan Bob tak zrobić, bo pan Bob być wielki westman i znany myśliwy.

Zakasał lewy rękaw, ujął nóż prawą ręką i lewą sięgnął do otworu, z początku powoli i ostrożnie. Ale nagle wypuścił nóż z ręki, wydał głośny okrzyk strojąc przerażone grymasy i gestykulując prawą ręką.

— O Boże, o Boże! — lamentował na głos. — To boleć, bardzo boleć!

— Co takiego? Czy trzymasz zwierzątko?

— Czy pan Bob trzymać? Nie! Zwierzę trzymać pana Boba!

— O niedobrze! Czy wpiło się w twoją rękę?

— O tak, całe wpić się, całe!

— Wyciągnij, wyciągnij tylko!

— Nie, bo to bardzo boleć!

— Ale nie możesz zostawić tam ręki. Kiedy takie zwierzątko się wpija, to prędko nie puszcza! A więc ciągnij! A kiedy wyciągniesz, chwyć je prawą dłonią, abym mógł zadać cios

pięścią.

Wyciągnął długi nóż zza pasa i podszedł do Boba. Murzyn wyciągał rękę, bardzo powoli, ze zgrzytaniem i jękami. Zwierzę nie puszczało. Bob szybko pociągnął — i wyrwał z otworu małego drapieźnika. Uchwycił szybko za tylną część ciała zwierzaka spodziewając się, że Old Shatterhand użyje noża. Lecz Shatterhand cofnął się szybko i zawołał:

— Skunks, skunks! Precz! Uciekajcie, panowie!

Skunks jest to rodzaj amerykańskich tchórzy. Długi na czterdzieści centymetrów, ssak ten posiada prawie równej długości, w dwóch warstwach owłosiony ogon i szeroki nos na szpiczastej mordzie. Ma czarną sierść z dwoma białymi jak śnieg pasmami, które biegną osobno po bokach i łączą się na grzbiecie. Żywi się jajami i małymi stworzeniami; wychodzi na łowy w nocy, a resztę czasu spędza w norach i pustych pniach.

Zwierzę to zasługuje na swą łacińską nazwę *Mephitis*<sup>[57]</sup>. Pod ogonem posiada gruczoły wydzielające żółtą ciecz, która cuchnie odrażająco.

Spryskana tą cieczą odzież wydziela nieprzyjemną woń przez miesiące. Ponieważ skunks trafia strumieniem tej cieczy z dużej odległości, więc każdy, kto zna właściwości tego zwierzęcia, ucieka od niego jak najdalej. Popryskany człowiek musi na całe tygodnie pożegnać się z ludzkim towarzystwem.

Łakomy Bob zamiast wymarzonego oposa schwytał skunksa. Uczestnicy wyprawy zerwali się z miejsc i czym prędzej cofnęli.

— Odrzuć go! Szybko, szybko! — krzyczał Gruby Jemmy.

— Pan Bob nie móc odrzucić — lamentował Murzyn. — Wgryźć się w rękę i... och, ach... au... au, och! Faugh, shameless devil<sup>[58]</sup>! Teraz opryskać pana Boba! O śmierć, o, piekło, o diable! Jak pan Bob cuchnie! Żaden człowiek nie móc wytrzymać! Pan Bob się zadusić! Precz, precz ze zwierzęciem, z tą zarazą!

Usiłował strząsnąć skunksa z ręki, ale bestyjka tak się wpiła, że nie mógł się jej pozbyć.

— Poczekać! Pan Bob już ciebie zrzucić, ty swinefell<sup>[59]</sup>, ty stinking monkey<sup>[60]</sup>!

Prawą pięścią wymierzył cios w głowę zwierzęcia. To wprawdzie ogłuszyło skunksa, ale zęby wpiły się jeszcze głębiej w rękę Murzyna. Rycząc nieomal z bólu, jednym ciosem zabił drapieźnika.

— Tak — zawołał. — Teraz pan Bob zwyciężyć! Och, pan Bob nie bać się żadnego niedźwiedzia ani smelling beast<sup>[61]</sup>. Wszyscy panowie podejść i zobaczyć, jak pan Bob zabić

drapieżnika!

Niestety, nikt nie chciał się zbliżyć, cuchnął bowiem tak, że mimo oddalenia musieli się trzymać za nosy.

— No, czemu nie podejść? — zapytał Murzyn. — Czemu nie uczcić zwycięstwa razem z panem Bob?

— Urwipolciu, oszalałeś chyba! — odparł Gruby Jemmy. — Nie chcemy podchodzić! Cuchniesz gorzej niż zaraza!

— Tak, pan Bob brzydko pachnieć. Pan Bob sam to czuć. O, o, kto wytrzymać ten zapach?! — krzyknął dziko wykrzywając twarz.

— Rzuć skunksa! — zawołał Old Shatterhand. Bob próbował, ale daremnie.

— Zęby być za głęboko w rękę pana Boba. Pan Bob nie móc otworzyć paszczy zwierzęcia!

Wzdychając i jęcząc na próżno starał się oderwać martwego ssaka.

— Thunder storm<sup>[62]</sup>! — zawołał wściekle. — Skunks nie móc wiecznie zostać na rękę pana Boba. Czy nie ma tu dobrego, miłego człowieka, który chce pomóc panu Bob?

Hobble-Frank ulitował się nad Murzynem. Serce nakazało mu pomóc Bobowi. Zbliżył się powoli i rzekł:

— Słuchaj, drogi Bobie, będę próbował. Wprawdzie bardzo cuchniesz, ale może moje człowieczeństwo potrafi to przetrzymać. Ale robię to pod warunkiem, że mnie nie dotkniesz.

— Pan Bob nie podejść do pana Franka! — żalił się Bob.

— No dobrze. Ale nie dotykaj także swoim odzieniem mojego, gdyż obaj będziemy cuchnęli, ja zaś wołałbym ten zaszczyt zostawić tobie.

— Niech tylko pan Frank podejść! — Pan Bob mieć się na baczności Była to prawie bohaterska decyzja. Mały Sas zbliżał się do Murzyna.

Gdyby się tylko otarł o spryskane miejsce, musiałyby podzielić jego los i wyrzec się towarzystwa ludzi, lub przynajmniej pożegnać się z ubraniem.

Im bliżej się przysuwał, tym dotkliwszy był zapach, który niemal zapierał mu dech. Wytrzymał go jednak mężnie.

— No, wyciągnij rękę, stary! — rozkazał. — Nie mogę przecież podejść zbyt blisko.

Bob wykonał polecenie. Sas uchwycił jedną ręką górną, a drugą ręką dolną szczękę zwierzęcia. Wyteżył wszystkie siły i wreszcie zdołał oderwać martwego skunksa, po czym cofnął

się czym prędzej. Murzyn rozsiewał taki zapach, że Frank omal nie zemdłał.

Bob był uszczęśliwiony. Ręka wprawdzie krwawiła, ale nie zwracał na to uwagi.

— Tak! — krzyczał. — Teraz pan Bob pokazać, jaki on odważny! Czy teraz wierzyć wszyscy biali i czerwoni panowie, że czarny Murzyn się nie bać?

Mówiąc to podchodził do towarzystwa. Jednak Old Shatterhand przyłożył strzelbę do ramienia, skierował lufę w Murzyna i zawołał:

— Stój, ani kroku dalej!

— O wielki Boże! Dlaczego celować w biedny, dobry Murzyn?

— Dlatego, że nas tym zapachem porazisz! Umykaj do wody, jak najdalej stąd i zrzuć z siebie ubranie!

— Zrzucić ubranie? Pan Bob mieć się pozbawić piękny szlafrok i spodnie i kamizelka?

— Wszystko, wszystko zdejmij! Później wrócisz i usiądziesz po szyję w wodzie. A więc szybko! Im dłużej zwlekasz, tym bardziej będziesz cuchnąć!

— Co za nieszczęście! Mój piękny strój! Pan Bob go wyprać, a potem nie cuchnąć.

— Nie, pan Bob usłucha, bo będzie źle. A więc raz, dwa — i — trzzz... — krzyknął Old Shatterhand zbliżając się ze wzniesioną strzelbą do Murzyna.

— Nie, Nie! Nie strzelać! Pan Bob uciekać daleko, bardzo prędko, prędko!

Znikł czym prędzej w mrokach nocy. Oczywiście Old Shatterhand żartował aby zmusić Murzyna do wykonania prośby. Pan Bob niebawem wrócił i usiadł w wodzie, żeby pozbyć się nieznośnego zapachu. Zamiast mydła dostał sporo sadła niedźwiedziego, którego nie brak było przy ognisku.

— Szkoda takiego pięknego sadła — żalił się. — Pan Bob móc wcierać we włosy to piękne sadło i zrobić wiele loków. Pan Bob być wybornym ringlet-man<sup>[63]</sup>, ale nie być urodzony Murzyn, bo móc splatać loki tak długie, tak bardzo długie!

— Myj się! — nalegał Jemmy. — Nie myśl teraz o swojej urodzie, tylko o naszych nosach!

Z poczciwego Boba, mimo że siedział w wodzie emanował niemiły zapach.

— Ale — zapytał — jak długo musieć pan Bob siedzieć w wodzie i myć się?

— Tak długo, aż tutaj pozostaniemy, a więc do rana.

— Pan Bob nie móc tak długo wytrzymać!

— Zmusimy cię. Nie trzeba było bez namysłu rzucać się do dziupli. Pytanie jednak, czy

pozostałe w wodzie pstrągi wytrzymają. Nie wiem, czy ryby posiadają zmysł powonienia, ale jeśli tak, to nie będą ucieszone twoim towarzystwem.

— A kiedy pan Bob może wziąć swój szlafrok i wymyć go?

— Nigdy.

— Ale co włożyć biedny pan Bob?!

— Tak, to przykra sprawa. Nie ma zapasowej odzieży. Będziesz musiał wejść w skórę grizzly'ego, którego zabił Marcin. Być może nieco dalej w górach znajdziemy ocalałe resztki jakiegoś pradawnego krawca. Ale tymczasem będziesz jechał na samym końcu oddziału, gdyż w przeciągu co najmniej ośmiu dni nie powinieneś się do nas zbliżać. A zatem myj się pilnie! Im bardziej będziesz się nacierał, tym prędzej stracisz zły zapach!

Bob nacierał się z całych sił. Tylko głowa sterczała z wody i stroiła, takie grymasy, że nie można było powstrzymać się od śmiechu.

Reszta towarzystwa wróciła tymczasem do ogniska. Oczywiście, na początku westmani rozmawiali o tragicomicznej przygodzie Boba. Potem poprosili Długiego Davy'ego, by opowiedział jakieś przeżycie. Opowiedział o pewnym spotkaniu z traperem Juggle-Fredem<sup>[64]</sup>, który słynął z celności strzałów. Davy opisał parę jego sztuczek i dodał.

— Ale istnieją podobni strzelcy. Znam dwóch, których nikt nie zdołał prześcignąć. To Winnetou i Old Shatterhand. Proszę, czy nie zechciałby pan nam opowiedzieć jakiejś przygody?

Te słowa były skierowane do Old Shatterhanda, który przez chwilę się namyślał. Odetchnął głęboko, jak gdyby chciał określić jakiś daleki zapach.

— Tak, ten drab w wodzie jeszcze cuchnie przyzwoicie — zauważył Jemmy.

— O, nie o niego chodzi — odparł Old Shatterhand rzucając badawcze spojrzenie na swego konia, który przestał żuć i wciągał w nozdrza powietrze.

— A więc wywęchał pan coś innego? — zapytał Davy.

— Nie. — I zwracając się szeptem do Winnetou dodał: — Teszi-ini!

To znaczy: "Uważaj!". Ponieważ nikt nie rozumiał narzecza Apaczów, obecni nie wiedzieli co znaczą te słowa. Winnetou skinął głową i sięgnął po strzelbę.

Rumak Old Shatterhanda, parszcząc, zwrócił łeb do ogniska. Oczy mu płonęły.

— Jszhosz-ni! — zawołał Old Shatterhand, po czym szlachetne zwierzę natychmiast położyło się na trawie.

Ponieważ także Old Shatterhand wziął do ręki sztucer, Jemmy zapytał:



— Co się stało, sir? Pański koń, zdaje się, coś wyczuł?

— Zwąchał zapach Murzyna — uspokoił go zapytany.

— Ale obaj złapaliście za broń!

— Ponieważ chcę wam opowiedzieć o strzale biodrowym. Słyszeliście coś o tym?

Old Shatterhand niepostrzeżenie dla innych, a tak samo i Winnetou, badał wzrokiem skraj lasu rozciągającego się na przeciwległym brzegu stawu oraz rozsiane tam głązy. Zsunął kapelusz tak nisko na oczy, że nie sposób było określić w jakim kierunku i na co spogląda. Po chwili rzekł:

— Mówię o wypadku, kiedy się przykłada strzelbę nie jak zwykle, ale do biodra.

— W takim wypadku nie można celować.

— Można, ale jest to bardzo trudne. Znam niejednego wytrawnego westmana, który na ogół nigdy nie pudłuje, ale przy takim strzale zawsze chybia.

— Po cóż więc stosuje się ten strzał biodrowy? Przecież lepiej strzelać zwyczajnie i być pewnym strzału!

— Bynajmniej. Bywają sytuacje, kiedy nie umiając strzelać we wspomniany sposób westman jest z góry skazany na śmierć. Strzela się tak tylko wtedy, kiedy się leży lub siedzi na ziemi i kiedy wróg nie powinien wiedzieć, że się w niego mierzy. Niech pan sobie pomyśli, że w pobliżu znajdują się wrodzy Indianie, którzy zamierzają na nas napaść. Wysłali wywiadowców, aby się dowiedzieć, ilu nas jest, czy miejsce nadaje się do napadu, czy zarządziliśmy środki ostrożności. Wywiadowcy się czołgają....

— I szybko spostrzegają nasze straże! — wtrącił Frank.

— To nie jest tak oczywiste jak pan sądzi. Ja na przykład skradałem się do namiotu Oihka-Petay, chociaż zaciągnął strażę i chociaż teren stanowił gładką równinę. Tu natomiast stoją dokoła drzewa, które umożliwiają szpiegowanie. A więc wywiadowcy przekradli się przez łańcuch posterunków. Leżą na skraju lasu lub pomiędzy chrustem i gałęziami zwalonymi przez wichry i oglądają nas. Jeśli im się uda wrócić do swoich, jesteśmy zgubieni — napadną na nas niepostrzeżenie i zabiją. Najlepiej jest unieszkodliwić wywiadowców.

— A więc zastrzelić?

— Tak. Jestem przeciwnikiem przelewu krwi, gdy można tego uniknąć. Ale w takim razie ma się do wyboru albo nie oszczędzać wroga, albo popełnić świadome samobójstwo. Trzeba więc posłać kule.

— Tkih akan! — Są blisko! — szepnął wódz Apaczów.

— Teszi-szi-tkih — Widzę ich — odparł Old Shatterhand.

— Naki! — Dwóch!

— Ho-oh! — Tak!

— Szi-ntsage, ni-akaya. Tayassi! — Bierz tego, a ja wezmę tamtego. W czoła!

Apacz mówiąc to przesunął rękę z lewej strony do prawej.

— Niech pan powie, co za tajemnice macie z Winnetou? — zapytał Davy.

— Nic szczególnego. Powiedziałem Winnetou w narzeczu Apaczów, aby mi pomógł zademonstrować strzał biodrowy.

— No, znam to już. Mnie się, niestety, nie udaje, choć nieraz już ćwiczyłem. Wracając do pańskiego przykładu zaznaczę, że trzeba widzieć wywiadowców zanim się do nich strzela.

— Naturalnie.

— W ciemnościach nocy, w gęszczy?

— Tak

— Ale przecież nie wysuną się tak, aby ich dostrzeżono!

— Hm, może jednak ich widzę.

— Do piorunów! Słyszałem wprawdzie, że niektórzy westmani potrafią w ciemnościach dojrzeć oczy skradającego się wroga, Tak... Na przykład nasz Gruby Jemmy twierdzi, że posiada ten dar, ale nie miał sposobności tego dowieść.

— Jeżeli tylko o to chodzi, to niebawem może się nadarzyć taka sposobność.

— Bardzo się cieszę. Uważałem to za rzecz niemożliwą.

Shatterhand znów obejrzał skraj lasu, skinął z zadowoleniem głową i odparł:

— Czy nie widział pan w nocy w morzu błyszczących ślepi wilka morskiego?

— Nie.

— Te ślepie są dokładnie widoczne. Rozsiewają fosforyczny blask, chociaż nie w tym samym stopniu. Im wzrok jest bardziej natężony, tym bardziej widoczne są oczy. Gdyby na przykład tu, w zagajniku, znajdował się wywiadowca, który nas podpatruje, ja i Winnetou zauważylibyśmy jego oczy.

— To byłoby nadzwyczajne! — przyznał Davy. — Co powiesz o tym, mój stary Jemmy?

— Myślę, że bynajmniej nie jestem ślepy — odparł Grubas. — Na szczęście nie grozi nam taka wizyta. Żałosna to sytuacja, jeśli trzeba koniecznie użyć strzału biodrowego. Prawda, sir?

— Tak — potwierdził Old Shatterhand. — Spójrz tam, panie Frank! A więc przyjmijmy, że tam znajduje się wrogi wywiadowca, którego oczy błyszczą wśród listowia. Muszę go zabić, inaczej sam zginę. Ale jeśli przyłożę broń do policzka, wróg zobaczy, że zamierzam strzelać i natychmiast się wycofa. Być może skierował lufę na mnie i wypali prędzej niż ja. Muszę temu zapobiec stosując strzał biodrowy. Siedzę przy tym spokojnie i beztrąsko, jak teraz. Chwytam za strzelbę i podnoszę nieco, jak gdybym chciał ją oglądać lub się nią bawić. Opuszczam — tak jak to teraz robię — głowę, niby spoglądam na dół, ale oczy schowane w cieniu kapelusza wbijam w cel właśnie tak, jak to robimy teraz z Winnetou. Prawą ręką przyciska się mocno kolbę do bioder, a lufę do kolan, sięga się lewą ręką na prawo i kładzie ją na zamku strzelby, która dzięki temu zyskuje pewne położenie. Potem przykłada się wskazujący palec prawej ręki do kurka, celuje tak, aby kula trafiła w czoło wywiadowcy, co nie jest rzeczą łatwą i opuszcza się... tak!

Błysnął strzał i w tej samej chwili wypaliła strzelba Apacza. Obaj szybko zerwali się na nogi. Winnetou odrzucił strzelbę, chwycił nóż, skoczył jak pantera przez staw i zniknął w gąszczu.

— Uhwai k'unun! Uhwai pa-ave! Uhwai umpare! — Zgasić ogniska! Nie ruszać się! Nie rozmawiać! — zawołał Old Shatterhand do Szoszonów. Jednocześnie strącił butem płonące polana do rzeki, po czym pomknął za Apaczem.

Szoszoni, a także i biali, zerwali się na równe nogi. Przytomni czerwonoskórzy wojownicy natychmiast wykonali rozkaz Old Shatterhanda i zatopili ogniska. Egipskie ciemności zaległy obóz, choć minęło cztery czy pięć sekund od chwili wystrzałów.

Nakazu milczenia przestrzegali również wszyscy, z wyjątkiem jednego człowieka, mianowicie Murzyna, który siedział w wodzie. Nad jego głową fruwały palące się gałęzie i sycząc gasły w rzece.

— Jezus, Jezus! — wołał. — Kto tu strzelać? Dlaczego rzucać ogień na biednego pana Boba? Czy pan Bob mieć spłonąć i utonąć? Czy mieć być ugotowany jak pstrągi?! Dlaczego być ciemno? O, pan Bob już nikogo nie widzieć!

— Milcz, człowieku! — zawołał Jemmy.

— Dlaczego pan Bob mieć milczeć! Dlaczego nie...

— Milcz, bo cię uderzę! Wrogowie w pobliżu!

Od tej chwili nie było słyhać głosu pana Boba. Siedział nieruchomo w wodzie, aby nie zdradzić swej obecności wrogom.

Dokoła panowała głucha cisza, zakłócana tylko od czasu do czasu uderzeniem kopyta lub parskaniem konia. Zaskoczeni tak nagle wojownicy skupili się gęsto. Indianie nie szepnęli ani słówka, jednak biali porozumiewali się szeptem.

Nagle rozległ się donośny głos Shatterhanda:

— Zapalić ogniska! Ale trzymać się z dala, aby was nie zauważono!

Jemmy i Davy uklękli, aby wykonać rozkaz, po czym natychmiast wycofali się w mroki nocy.

W blasku ognia widać było Winnetou i Old Shatterhanda, którzy wrócili każdy ze strzelbą w rękę i Indianinem na plecach. Wszyscy byli bardzo zaskoczeni tą szybką akcją, chcieli otoczyć wracających, ale Old Shatterhand zatrzymał ich:

— Nie ma czasu na opowiadanie! Przywiążcie zabitych do koni i wyruszamy. Wprawdzie tylko oni dwaj podkradli się do obozu, ale nie wiadomo, ilu jest za nimi. A więc szybko!

Obaj zabici mieli głowy przebite na wylot, zgodnie z poleceniem Winnetou: ”Tayassi! — W czoła!”

Całe towarzystwo składało się z wytrawnych westmanów, a jednak tak celne i pewne strzały wprowadziły ich w zdumienie. Szoszoni zaś szepotali między sobą i rzucali przesądne spojrzenia na obu strzelców.

Przygotowywano się do wymarszu. Zgaszono ogniska. Oddział z Winnetou i Old Shatterhendem na czele wyruszył w drogę.

Nikt nie pytał dokąd, polegano bowiem na obu znakomitych przewodnikach. Dolina tak się szybko zwężyła, że trzeba było jechać gęsiego. Względy bezpieczeństwa nie pozwalały na prowadzenie rozmów, a poza tym jazda gęsiego uniemożliwiała je.

Również Murzyn musiał ruszyć w drogę. Siedział na swym ogierze bez ubrania i musiał jechać na końcu, gdyż zapach złośliwego zwierzątka jeszcze nie wywietrzał. Pocciwy Bob okrył się starą, zatłuszczoną derką santillo<sup>[65]</sup> Długiego Davy’ego, związaną wokół bioder, jak okrycia wyspiarzy z mórz południowych. Był w kiepskim humorze i nieustannie mruczał coś pod nosem.

Kawalkada jeźdźców posuwała się naprzód z ogromną szybkością przez długie godziny, z początku przez wąską dolinę, następnie przez szeroką, łysą wyżynę i znów na dół przez wąską prerię, aż wreszcie, o świcie dotarła do stromego przesmyku pomiędzy wysokimi, zalesionymi górami. U stóp stromej drogi obaj przewodnicy zatrzymali się i zeskoczyli z koni. Pozostali poszli za ich przykładem.

Szoszoni zdjęli z koni martwych czerwonoskórych i położyli ich na ziemi. Indianie otoczyli miejsce rozległym kołem. Wiedzieli, że teraz rozpocznie się bardzo trudne badanie. Tu mogli przemawiać tylko wodzowie. Pozostali musieli czekać, czy zechcą poprosić ich o rady.

Martwi wojownicy byli ubrani na sposób indiański, na poły w wełnę, na poły w skórę. Byli młodzi, mieli nie więcej niż po dwadzieścia lat,

— Tak przypuszczałem — rzekł Old Shatterhand. — Tylko niedoświadczeni wojownicy, gdy podkradają się do nieprzyjacielskiego obozu, otwierają tak szeroko oczy, że widać ich blask. Chytry wywiadowca przymyka oczy. A wtedy nawet takim jak my trudno się spotkać z ich spojrzeniem. Do jakiego plemienia oni mogli należeć?

Pytanie było skierowane do Grubego Jemmy'ego.

— Hm — mruknął Gruby. — Czy uwierzy pan, że wprawia mnie pan w zakłopotanie?

— Wierzę, gdyż i ja sam nie potrafię odpowiedzieć od razu. Znajdują się na szlaku wojennym, to jest pewne, gdyż twarze mają pokryte barwami wojny, jakkolwiek trochę zatartymi. Czarny i czerwony kolor. Jednak nie wyglądają na Siuksów. Ich odzież nie świadczy o ich pochodzeniu. Przeszukajmy kieszenie!

Kieszenie jednak świeciły pustką. Mimo skrupulatnych poszukiwań, nic nie znaleziono. Przy każdym ciele leżała strzelba. Zbadano je. Były nabite, ale nic nie mówiły o przynależności plemiennej zabitych.

— Może wcale nie byli niebezpieczni — rzekł Długi Davy. — Przybyli przypadkowo w te strony, zauważyli nasze ognisko i chcieli się dowiedzieć kogo mają przed sobą.

Old Shatterhand potrząsnął głową i odparł:

— Rozbiliśmy obóz w miejscu, dokąd się nie trafia przypadkowo. Wytropili nasze ślady.

— To nie dowód!

— Nie. Ale na wszelki wypadek pozbyli się wszystkiego, co mogłoby świadczyć o ich pochodzeniu. Byli uzbrojeni w strzelby, ale nie mieli ołowiu ani prochu. Jest to jeszcze bardziej podejrzane, gdyż w ten sposób Indianin nie oddala się od ogniska. Należą do wojska i są wywiadowcami.

— Hm. Może nawet nie mieli koni.

— Czyżby! Niech pan obejrzy te spodnie! Czy nie są wewnątrz wytarte? Z czego powstały te ślady, jeśli nie od jazdy konnej?

— Może są już stare.

Old Shatterhand ukląkł i badał spodnie. Po chwili podniósł się i rzekł:

— Niech pan sprawdzi! Czuje się odór koński; ponieważ taki zapach prędko wietrzeje na powietrzu, więc obaj czerwonoskórzy musieli jeszcze wczoraj dosiadać rumaków.

W tej chwili podszedł Wohkadeh i rzekł:

— Niechaj znakomici mężowie pozwolą Wohkadehowi powiedzieć słówko, mimo że jest młody i niedoświadczony.

— Mów, owszem — rzekł życzliwie Old Shatterhand.

— Wohkadeh wprawdzie nie zna czerwonoskórych wojowników, ale zna koszulę jednego z nich.

Odchylił brzeg koszuli myśliwskiej, pokazał na niej cięcie i wyjaśnił:

— Wohkadeh wyciął swój totem, gdyż koszula miała należeć do niego.

— Ach, to dziwny zbieg okoliczności! Być może dowiemy się czegoś bliższego.

— Wohkadeh nie wie nic bliższego, ale przypuszcza, że ci dwaj młodzi wojownicy należą do plemienia Upsaroków<sup>[66]</sup>.

— Na jakiej podstawie? — zapytał Old Shatterhand.

— Wohkadeh był obecny przy kradzieży dokonanej przez kilku Siuksów Ogallalla. Zjechaliśmy z góry zwanej przez białych Grzbietem Lisa i przeprawiliśmy się przez północny dopływ rzeki Cheyenne, w miejscu, gdzie dopływ przemyka się między Potrójnymi Górami a górami Inyancara. Jadąc między rzeką a górą skęciliśmy za skraj lasu i zobaczyliśmy dziesięciu czy ośmiu czerwonoskórych, którzy się kąpali. Byli to Upsarokowie. Ogallalla na brzegu odbyli krótką naradę. Postanowiono zatem, aby ich jak najbardziej pohańbić.

— Do licha! — krzyknął Old Shatterhand. — Nie zamierzano ich chyba ograbić z największej świętości, z leków<sup>[67]</sup>?

— Mój biały brat odgadł. Siuksowie Ogallalla pod osłoną lasu podkradli się do miejsca, gdzie stały konie Upsaroków. Tam leżała również odzież, broń i leki. Ogallalla zeszli z koni i dokonali kradzieży.

— Czy przy rzeczach nie było strażnika?

— Nie. Upsarokowie nie przypuszczali, że oddział wrogich Ogallalla dotrze do tego miejsca. Siuksowie zrabowali konie, leki, większą część odzieży i broni. Następnie dosiedli rumaków i odjechali galopem. Przy podziale łupów Wohkadeh otrzymał koszulę myśliwską. Jednak nie chcąc zostać złodziejem, wyciął swój totem i w drodze powrotnej pozbył się jej po

kryjomu.

— Kiedy to było?

— Dwa dni przed wysłaniem Wohkadeha na zwiady.

— A więc Upsarokowie czym prędzej zaopatrzyli się w nową broń, konie i odzież i pomknęli w ślad za złodziejami. Tymczasem znaleźli porzuconą koszulę, którą następnie włożył prawowity właściciel. Nie ma większej hańby dla czerwonego wojownika nad utratę świętych leków. Nie może wtedy tak długo pokazać się swoim, dopóki nie odzyska leków lub zdobędzie inne zabijając ich posiadacza. Indianin, który wyrusza, aby odzyskać stracony lek, jest zuchwały do szaleństwa. Wszystko mu jedno kogo zabija, przyjaciela czy wroga. Sądzę więc, że wczoraj wieczorem uniknęliśmy bardzo poważnego niebezpieczeństwa. Co by się stało, kochany panie Jemmy, gdybyśmy musieli polegać na pańskim wzroku?

— Hm — odparł Gruby z zakłopotaniem drapiąc się w głowę. — W takim razie spoczęlibyśmy gdzieś w spokoju, ale bez skalpów i życia. Potrafię również dostrzec oko w mrokach nocy, ale wczoraj byłem tak pewny, że nie ma dokoła wrogiej istoty, że wcale się tym nie zajmowałem. Czy pan myśli, że Upsarokowie są za nami?

— Z pewnością ścigają nas teraz i mają do tego prawo, gdyż zabiliśmy ich dwóch braci.

— A więc dziś wieczorem musimy być przygotowani na napad.

— Musimy się z tym liczyć — odpowiedział Old Shatterhand. — Co myśli o tym mój czerwony brat? Czy Wrony są wrogami Szoszonów?

To pytanie było skierowane do Oihtka-Petay.

— Nie. Są wrogami Siuksów Ogallalla, którzy są także naszymi wrogami. Nie wykopaliśmy przeciwko nim toporu wojny, ale wojownicy poszukujący leków są wrogami wszystkich ludzi. Trzeba się strzec przed nimi jak przed dzikimi zwierzętami. Niech moi biali bracia będą roztropni i poczynią odpowiednie zarządzenia.

Old Shatterhand spojrzał na Winnetou, który dotychczas milczał. Godne podziwu było wzajemne zrozumienie obu przyjaciół. Old Shatterhand nie wyraził swego planu, a jednak Winnetou odgadł jego myśli i rzekł:

— Mój brat słusznie planuje.

— Zakreślić łuk wstecz?

— Tak. Winnetou podziela ten zamiar!

— To mnie cieszy. W takim razie od obrony przechodzimy do natarcia. Jeśli się nie mylę,

to w odległości dwóch godzin drogi znajdziemy miejsce doskonale nadające się do naszych zamierzeń.

— A więc nie traćmy daremnie czasu! — rzekł Davy. — Ale co zrobimy z tymi trupami?

— Skalpy obu Upsaroków należą do Old Shatterhanda i Winnetou, którzy ich zabili — rzekł Oihtka-Petay.

— Jestem chrześcijaninem. Nie skalpuję nikogo — odparł Old Shatterhand.

Winnetou zaś dodał z przeczącym gestem:

— Wódz nie potrzebuje skalpów tych chłopców, aby uświetnić swoje imię. Są dosyć nieszczęśliwi, bo bez leków odeszli do Wiecznych Ostępów. Nie należy zabijać ich dusz skalpowaniem. Niechaj spoczną pod kamieniami wraz z bronią, gdyż polegli jako wojownicy, którzy się odważyli podkraść do obozu wrogów. Howgh!

Przywódca Szoszonów tego się nie spodziewał. Zapytał ze zdumieniem:

— Moi bracia chcą ich pogrzebać? Przecież oni nastawiali na nasze życie?

— Tak rzekł Old Shatterhand. Włożymy im do rąk broń, posadzimy twarzami zwróconymi w kierunku świętych kamieniołomów, a następnie zakryjemy ich głazami. Tak czi się wojowników. Gdy przybędą ich bracia, aby nas ścigać, dowiedzą się, że nie jesteśmy wrogami Upsaroków, ale przyjaciółmi. Okaż się szlachetnym wojownikiem i każ swoim ludziom przynieść kamienie, z których wzniesiemy grobowiec.

Szoszonom nie mogło się pomieścić w głowach podobne postępowanie, ale ponieważ odczuwali wobec obu znakomitych przyjaciół niezwykle podziw, więc nie odważyli się przeciwstawić ich życzeniu.

Obu poległych umieszczono w postawie siedzącej, twarzami na północny wschód, jednego na prawo, a drugiego na lewo od wylotu przesmyku. Włożono im do rąk broń, pod czym przykryto ich głazami. Następnie podjęto dalszą jazdę. Przedtem jednak Winnetou rzekł do Old Shatterhanda:

— Wódz Apaczów zostanie tutaj, aby oczekiwać nadejścia Wron. Niech młody syn niedźwiedziarza dotrzymanym mu towarzystwa.

Było to nie lada wyróżnienie i młodzieniec przyjął je z radosną dumą.

Obaj więc pozostali na miejscu, podczas gdy cały oddział pod wodzą Old Shatterhanda ruszył naprzód.

Za dnia mogli jechać szybciej niż poprzedniej nocy. Przesmyk, prowadząc przeważnie



pod górę, głęboko wcinał się we wzgórze. Po upływie dwóch godzin, a więc ściśle przez Old Shatterhanda oznaczonego czasu, dotarli do wąskiego, wysokiego, niemal pionowo wznoszącego się kanionu. Wszerz przesmyku mieściło się tylko trzech jeźdźców. Nie można było nawet pieszo, a co dopiero konno, wdrapać się na ściany. Dokoła rosły krzewy, wśród których można było się ukryć. Grunt był dosyć skalisty, ślady na nim nie zostawały. Old Shatterhand osadził konia w miejscu i wskazując na kanion rzekł:

— Gdy Upsarokowie przybędą, pozwolimy im wejść do kanionu. Połowa naszego oddziału pod dowództwem Oihtka-Petay i Winnetou schroni się tutaj, ale kiedy oddam strzał, wjedzie za wrogami do kanionu. Druga połowa zatrzyma się ze mną przy wylocie wąwozu. W ten sposób zamkniemy Upsaroków, którzy będą mieli do wyboru albo polec, albo dobrowolnie się poddać.

— Upsarokowie musieliby mieć sieczkę w głowach, gdyby weszli do wąwozu — odezwał się Gruby Jemmy.

— Oczywiście, nie wejdą od razu — rzekł Old Shatterhand. — Zatrzymają się tutaj i złożą radę. Rzecz najważniejsza, aby nie dostrzegli obecności naszych wojowników, którzy muszą się tutaj doskonale ukryć. Mężny Bawół jest mądrym wojownikiem. Wyda słuszne rozkazy. A kiedy przybędzie Winnetou, dowództwo obejmą dwaj ludzie, na których mogę w zupełności polegać.

Należało się spodziewać, że wódz Szoszonów po tym pochlebstwie dołoży wszelkich starań, aby nie zawieść pokładanego w nim zaufania. Oihtka-Petay pozostał z trzydziestoma wojownikami. Natomiast Old Shatterhand wraz z pozostałymi Indianami wszedł do wąwozu. Był on tak krótki, że stojąc u jednego wylotu, widziało się drugi. W miejscu, gdzie wąwóz przechodził znów w szeroki przesmyk, olbrzymie drzewa wyciągały ku niebu swoje konary. Pomiędzy drzewami leżały liczne głazy.

Można było przypuszczać, że Old Shatterhand zatrzyma się właśnie w tym miejscu. A jednak tego nie zrobił. Pojechał dalej i tak rozpląsał konia, że zostawił za sobą wyraźny, rzucający się w oczy ślad.

— Ależ, sir — rzekł Gruby Jemmy — sądziłem, że zatrzymamy się u drugiego wylotu!

— Oczywiście! Ale przejedźmy się jeszcze i postarajmy zostawić wyraźny trop. Właściwie pańskie pytanie kompromituje pana, Mr Jemmy. To co robię, jest dosyć zrozumiale.

Jechał tak jeszcze przez prawie kwadrans. Potem zatrzymał się, odwrócił do towarzyszy i

zapytał:

— No, panowie, czy wiecie dlaczego tak daleko pojechałem?

— Aby zwieść wywiadowców? — odezwał się Jemmy.

— Tak. Wrony nie wejdą do wąwozu zanim się nie przekonają, że jest bezpieczny. Przypuszczam, że wywiadowcy, licząc się z zasadzką, będą bardzo ostrożni. Nie możemy zdradzić swej obecności i pozwolimy im wjechać bez żadnych przeszkód.

— A co zrobimy teraz?

— Teraz wrócimy do wylotu wąwozu, oczywiście nie tą samą drogą. Zboczymy w las. Jedźcie za mną!

Po obu stronach przesmyku wznosiły się skalne ściany. Jedna z nich nadawała się do wspinania. Old Shatterhand jechał na przedzie. Na dosyć znacznej wysokości westman zboczył w kierunku wąwozu. Kiedy się zatrzymał, oddział znajdował się w połowie wysokości skał, równoległe do wylotu wąwozu. Stąd w parę chwil można było dotrzeć do wejścia i obsadzić je.

Jeźdźcy zeskoczyli z siodeł i przywiązali konie do drzew. Sami zaś usiedli na miękkim mchu.

— Czy długo będziemy czekać? — zapytał Jemmy.

— Możemy to obliczyć — odrzekł Old Shatterhand. — Upsarokowie zaczęli szukać obu wywiadowców o świcie. Zanim dowiedzieli się o wszystkim, mogły upłynąć dwie godziny. Dotarłszy do obu grobowców otworzą je i zbadają. Powiedzmy, że zajmie im to godzinę, co razem stanowi trzy godziny. Od obozu do tego miejsca jest pięć godzin drogi. A więc jeśli jadą z tą szybkością co my, to powinni tu być w osiem godzin po świcie. Mamy więc pięć godzin wolnego czasu.

— O, to straszne! Co zrobimy z taką wiecznością?

— Nie powinien pan pytać — odpowiedział Hobble-Frank. — Pomówimy nieco o sztuce i naukach. To kształci rozum, uszlachetnia serce, wyczula sumienie i daje naturalnemu charakterowi moc, która pozwala wytrwać burzę życia, a nie ulegać każdemu wietrzykowi. Nigdy nie zapomnę o sztuce i naukach. Stanowią mój chleb powszedni, mój początek i mój koniec, mój... Co to za podły zapach? Cuchnie bardziej niż padlina! Albo... hm!

Uczony Sas odwrócił się i zobaczył, że o drzewo, pod którym siedział, oparty był Murzyn.

— Uciekaj, ty paskudo! — krzyknął. — Jak możesz opierać się o moje drzewo! Czy

śmiesz przypuszczać, że pożyczylem nos w wypożyczalni masek? Uciekaj, człowieku, do Afryki! Nasze organy powonienia są zbyt czułe dla ciebie. Goździki, rezeda, niezapominajki — owszem, to sobie chwałę. Ale skunksa nie zalecałbym nawet najszlachetniejszej damie.

— Pan Bob pachnieć bardzo, bardzo dobrze! — bronił się Murzyn. — Pan Bob nie cuchnąć. Pan Bob myć się w wodzie sadzą i sadłem niedźwiedzim. Pan Bob być delikatnym, dobrze urodzonym dżentelmenem!

— Co, twierdzisz, że jesteś dobrze i wonnie urodzony?! — Hobble-Frank chwycił strzelbę i wycelował w Murzyna grożąc: — Jeśli natychmiast nie znikniesz, to cię pięciokrotnie postrzelę dwiema kulami!

— Boże, Boże! Nie strzelać, nie strzelać! — krzyczał Murzyn. — Pan Bob szybko odejść. Pan Bob usiąść daleko!

Uciekł czym prędzej i usiadł z daleka, markotny i gniewnie nadąsany. A Jemmy czekał dalej na odpowiedź. Mały Sas wrócił i siadł bez słowa. Wreszcie Old Shatterhand odpowiedział:

— Sądzę, że moglibyśmy pożyteczniejszym użyć nasz czas. Nie spaliśmy poprzedniej nocy. Połóżcie się i spróbujcie uciąć sobie drzemkę. Ja będę czuwał.

— Pan? Dlaczego akurat pan? Przecież nie więcej niż my spoczywał pan w objęciach Orfeusza.

— Mówi się "Morfeusza" — poprawił Jemmy.

— Znowu zaczyna pan swoje! Dlaczego nikt inny mnie nie poprawia, tylko zawsze pan! Czego się pan wysuwa ze swoim Morfeuszem! Wiem dokładnie jak to się nazywa. Byłem członkiem bractwa śpiewaczego o nazwie "Orfeusz". Gdy bractwo zaczynało się drzeć, można było się dobrze przespać. Takie bractwo śpiewaków jest cudownym środkiem na sen i dlatego nazywa się Orfeusz.

— Dobrze, skończmy z tym! — rzekł ze śmiechem Gruby, wyciągając się na mchu. — Wolę spać niż gryźć z panem takie uczone orzechy.

— Do tego brak panu włosów na zębach. Kto się nie uczył, ten nie może wiedzieć o niczym. A więc niech pan sobie śpi! Historia powszechna nic na tym nie traci.

Ponieważ nie znalazł nikogo, komu mógłby dalej udowodniać zalety swojego ducha, więc w końcu położył się i usiłował zasnąć.

Również Szoszoni poszli za radą Old Shatterhanda i ułożyli się do snu. Cisza ogarnęła obozowisko.

Old Shatterhand zszedł na dół i zajrzał do kanionu. Uśmiechnął się z zadowoleniem, gdyż nie było śladu po Mężnym Bawole i jego ludziach. Wódz Szoszonów starannie zastosował się do poleceń Old Shatterhanda. Westman wrócił i usiadł na kamieniu u wylotu wąwozu. Siedział tak nieruchomo przez parę godzin z opuszczoną na piersi głową. O czym myślał znakomity myśliwy? Być może przemknęły przed jego oczami dni ruchliwego życia jak barwna, ciekawa panorama.

Wreszcie tętent konia zakłócił ciszę. Old Shatterhand zerwał się i podkraść do krawędzi skały. Nadjeżdżał Marcin Baumann.

— Czy Winnetou również tu jedzie? — zapytał Shatterhand chłopca.

— Nie. Oihka-Petay zatrzymał go okrzykiem. Winnetou został tam zgodnie z pańskim życzeniem. Ja także mam do nich wrócić.

— Doskonale. Apacz darzy cię szczególnymi względami, mój młody przyjacielu. Widział pan Upsaroków? Ilu ich jest?

— Szesnastu, koni zaś o dwa więcej. Zapewne należą do zastrzelonych młodzieńców. Oddział wyprzedza dwóch czerwonoskórych — to wywiadowcy. Widać, że dążą naszym śladem.

— Dobrze. Wkrótce poznają tych, którzy te ślady zostawili.

— Ukryliśmy się za drzewami i pozwoliliśmy Wronom podjechać. Potem pomknęliśmy galopem, aby mieć ich na oku. Zauważyłem, że mają w swoim gronie szczególnie ogromnego wojownika. Jest to zapewne przywódca, gdyż jechał na czele.

— Czy przyjrzelście się uzbrojeniu?

— Mają broń wszelkiego rodzaju.

— Dobrze! Teraz wyślę pana z poselstwem do Winnetou. W kanionie mogą się przecież zmieścić tylko trzy wierzchowce, proszę zatem Apacza, aby nie posługiwał się końmi. Gdy wrogowie zamkną się w wąwozie, podążycie za nimi pieszo.

— Ale czy w takim razie nie będą mieli nad nami przewagi? Mogą nas łatwo stratować.

— Nie. Podczas gdy Upsarokowie mogą postawić w rzędzie tylko trzech jeźdźców, my możemy wystawić pięciu ludzi. Powitamy ich w sposób następujący: pięciu pieszych usiądzie, drugi rząd uklęknie za nimi. Za nim stanie trzeci w pochylonej postawie i wreszcie czwarty w wyprostowanej. Dzięki temu dwudziestu ludzi może celować nie przeszkadzając sobie wzajemnie. Jeśli Upsarokowie nie zechcą się poddać, przebijemy ich z przodu i z tyłu czterdziestoma kulami, oczywiście nie na raz. Każdy rząd musi strzelać osobno, jeden po drugim,

gdyż każda salwa może trafić tylko trzech wrogów. Należy się także przygotować do zastrzelenia rumaków bez jeźdźców, gdyż mogą nam złamać szyki. Powiedz to Apaczowi. Dodaj, że ja sam pragnę układać się z wrogami. Jak sądzi Winnetou, kiedy Wrony przyjadą tutaj?

— Przypuszcza, że godzinę spędzą przy grobowcach.

— Słusznie.

— A od grobowców do wąwozu są dwie godziny drogi. Ponieważ tę drogę przebyliśmy w półtorej godziny, należy sądzić, że za godzinę jeszcze ich nie będzie.

— Słusznie. Ale musimy być w pogotowiu. Niech pan wraca do Winnetou!

Marcin zawrócił rumaka i pojechał. Old Shatterhand natomiast powrócił do towarzyszy i zaczął ich budzić. Zakomunikował swój plan i do pierwszego rzędu wyznaczył Długiego Davy'ego, Grubego Jemmy'ego, Franka, Wohkadeha i jednego z Szoszonów. Wyznaczył również stanowiska pozostałym i zszedł na dół, aby przerobić z nimi odpowiednie ćwiczenie. Chodziło o to, żeby dokonać napadu błyskawicznie i zgranym zespołem. Sam Shatterhand zamierzał stanąć przed pierwszym szeregiem, aby układać się z wrogami. W tym celu zerwał też kilka długich zielonych gałązek, co na całym świecie, nawet u najdzikszych plemion, jest uznawane za znak parlamentariuszy.

Po kilku powtórzeniach towarzysze zgrali się wyśmienicie. Old Shatterhand, przekonany, że oddział podoła zadaniu, schronił się z nim do kryjówki. Czas oczekiwania dłużył się jeszcze bardziej niż poprzednio. Jednak w końcu usłyszeli tętent koni.

— Zdaje się, że pchnięto tylko jednego wywiadowcę na zbadanie wąwozu — rzekł Jemmy.

— To byłoby nam na rękę — odparł Shatterhand. — Gdyby nadszedło dwóch, tylko jeden powinien wrócić do swoich, drugi natomiast pozostałby na miejscu. Musielibyśmy go niepostrzeżenie unieszkodliwić.

Jemmy miał słuszość. Tylko jeden jeździec wyjechał z kanionu i zatrzymał się, aby dokładnie zbadać okolicę. Nie dojrzał wroga, natomiast wyraźnie widział ślad starannie wydeptany przez Old Shatterhanda i jego towarzyszy. Nie poprzestał na tym, pojechał dalej, na znaczną dosyć odległość.

— Do pioruna!... — zaklął Jemmy. — Nie dojedzie chyba do miejsca, gdzie zawróciliśmy. Może odkryć naszą obecność.

— W tym wypadku nie wróci do swoich — oznajmił Old Shatterhand.

— Jak uniknie pan szmeru?

— Dzięki tej oto broni — odparł Shatterhand wskazując na lasso.

— Pętla musiałaby trafić dokładnie na szyję i ścisnąć ją, aby nie mógł krzyknąć. Zadanie piekielnie trudne. Czy zdoła pan tego dokonać, sir?

— Niech pan się nie martwi. Proszę wyciągnąć dziesięć palców i powiedzieć, który mam schwytać lassem, a przekona się pan, że zrobię to. Stąd, z góry, nie widać, jak daleko pojedzie. Muszę zejść na dół. Zachowujcie się cicho, ale gdy usłyszycie lekkie gwizdnięcie, pośpieszcie za mną.

Zszedł na dół trzymając lasso w pogotowiu. Na dole, ku swej radości zobaczył, że Upsaroka zawrócił. Shatterhand ledwie zdążył się ukryć za wielkim głazem. Jeździec pomknął galopem i znikł za krawędzią wąskiego kanionu.

Old Shatterhand gwizdnął i towarzysze zeszli ze skały. Przynieśli jego dwie strzelby oraz zielone gałązki, które zostawił na górze. Podszedł do krawędzi i wyjrzał ostrożnie. Wywiadowca dotarł do końca wąwozu i znikł. Po minucie cały oddział Upsaroków wjechał do wąwozu. Old Shatterhand wkroczył również, wyciągnął rewolwer i dał umówiony znak. Dźwięk odbił się od pobliskich stromych skał i z dziesięciokrotną siłą rozległ się w uszach Apacza i jego towarzyszy. Wpadli do wąwozu za wojownikami Upsaroków, którzy ich nie zauważyli, chociaż w momencie kiedy usłyszeli strzał, ściągnęli cugle. Ujrzeni Old Shatterhanda i jego ludzi ustawionych w szyku bojowym.

Przywódca Indian był rzeczywiście, jak zaznaczył Marcin Baumann, herkulesowej postaci. Siedział na koniu niby bóg wojny. Wzdłuż szwów skórzanych spodni wisiały gęste frędzle z włosów pokonanych wrogów. Skórzane sztylpy sięgające od siodła niemal do strzemion, były ozdobione pasmami ludzkiej skóry. Na myśliwskiej koszuli z jeleniej skóry nosił rodzaj pancerza z nakładanych na siebie skrawków skalpów w kształcie łusek. Za pasem, poza innymi rzeczami, tkwił wielki nóż myśliwski oraz olbrzymi tomahawk, który mogła utrzymać tylko dłoń tak atletycznie zbudowanego człowieka. Głowę okrywała skóra kuguara, z której zwisała sierść skręcona w długie, grube powrozy. Twarz Indianina była pomalowana na czarno, czerwono i żółto. W prawej ręce trzymał ciężką strzelbę, którą na pewno zgładził już niejednego wroga.

Indianin zorientował się bardzo szybko, że skierowane w niego lufy mają przewagę nad strzelbami jego wojowników.

— Cofnąć się! — zawołał głosem, który huknął w kanionie jak wybuch granatu.

Gwałtownie zawrócił rumaka. To samo uczynili jego wojownicy. Ale teraz ujrzeli przed sobą oddział Winnetou z najeżonymi lufami.

— Wakon szitsza! — Złe leki! — zawołał przerażony.

— Zawróćcie! Tam stoi człowiek, który trzyma w ręku znak mówcy. Niech nasze uszy usłyszą, co pragnie powiedzieć.

Zawrócił ponownie konia i zwrócił się powoli do Old Shatterhanda. To samo zrobił jego oddział. Przewrotny Apacz skorzystał z tego, pośpieszył za Wronami i zamknął ich w jeszcze ciaśniejszym kole.

Old Shatterhand stał nieruchomo. Upsaroka obrzucił go nieustraszonym spojrzeniem i zapytał:

— Czego chce biała twarz? Dlaczego staje mi na drodze?

Old Shatterhand wytrzymał spojrzenie Indianina i odparł:

— Czego chce tutaj czerwonoskóry? Czemu ściga mnie i moich wojowników?

— Ponieważ zabiliście dwóch moich braci.

— Przyszli do nas jako wrogowie, a wrogów zazwyczaj się unieszkodliwia.

— Skąd wiesz, że jesteśmy wrogami?

— Bo zgubiliście swoje leki.

Indianin spuścił oczy.

— Kto ci o tym powiedział? — zapytał.

— Wiem, ponieważ obaj wojownicy, których zastrzeliliśmy, nie mieli przy sobie leków.

— Słusznie odgadłeś! Nie jestem już tym, kim byłem. Wraz z lekiem straciłem swoje imię. Teraz nazywam się Oiht-e-keh-fa-wakon<sup>[68]</sup>. Przepuście nas, bo was zabijemy!

— Poddajcie się, bo zginiecie! Spójrz przed siebie i do tyłu. Na moje skinienie więcej niż pięć razy po dziesięć kul ugodzi w twój oddział.

— Wiele cuchnących kojotów zabija najsilniejszego bawołu. Cóż stanowiłyby twoje psy wobec moich wojowników, gdybyście nas nie otoczyli? Ja sam rozgromiłbym połowę waszego wojska.

Mówiąc to wyciągnął swój ciężki tomahawk i zakołysał nim.

— A ja sam wysłałbym cały twój oddział do Wiecznych Ostępów — rzekł spokojnie Old Shatterhand.

— Czy twoje imię nie jest Ithanka, Samochwał?

— Nie walczę imieniem, lecz ręką.

Oczy Upsaroka rozbłysły.

— Czy chciałbyś to udowodnić?

— Nie boję się ciebie. Kpię z twoich pustych przechwałek.

— A więc poczekaj aż się naradzę z moimi wojownikami! Wtedy dowiesz się czy Oiht-keh-fa-wakon mówi tylko, czy też działa!

Naradził się z kilkoma wojownikami, po czym ponownie zwrócił się do Old Shatterhanda:

— Czy wiesz, co to muh-mohwa?

— Wiem.

— Dobrze! Potrzebujemy skalpów i leków. Czterech mężów będzie walczyć w muh-mohwa, ty ze mną, a jeden z twoich Indian z jednym z moich wojowników. Jeśli my zwyciężymy, zabijemy i oskalpujemy was wszystkich, a jeśli wy zwyciężycie, zabierzecie nasze skalpy i życie. Czy masz dosyć odwagi?

W tym pytaniu kryło się szyderstwo. Old Shatterhand odpowiedział z uśmiechem:

— Jestem gotów! Na dowód zgody połóż swoją rękę na mojej. Wyciągnął rękę. Olbrzym, zaskoczony jego propozycją, ociągał się przez chwilę.

Muh-mohwa znaczy w narzeczu Utahów "ręka u drzewa". Niektóre plemiona używają tej walki jako rodzaju sądu Bożego. Mocnymi rzemieniami przywiązuje się obu wojowników jedną ręką do drzewa, a w wolne ręce daje umówioną broń — tomahawk lub nóż. Rzemienie są tak przymocowane, że pozwalają walczącym obracać się wokół pnia. Ponieważ stawia się ich twarzą w twarz, jednemu wiąże się lewą a drugiemu prawą rękę. A zatem ten, który wolną ma prawą rękę, uzyskuje nad przeciwnikiem znaczną przewagę. W zasadzie ta naprawdę straszliwa walka kończy się ze śmiercią jednego z przeciwników.

Bezimienny opanował się i podał białemu rękę mówiąc:

— Zgadzam się! Przyrzekamy sobie nawzajem: strona zwyciężona powinna bez wahania poddać się śmierci. Jeśli zaś z każdej strony zwycięży jeden, wtedy rozstrzygnie walka zwycięzców.

Old Shatterhand przejrzał jego zamiary: sądząc z wielkości, wódz zwyciężyłby nie tylko swego bezpośredniego przeciwnika, ale także i następnego. Mimo to rzekł:



— Zgoda! Abyś nie miał wątpliwości, wypalimy fajkę przysięgi.

Mówiąc to wskazał na fajkę pokoju, która wisiała na jego szyi.

— Tak, wypalimy ją! — powiedział olbrzym uśmiechając się szyderczo. — Lecz ta fajka przysięgi nie będzie fajką pokoju, ponieważ będziemy walczyć, po walce zaś wasze skalpy przyozdobią nasze oszczepy, a wasze ciała rzucimy sępom.

— Przedtem przekonamy się, czy twoje pięści są równie silne i odważne jak twoje słowa — wtrącił Old Shatterhand.

— Oiht-e-keh-fa-wakon jeszcze nigdy nie został pokonany! — odparł dumnie Upsaroka.

— A jednak pozwolił sobie zabrać leki. Jeśli jego oczy nie będą dzisiaj bystrzejsze, to mój skalp z pewnością pozostanie na mojej głowie.

Było to ostre upomnienie. Czerwonoskóry chwycił za broń, ale Old Shatterhand potrząsnął głową i ostrzegł go:

— Zostaw broń w spokoju! Wkrótce będziesz mógł okazać swoją odwagę. Teraz opuścimy to miejsce, aby wyszukać inne, bardziej odpowiednie do muh-mohwa. Moi bracia przyprowadzą swoje konie. Upsarokowie zaś jako jeńcy pojedą między nimi.

Skinął na Winnetou, który po chwili udał się ze swoim oddziałem po konie. Po ich powrocie sprowadził konie drugi oddział. W ten sposób Upsarokowie byli stale pod nadzorem i nie mieli sposobności do ucieczki. Niebawem wyruszono.

Old Shatterhand zakazał swoim wymieniać imienia jego lub Winnetou. Upsarokowie nie powinni dowiedzieć się zbyt wcześnie, z kim mają walczyć. Dopóki byli pewni zwycięstwa, nie zamierzali dopuścić do wykroczeń.

Gruby Jemmy jechał obok Old Shatterhanda. Wcale nie zgadzał się z jego postępowaniem.

— Niech mi pan nie bierze za złe, że mam pewne zastrzeżenia — rzekł wreszcie. — Postąpił pan wobec tych drabów jak przyzwoity człowiek, ale taka przyzwoitość nie jest tutaj na właściwym miejscu.

— Dlaczego? Czy sądzi pan, że Indianin nie pozna się na szlachetnym postępowaniu? Znałem wielu czerwonoskórych, którzy mogliby być wzorem dla białych.

— Być może. Ale nie należy ufać zbyt tym Upsarokom. Pragną za wszelką cenę zdobyć nowe leki — nie cofną się przed niczym. Mieliśmy ich już tak doskonale w rękach. Nie mogli się ani cofnąć, ani iść naprzód. Łatwo było ich zgasić jak się gasi kilka nędznych szczap.

Teraz natomiast jest pan zmuszony do piekielnej muh-mohwa, a kto pana zapewni, że ten olbrzym nie powali pana i nie zakłuje?!

— Ech! Dotychczas nigdy nie łaknął pan krwi. Hańbą byłoby zastrzelić ich, jeśli mieliśmy nad nimi taką przewagę i gdy zwabiliśmy ich w pułapkę, w której nie mogli się ani bronić, ani nawet ruszać. Nie wspominam już o tym, że jesteśmy chrześcijanami, a nie poganami.

— Hm, co tu wiele mówić, ma pan słuszość jako chrześcijanin i jako człowiek w ogóle. Ale czy musielibyśmy ich od razu zabić? Byli zmuszeni się poddać, mogliśmy więc uniknąć rozlewu krwi.

— Nie poddałoby się właśnie dlatego, że szukają nowych leków. Nie uniknęlibyśmy walki. A ponieważ ani mi się śniło zabijać ludzi mających takie samo prawo do życia jak ja, więc wolałem zgodzić się na propozycję olbrzyma, którego zresztą znam.

— Jak to? Zna pan tego kolosa?

— Tak. Może przypomina pan sobie moje słowa, kiedy mijaliśmy Górę Żółwia? Powiedziałem wtedy, że przed laty obozowałem tam wraz z wojownikiem Upsaroków, Szunka-Szetsza. Naopowiadał mi wtedy wiele o swoich współplemieńcach. Z wielką dumą wspomniął o swoim znakomitym bracie, Kanteh-Pehta, Ogniste Serce.

— Czy miał na myśli wielkiego, znakomitego męża leków Upsaroków?

— Właśnie tego. Opowiedział mi o czynach brata i opisał jego wygląd, zwracając uwagę na ogromny wzrost i atletyczną budowę olbrzyma oraz brak lewego ucha. W pierwszej zbrojnej rozprawie z Siuksami Ogallalla cios tomahawka ugodził go w ucho i ramię. Niech pan obejrzy dokładnie tego gigantycznego Upsaroka. Brak mu lewego ucha, a pozycja, w jakiej trzyma lewe ramię wskazuje, że zostało ono kiedyś zranione.

— Do licha! To byłoby osobliwe spotkanie. Ale w takim razie boję się o pana, sir! Jest pan wprawdzie najdzielniejszym mężczyzną jakiego tylko można sobie wyobrazić, ale Kanteh-Pehta był dotychczas niezwyciężony. Siły fizycznej ma na pewno więcej niż pan, chociaż przypuszczam, że jest pan zręczniejszy od niego. Jednak kiedy jest się przywiązany jedną ręką do drzewa, nie zręczność decyduje, tylko siła.

— No — uśmiechnął się Old Shatterhand. — Jeśli pan się tak o mnie lęka, istnieje niezawodny środek, aby ocalić mnie od śmierci.

— Jakież to środki?

— Pan podejmie zamiast mnie walkę z Upsarokiem.

— Och! Ani myślę! Nie mam zbyt przeczulonych nerwów, ale nie lubię się rzucać dobrowolnie w objęcia Śmierci. Poza tym to pan nawarzył tego piwa, więc niech pan je sam wypije! Życzę panu z całego serca zdrowego napoju.

Zwolnił biegu konia, aby uniknąć ponownej propozycji tego rodzaju. Na jego miejsce zbliżył się do Old Shatterhanda Winnetou.

— Mój biały brat poznał Kanteh-Pehta, męża leków Upsaroków? — zapytał Apacz.

— Tak — odparł zapytany. — Oczy mego czerwonego brata były równie bystre jak moje.

— Upsaroka ma tylko jedno ucho. Winnetou jeszcze nigdy nie widział jego twarzy, lecz Odważny Poszukiwacz Leku nie oszuka Winnetou. Słyszałem, o czym mój brat z nim rozmawiał i jestem gotów do walki.

— Liczyłem bezwzględnie na pomoc wodza Apaczów, gdyż nikomu innemu nie zaufałbym w takiej rozprawie.

W odległości mili angielskiej od kanionu, dolina znacznie się rozszerzała. Jeźdźcy dotarli do małej, zamkniętej górą prerii, jakich wiele jest w tamtych stronach. Rosły tu odosobnione krzewy i rzadka trawa. Widać było tylko jedno drzewo, dosyć wysoką lipę o wielkich, owłosionych białymi włosami liściach, które Indianie w narzeczu sonoryjskim nazywają muh-manga-tusahga, tzn. drzewo o białych liściach.

— Mawa! — Tam! — rzekł wódz Wron wskazując na drzewo.

— Howgh! — skinął Winnetou skierowując rumaka do lipy. Oddział dojechał do miejsca, gdzie miała się odbyć rozprawa. Jeźdźcy zeskoczyli z siodła i puścili konie wolno. Wszyscy siedli na trawie. Trudno było uwierzyć, że za chwilę ma się rozegrać walka na śmierć i życie. Dwa wrogie szczepy zgodnie przebywały w jednym kręgu. Upsarokom bowiem zostawiono broń.

Westman dobył nieco tytoniu z torebki, zdjął fajkę z szyi i napełnił ją. Potem stanął w środku koła i oznajmił:

— Wojownik nie mówi wiele, lecz wypowiada się czynami. Nie zabiliśmy wojowników Upsaroka, chociaż byli w naszych rękach. Zażądali od nas muh-mohwa — zgodziliśmy się na to. Spodziewamy się, że nie użyjecie podstępów i zdrady, tak jak i my jej nie użyliśmy. Przrzeknięcie to nam wypalając z nami fajkę przysięgi. Howgh!

Usiadł. Odważny Poszukiwacz Leku podniósł się i rzekł:

— Biały mąż wypowiedział nasze myśli. Nie zamyśliłyśmy podstępów, ponieważ i tak zwyciężymy. Lecz zapomniał ustalić warunki walki. Każdy zapaśnik — dodał po krótkiej

przerwie — zostanie jedną ręką przywiązany do drzewa. Do drugiej zaś ręki dostanie nóż. Kto upadnie, ten jest zwyciężony — żywy czy martwy. Kto tylko padnie na kolana, ten może się podnieść. Będą walczyć czterej mężowie z obnażonymi piersiami, ja z tym białym, a jeden z moich wojowników z jednym z waszych czerwonoskórych. Jeśli zwyciężą mężowie z różnych obozów, wtedy obaj będą walczyć ze sobą. Własność i życie zwyciężonego obozu należą do zwycięskiego. Nikomu nie wolno się bronić. Upsarokowie są gotowi wypalić fajkę przysięgi jedynie pod tymi warunkami. Howgh!

Usiadł. Old Shatterhand ponownie wyszedł do środka i oświadczył:

— Przystajemy na wszystkie warunki Upsaroków. Zapalę teraz fajkę pokoju. Będzie dzisiaj duszą fajki przysięgi i na jej dymie wzniosą się dusze zwyciężonych ku Wiecznym Ostępom, aby później służyć jako niewolnicy zwycięzcom.

— Tak, tak! — rozległo się w kole.

Old Shatterhand wyciągnął swoją hubkę i zapalił fajkę. Następnie puścił dym ku niebu, ku ziemi i na cztery strony świata, po czym oddał kalumet przywódcy Upsaroków, który pociągnął z niego sześć razy i oświadczył, że układ jest zaprzysiężony i przypieczętowany. Następnie fajka zaczęła przechodzić od jednego do drugiego i wreszcie wsadzono ją ustnikiem w ziemię, a dokoła złożono broń. Na straży postawiono jednego Szoszona i jednego Upsaroka.

Teraz Bezimienny, pewny zwycięstwa, podszedł do drzewa, zrzucił z siebie odzież i rzekł:

— Możemy zaczynać! Zanim słońce posunie się o szerokość noża, skalp tego białego psa zawiśnie u mojego pasa.

Dopiero teraz można było dokładnie zobaczyć, jak wspaniale zbudowany jest ten Indianin. Wszystkie mięśnie grały mu pod skórą.

Skinął na jednego ze swoich wojowników, który zaraz wystąpił, obnażył klatkę piersiową i rzekł:

Tu oto stoi Makin-oh-punkreh — Stokrotny Grzmot. Sporządził swoją tarczę ze skór wrogów i posiadał przeszło czterdzieści skali. Kto się ośmieli podejść pod jego nóż?

— Ja, Wohkadeh, nakażę milczeć Stokrotnemu Grzmotowi. Nie mogę się jeszcze poszczycić żadnym skalpem, ale zabiłem białego bawołu i dziś ozdobię swój pas pierwszym włosiem skalpowym. Kto się lęka Grzmotu? Jest to tchórzliwy służka błyskawicy i podnosi głos wtedy, gdy niebezpieczeństwo już minęło.

— Uff, Uff! — zawołano dokoła, kiedy wystąpił młodzieniec i wygłosił swoje przemówienie.

— Wróć! — szydził Stokrotny Grzmot. — Nie walczę z dziećmi. Tchnienie moich ust cię zabije. Połóż się na trawie i marz o swojej matce, która jeszcze powinna cię karmić kammasem.

Powszechnie pogardzani Indianie Grobowi na pustkowiach, gdzie wiodą godny politowania żywot, szukają na pół zgniłych cebulkowatych korzeni i przyrządzają z nich wstrętne ciasto zwane "kammas", którym gardzą nawet psy indiańskie.

Zanim Wohkadeh zdążył odpowiedzieć na szyderstwo, wystąpił Winnetou. Skinieniem głowy kazał się cofnąć młodemu Indianinowi, co też Wohkadeh natychmiast uczynił, i rzekł:

— Na zgiełk Makin-oh-punkreh zgłosił się młodzieniec, który łatwo poskromiłby gębacza, ale jeszcze poprzednio postanowiono, abym ja stłumił burczenie grzmotu.

Stokrotny Grzmot odezwał się gniewnie:

— Kim jesteś, że mówisz takie słowa? Czy posiadasz imię? Na twojej szacie nie widzę ani jednego włoska. Jeśli uczono cię grać na dżotunka<sup>[69]</sup>, to idź precz i zagraj sobie, ale nie tobie trzymać nóż w ręce! Sam siebie poranisz!

— Swoje imię wymienię twojej duszy, kiedy uleci z ciała. Wtedy będzie lamentować z przerażenia i nie odważy się wejść do Wiecznych Ostępów. Zamieszka w przepaściach, aby z trwogi wyć z wiatrami i żalić się z wichrem.

— Psie! — huknął Grzmot. — Śmiesz urągać duszy odważnego wojownika?! Natychmiast poniesiesz karę. Będziemy walczyć jako pierwsza para i twój skalp zawisnie przy moich trofeach. Ciebie rzucę szczurom na pożarcie, a twoje imię, którego nie chcesz wymienić, nie dotrze do uszu żadnego wojownika!

— Tak, my pierwsi staniemy do walki. Można zaczynać! — odparł chłodno Winnetou.

Obaj rozebrali się i wzięli noże. Utworzono rozległe koło pod lipą. Oczy wszystkich badały z uwagą ciała zawodników. Stokrotny Grzmot nie był wyższy od Winnetou, ale o wiele szerzej i mocniej zbudowany, co Upsarokowie z zadowoleniem stwierdzili. Nie podejrzewali przecież, że mają przed sobą słynnego wodza Apaczów.

Po chwili podszedł Gruby Jemmy. W ręce trzymał kilka rzemieni i rzekł do Winnetou:

— A zatem pan ma pierwszy występ, mój drogi. Będzie to dobrym znakiem, jeśli przyjaciel przywiąże pana do drzewa. Najpierw jednak niech wszyscy się przekonają, że oba rzemienie są jednakowej wytrzymałości.

Rzemienie szły z rąk do rąk. Zbadano je dokładnie. Teraz trzeba było postanowić, który będzie przywiązany prawą, a który lewą ręką. Losy stanowiły dwa różnej długości źdźbła trawy. Winnetou wyciągnął krótszą trawkę, był więc w gorszym położeniu niż przeciwnik, gdyż wolną miał lewą dłoń, a więc mniej wyćwiczoną. Upsarokowie powitali tę sprzyjającą im okoliczność wesołymi "Uh, ah! — Bardzo dobrze, bardzo dobrze!"

Zaciągnięto pętle z rzemieni na ręce walczących i przywiązano ich dosyć luźno do drzewa, aby mogli się obracać dokoła pnia. Zdarza się czasami w muh-mohwie, że walczący ścigają się dokoła drzewa przez całe kwadransy zanim następuje pierwszy cios. Ale gdy raz poleje się krew, nacierają na siebie z taką gorączkową wściekłością, że walka szybko dobiega końca.

Stali teraz gotowi do walki, jeden z tej, drugi z przeciwnej strony drzewa.

Kulawy Frank przystanął jako widz obok Grubego Jemmy'ego.

— Niech pan posłucha, panie Pfefferkorn — rzekł — to taka rozprawa, że aż ciarki przechodzą po ciele! Nie tylko oni dwaj ryzykują głowami, ale chodzi także o naszą skórę. W tej chwili mam pod swoim skalpem uczucie, jak gdyby ciągnięto mi włosy w górę. Właściwie bardzo pięknie dziękuję za przyrzeczenie, że cierpliwie pójdziemy pod nóż, jeśli nasi mistrzowie będą pokonani.

— No tak! — odparł Jemmy. — Mnie także nie jest wesoło na duszy, ale sądzę, że możemy polegać na Shatterhandzie i Winnetou.

— Zdaje się, gdyż Apacz ma tak spokojną twarz, jak gdyby trzymane w ręce narzędzie walki było kwiatkiem. Cicho! Stokrotny Grzmot zaczyna mówić.

Upsaroka dostał właśnie nóż do ręki.

— Szihseh! — Chodź tu! — zawołał do Winnetou. — A może mam cię ścigać dokoła drzewa aż padniesz trupem ze strachu, nietknięty nawet moim nożem?

Winnetou nie odpowiedział. Zwrócił się do Old Shatterhanda i rzekł w języku Apaczów, którego przeciwnicy nie rozumieli:

— Szi din ida sesteh! — Sparalizuję mu rękę!

Old Shatterhand oznajmił głośno wskazując na Winnetou:

— Nasz wielki brat zamknął swoje serce przed myślą o zabójstwie. Pokona swego wroga nie pozbawiając go ani kropli krwi.

— Uff, uff, uff! — krzyknęli Upsarokowie.

Jednak Stokrotny Grzmot zaczął urągać:

— Ten wasz brat oszalał z trwogi. Skróćmy mu cierpienia!

Wysunął się o krok, tak, że drzewo przestało ich dzielić. Trzymając mocno nóż w ręce drapieżnym okiem zmierzył swego przeciwnika. Lecz twarz Apacza pozostała nieruchoma, a postawa jakby skamieniała.

Upsaroka złapał się na haczyk. Znienacka skoczył ku Apaczowi i podniósł rękę do śmiertelnego ciosu. Ale zamiast się cofnąć Apacz dopadł go błyskawicznie. Gwałtownym ciosem podbił pięść wroga, w której trzymał nóż. Ten odważny, silny i udany chwyt miał taki skutek, że Upsaroka cofnął się i wypuścił z ręki nóż. Jeszcze jeden chwyt Apacza, który odrzucił swój własny nóż, krzyk czerwonoskórego i Winnetou, zwichnąwszy mu rękę, wymierzył silne uderzenie w głowę. Upsaroka przewrócił się na plecy wisząc u drzewa za jedną, przywiązaną rękę.

Leżał przez chwilę nieruchomo i to wystarczyło Winnetou. Podniósł swój nóż, oderwał się od drzewa i ukląkł przy przeciwniku. Było to dziełem chwili.

— Czy jesteś pokonany? — zapytał.

Zapaśnik nie odpowiedział. Dyszał ciężko, sapał zarówno pod wpływem ciosu, jak wściekłości i strachu.

Scena rozegrała się z tak błyskawiczną szybkością, że trudno było dostrzec kolejność ruchów Apacza. Zapanowała głęboka cisza. Kiedy mały Sas zamierzał ją przerwać radosnym ”hurra!”, Old Shatterhand nakazał milczenie tak władczym ruchem, że pocziwiec urwał na pierwszej sylabie.

— Dobjij! — zgrzytnął Upsaroka i obrzucił twarz Apacza nienawistnym spojrzeniem i przymknął powieki.

Lecz Winnetou podniósł się, przeciął rzemienie zwyciężonego i rzekł.

— Podnieś się! Przyrzekłem nie zabijać ciebie i dotrzymam słowa.

— Wolę nie żyć. Jestem pokonany...

Oiht-e-keh-fa-wakon podszedł do niego i rozkazał gniewnie:

— Podnieś się! Daruję ci życie, ponieważ twój skalp nie ma żadnej wartości dla zwycięzcy. Zachowałeś się jak chłopak. Ale jeszcze ja tu stoję, aby za nas walczyć. Zwycięzę po dwakroć i podczas gdy my będziemy się dzielili skalpami wrogów, ty odejdziesz do wilków prerii, aby żyć pomiędzy nimi. Zabraniam ci powrotu do wigwamu!

Stokrotny Grzmot podniósł się i chwycił za nóż.

— Wielki Duch nie życzył sobie mojego zwycięstwa — rzekł. — Nie pójdę do wilków. Tu oto trzymam swój nóż, aby skończyć z życiem, którego nie chcę przyjąć w darze. Lecz przedtem pragnę się przekonać, czy lepiej ode mnie potrafisz zwyciężać. Howgh.

Oddalił się i usiadł na trawie. Widać było, że naprawdę nie chciał przeżyć swojej hańby.

Nie padło na niego ani jedno spojrzenie jego braci. Z tym większą nadzieją spoglądali na swego wodza, który swoją potężną postacią wsparł się o drzewo. Zawołał do Old Shatterhanda:

— Podejdź tu! Będziemy losować.

— Nie losuję — odparł Old Shatterhand. — Niech mnie przywiążą prawą ręką.

— O, chcesz prędeż umrzeć!

— Wcale nie. Wiem, że twoja lewa ręka jest słabsza niż prawa. Nie chcę mieć nad tobą przewagi. Przecież cię kiedyś zraniono.

Mówiąc to wskazał na szeroką bliznę na lewym ramieniu przeciwnika. Indianin nie mógł pojąć tej wspaniałomyślności. Zmierzył westmana wzrokiem pełnym zdumienia i odparł:

— Chcesz mnie obrazić? Czy twoi, gdy cię zabiję, mają powiedzieć, że zawdzięczam zwycięstwo twojej łasce? Żądam losowania!

— Dobrze. Jestem gotów.

Los wypadł na korzyść wodza, którego przywiązano do drzewa lewą ręką. Po kilku chwilach stali obaj naprzeciw siebie. Spoglądając na mięśnie olbrzyma, które prężyły się potężnie, można było się lękać o los Shatterhanda. Znakomity westman jednak okazywał taką samą obojętność co poprzednio Winnetou.

— Możesz rozpocząć! — rzekł Upsaroka. — Udzielam ci pierwszego ciosu. Trzy uderzenia będę jedynie odbijał, ale po następnym runiesz bez życia.

Old Shatterhand roześmiał się tylko. Wbił nóż w pień lipy i odpowiedział:

— A ja zrzekam się broni. Mimo to padniesz przy pierwszym natarciu. Nie mamy czasu na dłuższe zabawę. Uważaj więc, bo zaczynam!

Podniósł rękę do uderzenia i skoczył w kierunku przeciwnika. Wódz dał się zwieść i natarł na Shatterhanda. Ale biały błyskawicznie się cofnął, tak, że cios przeciwnika chybił. Jeszcze jeden błyskawiczny ruch Shatterhanda — i pięść ugodziła Indianina w skroń. Olbrzym zachwiał się i zwałił na ziemię.

— Oto leży jak długi! Kto zwyciężył? — zawołał Old Shatterhand.



O ile poprzednio, kiedy Stokrotny Grzmot runął, Upsarokowie zachowywali się spokojnie, tak teraz wybuchnęli rykiem, który brzmiał jak zwierzęce wycie. Przeciwnicy natomiast zaczęli głośno wiwatować.

Old Shatterhand wyjął nóż z pnia i przeciął rzemienie. Biali myśliwi otoczyli go kołem i winszowali nie tylko jemu, ale i sobie. Również Szoszoni wyrazili swoje uznanie obu zwycięzcom, ale przede wszystkim co prędzej podążyli do broni, aby uniemożliwić Upsarokom opór czy ucieczkę. Wrogowie przerwali wycie, podeszli do miejsca, gdzie siedział Grzmot i usiedli przy nim. Nawet strażnik, który został na warcie przy broni, przyłączył się do nich, chociaż nietrudno było mu skoczyć na konia i uciec.

Shatterhand znowu podeszedł do pokonanego wodza, który właśnie wracał do przytomności. Otworzył oczy i widział, jak zwycięzca przecina mu pęta. Dopiero po kilku chwilach zdał sobie sprawę z sytuacji, zerwał się na równe nogi i wbił w Old Shatterhanda zupełnie nieprzytomne spojrzenie. Zdawało się, że oczy wystąpią mu z orbit. Jąkając się zapytał:

— Ja... leżałem... na ziemi...? Czy... ty... mnie... pokonałeś?

— Tak. Czy to nie ty sam postawiłeś warunek, że ten, który upadnie na ziemię, będzie uchodził za pokonanego?

Upsaroka obejrzał się dokładnie.

— Nie jestem ranny! — zawołał. — A więc powaliłeś mnie gołą pięścią!?

— Tak — uśmiechnął się Old Shatterhand. — Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe.

Upsaroka bezradnie spojrzał na swoich wojowników. Jego twarz wyrażała rezygnację.

— Byłoby lepiej, gdybyś mnie zabił! — żalił się. — Wielki Duch opuścił nas, ponieważ skradziono nam leki. Nigdy już nie wejdziemy do Wiecznych Ostępów. Czemu squaw naszych ojców nie pomarły zanim wydały nas na świat?

Niedawno jeszcze dumny i pewny zwycięstwa wojownik, teraz złamany powlókł się do swoich. Odwrócił się jeszcze raz i zapytał:

— Czy pozwolicie nam odśpiewać pieśń śmiertelną zanim nas zabijecie?

— Zanim odpowiem pragnę zadać ci pytanie. Chodź!

Old Shatterhand zaprowadził Bezimiennego do Upsaroków, wskazał na Stokrotnego Grzmota i zapytał:

— Czy jesteś jeszcze zły na swego wojownika?

— Nie. Nie mógł inaczej. Tak chciał Wielki Duch. Straciliśmy leki.

— Odzyskacie je albo dostaniecie jeszcze lepsze.

Wszyscy spojrzeli na niego ze zdumieniem.

— Gdzie je odzyskamy? — zapytał przywódca. — Tu, gdzie mamy umrzeć? Lub może w Wiecznych Ostępach? Nie dotrzemy tam, gdyż stracimy nasze skalpy.

— Zachowacie skalpy i życie. Zabilibyście nas, gdybyście zwyciężyli, ale my zgodziliśmy się na wasze warunki tylko na pozór. Jesteśmy chrześcijanami i nie zabijamy naszych bliźnich. Podnieście się! Podejdźcie, weźcie swoją broń i swoje konie. Jesteście wolni i możecie jechać dokąd chcecie.

Nikt się nie poruszył.

— Mówisz tak, aby rozpocząć tortury, którym chcesz nas poddać — rzekł Bezimienny. — Ścierpimy je mężnie nie wydając ani jednego dźwięku skargi.

— Mylisz się! Mówię poważnie. Między Szoszonami a Upsarokami topór wojenny jest zakopany. Kanteh-Pehta, znakomity mąż leków Upsaroków jest naszym przyjacielem. Może wraz ze swoimi wojownikami wrócić cało do swoich wigwamów.

— Uff! Znasz mnie?

— Brak ci ucha, a poza tym widzę na tobie bliznę. Poznałem cię po tym.

— Skąd wiedziałeś o tych znakach?

— Opowiadał mi o tobie twój brat Szunka-szetsza, Wielki Pies.

— A więc znasz go?!

— Tak. Kiedyś się z nim spotkałem.

— Kiedy? Gdzie?

— Przed wielu laty. Rozstaliśmy się przy Górze Żółwia.

Kiedy Upsaroka to usłyszał, zerwał się natychmiast. Jego wyraz twarzy zmienił się nie do poznania, oczy straciły nieruchomy, tępy wyraz i zajaśniały blaskiem.

— Czy myli się moje ucho, czy dobrze słyszę twoje słowa? — zawołał. — Jeśli mówisz prawdę, jesteś Non-pay-klama, którego biali nazywają Old Shatterhandem!

— Jestem nim.

Gdy Bezimienny wymienił to imię, wszyscy Upsarokowie się podnieśli.

— Jeśli jesteś tym znakomitym myśliwym — ciągnął Bezimienny — w takim razie Wielki Duch nie opuścił nas jeszcze. Tak, musisz nim być, gdyż powaliłeś mnie samą pięścią!

Ulec tobie — to nie jest hańba. Mogę żyć, nie wytykany palcami przez sąaw. Uff!

— Również Stokrotny Grzmot, dzielny wojownik, nie powinien się wstydzić, ponieważ walczył z Winnetou, wodzem Apaczów.

Oczy Upsaroka wbiły się w Winnetou, który podszedł, podał Stokrotnemu Grzmotowi rękę i rzekł:

— Mój czerwony brat wypalił ze mną fajkę przysięgi. Teraz wypali z nami kalumet pokoju, gdyż wojownicy Upsaroka są naszymi przyjaciółmi. Howgh!

Grzmot chwycił jego rękę i odparł:

— Odeszło od nas przekleństwo Złego Ducha. Old Shatterhand i Winnetou są przyjaciółmi czerwonych mężów. Nie zażądają naszych skalpów.

— Nie. Jesteście wolni! — powtórzył Old Shatterhand. — Znamy ludzi, którzy pozbawili was leków. Jeśli chcecie iść z nami, zaprowadzimy was do nich.

— Uff! Kim są złodzieje?

— Zgrają Siuksów Ogallalla, którzy jadą do gór Yellowstone.

Wiadomość ta wzburzyła Upsaroków. Przywódca zawołał ze złością:

— A więc to były psy Ogallalla! Hang-peh-te-keh, Ciężki Mokasyn, ich wódz zranił mnie i pozbawił ucha, a ja nie mogłem się mścić. Prosiłem Wielkiego Ducha, aby mnie naprowadził na jego trop, ale moje życzenie nie zostało dotąd wysłuchane.

W tej chwili podszedł Wohkadeh, który stał niedaleko i słyszał wszystko.

— Jesteś na jego tropie, gdyż Hang-peh-te-keh jest przywódcą tych Ogallalla, których ścigamy.

— A więc Wielki Duch oddał go wreszcie w moje ręce! Ale kim jest ten młody czerwony wojownik, który chciał walczyć ze Stokrotnym Grzmotem i tyle wie o Siuksach Ogallalla?

— To Wohkadeh, odważny syn Dumang-kake — odparł Old Shatterhand. — Ogallalla zmusili go aby jechał z nimi. Widział, jak rabowano wasze leki. Następnie uciekł od nich i oddał nam już ważne przysługi.

— A czego szukają Ogallalla w górach Yellowstone?

— Opowiemy wam, gdy rozpalimy ognisko. Wtedy namyślicie się, czy jechać z nami.

— Jeśli ścigacie Ogallalla, pojedziemy z wami. Niech moi bracia rozpalą ognisko!

Wkrótce zapłonęło ognisko narady.

\* \* \*

”Senat i Izba Poselska Stanów Zjednoczonych niniejszym postanawiają, że obszary na terytoriach Montana i Wyoming, leżące w pobliżu źródła Yellowstone River, zostają wyłączone spod prawa osiedlenia, objęcia w posiadanie oraz sprzedaży, zgodnie z obowiązującymi prawami Stanów Zjednoczonych i mają być oddane do użytku powszechnego jako park publiczny dla korzyści i przyjemności ludu. Każdy, kto wykroczy przeciw tym zarządzeniom, kto obejmie w posiadanie jakąś część obszaru, będzie wydalony. Park zostaje oddany pod wyłączny nadzór sekretarza spraw wewnętrznych, który jest zobowiązany do wydania wszelkich przepisów i zarządzeń, jakie uzna za konieczne.”

Tak brzmi ustawa ogłoszona na kongresie Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej 1 marca 1872 r. Mocą tego prawa obywatele Stanów Zjednoczonych i mieszkańcy innych krajów otrzymali podarunek, którego wielkości jeszcze wtedy nie znano.

Pierwsze ścisłe wiadomości przywiózł dopiero profesor Hayden, który zorganizował naukową wyprawę w te nieznane strony. Jednakże i on opowiadał rzeczy niezwykle.

W Stanach Zjednoczonych opowiadano sobie najdziwniejsze rzeczy o tych terenach, zwanych obecnie Parkiem Narodowym Stanów Zjednoczonych. Te tereny, znane tylko Indianom i tylko w części zbadane przez odważnych samotnych traperów, były otoczone mgłą tajemniczości. Opowieści takich traperów szły w świat z ust do ust, ozdabiane wszelkimi fantastycznymi wymysłami. Płonące prerie i góry, gotujące się źródła, wulkany wybuchające roztopionym metalem, jeziora i rzeki lawy, skamieniałe lasy ze skamieniałymi Indianami i zwierzętami — oto treść rozmaitych opowiadań.

Park Narodowy rozciąga się na przestrzeni 9500 kilometrów kwadratowych. Stamtąd wypływają rzeki Yellowstone, Madison, Gallatin i rzeka Wężowa. Wznoszą się potężne łańcuchy górskie. Czyste i krzepiące powietrze, setki zimnych i gorących źródeł o różnorodnym składzie chemicznym posiadają niezwykle właściwości lecznicze. Gejzery<sup>[70]</sup>, z którymi ledwo można porównać gejzery islandzkie, tryskają na wieleset stóp<sup>[71]</sup> w górę. Góry w wielu przypadkach składają się ze wspaniałego kwarcu we wszystkich kolorach i migotliwie lśnią w promieniach słonecznych. Między nimi znajdują się przepaście, które są jak gdyby wydrążone specjalnie po to, aby zajrzeć do wnętrza ziemi. Grunt stanowią jakby pęcherze, które się wznoszą i opadają. Czasami wydają się zaledwie grube na cal<sup>[72]</sup>, tak że jeździec z trudem popędza przerażonego rumaka. Otwierają się olbrzymie dziury wypełnione wrzącą lawą, która się wznosi i opada.

Nie można jechać choćby przez kwadrans, aby nie natknąć się na to czy inne dziwo natury. Należy sądzić, że znajduje się tam około dwóch tysięcy gejzerów i gorących źródeł. Zaskakuje różnorodność krajobrazów. Podczas gdy w jednym miejscu bije potok wrzącej wody, nieco dalej perli się zimne źródło i rosną wspaniałe drzewa. Wydaje się, że pod ziemią walczą dobre duchy ze złymi, aniołowie z diabłami. Podziwia się fantastyczne widoki, a kilka kroków dalej cofa się przed budzącymi grozę. Zachwyca kolosalny źródł tryskający przy ścianach kanionu na ponad sto metrów, a dalej idzie się przez pola krwawnika, agatu, chalcedonu, opalu i innych drogich kamieni.

Między górami drzemią szmaragdowe jeziora. Największym i najpiękniejszym z nich jest jezioro Yellowstone, po Titikaka najwyżej na ziemi położone jezioro, bo około 2400 m ponad poziomem morza.

Pomimo, że woda jeziora jest przesycona siarką, roi się w nim od pstrągów, których mięso posiada bardzo osobliwy, ale przyjemny smak. Otaczające lasy obfitują w łosie i niedźwiedzie. Brzegi usiane są niezliczonym mnóstwem gorących źródeł, z których para wydziela się ze świstem podobnym do dźwięku jaki wydaje lokomotywa.

Przybysz o lęklwym usposobieniu pragnie się od razu wycofać. Niespokojne siły podziemne występują na powierzchni. Na tym gruncie nie można się czuć pewnie. Wydaje się, że cały obszar albo za parę chwil zapadnie się w przepaść, albo jako gigantyczny, ziejący ogniem krater wyleci ponad wierzchołki Rocky Mountains. Tak mniej więcej wygląda część Parku Narodowego Yellowstone, do którego zbliżał się Winnetou i Old Shatterhand wraz z oddziałem Szoszonów i Upsaroków.

## Sępy Skalne II

Tam, gdzie z jeziora wypływa Yellowstone River i gdzie brzeg tej rzeki ciągnie się na południowy zachód do Bridge Creek, płonęło kilka ognisk. Rozpalono je, nie po to aby ugotować wieczerzę, ale by oświetlić teren.

Pstrągi łokciowej długości, schwytane w zimnej wodzie, można było ugotować w wodzie gorącej, która pienila się w odległości kilku kroków. Sas ogromnie chęłpił się tym, że po obiedzie zastrzelił dziką owcę. A więc wieczerza składała się z ugotowanego owczego mięsa i pstrągów. Gorące źródło było tak małej objętości, że doskonale nadawało się do roli garnka, a woda miała potem świetny smak rosółu.

Oddział przeprowił się przez rzekę Pelikan i Yellowstone i nazajutrz rano zamierzał udać się poprzez Bridge Creek do rzeki Kraterów. Tam tryskał gejzer zwany przez Indian K'untui-temba — Paszcza Piekła, a w pobliżu stał grobowiec wodza.

Jazda odbyła się z nieoczekiwaną szybkością. Jeźdźcy dojeżdżali do celu, a do pełni księżyca zostały jeszcze trzy dni. Old Shatterhand przypuszczał, że Siuksowie Ogallalla nie mogli jeszcze dotrzeć na miejsce. Powiedział w toku rozmowy:

— Co najwyżej mogli dojechać do Bottles Range, a więc jesteśmy tutaj bezpieczni. Niech ognisko płonie dopóki księżyc nie wyłoni się zza gór. Nie możemy się spodziewać innych ludzi poza Siuksami. Nie ma się czego obawiać.

— A jaka jest droga z Bottles Range, sir? — zapytał Marcin Baumann. — Słyszałem, że jest bardzo niebezpieczna.

— Tego nie mogę powiedzieć. Oczywiście, należy omijać gejzery, gdzie skorupa ziemska jest bardzo cienka i łatwo może się zapaść pod nogami. Jedzie się z Bottles Range do doliny rzecznej i wymija wulkany. Po czterech czy pięciu godzinach dociera się do kanionu długiego na pół mili i głębokiego na trzysta metrów, wydrążonego w granicie. Po następnych pięciu godzinach dojeżdża się do góry, z wierzchołka której bieżną dwie równoległe ściany skalne. Górę nazywają Czarcią Ślizgawką. Po trzech następnych godzinach, dotarłszy do Gardiner River, jedzie się jej brzegami, gdyż wzdłuż Yellowstone River nie można się dalej posuwać. Następnie szlak wiodzie wzdłuż gór Washburne i Cascade Creek. Zatoka ta prowadzi do Yellowstone między górnym a dolnym wodospadem. W ten sposób trafia się na brzeg Wielkiego Kanionu, który stanowi chyba największą osobliwość obszarów Yellowstone.

— Jaka to osobliwość? Czy pan ją widział? — zapytał Gruby Jemmy.

— Tak. Kanion jest długi na ponad siedem mil i głęboki na tysiąc metrów. Ściany wznoszą się prawie pionowo. Tylko człowiek o silnych nerwach może się odważyć stanąć nad brzegiem i zajrzeć do przepaści, na której dnie płynie rzeka szeroka na sześćdziesiąt metrów. Oglądana z góry wydaje się cieniutką nitką. A właśnie ta niteczka przed wielu tysiącami lat wydrążyła kanion w skale. Na dole fale rozbijają się z ogromną siłą o skalne ściany; na górze jednak nie słychać prawie nic. Żaden śmiałek nie może zejść na dół, a nawet jeśli zejdzie, to niedługo wytrzyma. Zabraknie mu powietrza. Woda jest gorąca, wygląda jak oliwa, posiada wstrętny smak siarki i ałunu, i bardzo nieprzyjemny zapach. Idąc naprzód dochodzi się do dolnego wodospadu, który spada z przeszło stumetrowej wysokości. Po kwadransie znów wodospad zlewa się z trzydziestometrowej wysokości. Na przebycie drogi od tego górnego wodospadu do nas, dobry jeździec potrzebuje dziewięciu godzin. Razem więc od Bottles Range trzeba dwóch dni drogi, o które wyprzedziliśmy Siuksów Ogallalla. Oczywiście nie są to dokładne obliczenia, ale przecież nie chodzi o kilka godzin mniej lub więcej. Wystarczy stwierdzić, że nasi wrogowie nie mogą tu jeszcze być.

— A gdzie będą jutro o tej porze? — zapytał Marcin Baumann.

— Nad górnym wylotem kanionu. A dlaczego pan pyta?

— Bez szczególnego powodu. Rozumie pan chyba, że w duchu towarzyszę ojcu. Kto wie, czy jeszcze żyje.

— Jestem tego pewny.

— Siuksowie mogli go zabić.

— Niech pan sobie nie zaprzęta głowy podobnymi myślami! Ogallalla chcą sprowadzić jeńców do grobowca wodza. Niech pan ufa, że nie zmienią zamiaru. Im później zabija się jeńców, tym dłużej trwają katusze. Ogallalla ani myślą skracać ich męczarni szybką śmiercią.

Odszedł w stronę, gdzie już leżał pogrążony we śnie Winnetou, zawinął się w kołdrę i położył obok swego czerwonego przyjaciela. Pozostali, szepcząc, siedzieli przy ognisku.

— Bardzo, bardzo piekielnie mi przykro, że oszukamy tego dzielnego człowieka — rzekł po cichu Jemmy. — Ale ten mały niedźwiedziarz umie tak pięknie prosić, że mnie, staremu, grubemu szopowi, serce uciekło wraz z rozumem. No, wierzę, że sprawa skończy się dobrze.

— Ostrzegalem od samego początku — mruknął Davy — i ostrzegam jeszcze raz.

— Ale niech pan pomyśli, mój drogi panie Davy — odparł Marcin — że nie możemy

czekać jeszcze całe trzy dni! Umieram z troski i niepokoju.

— Przecież Old Shatterhand wyjaśnił panu, że jeńcy jeszcze żyją.

— Mógł się pomylić. Czy zapomniał pan, że obaj — pan i Jemmy — pierwsi byliście gotowi pośpieszyć z pomocą? A teraz nie mogę na was polegać...

— Do licha! Takiego wyrzutu nie ścierpię! Z przychylności do pana dałem przyrzeczenie, więc nie powinien mi pan zarzucać, że go nie dotrzymałem. A więc jadę z wami, ale tylko pod jednym warunkiem!

— Proszę, niech pan powie! Spełnię go, o ile tylko to będzie w mojej mocy.

— Podkradniemy się do Siuksów Ogallalla tylko po to, aby stwierdzić, czy pański ojciec jeszcze żyje, ale nie będziemy próbowali go uwolnić.

— Dobrze, zgoda.

— Pięknie! Wyobrażam sobie, co się dzieje w pańskim sercu. To wzrusza moje stare, dobre sumienie i dlatego towarzyszę panu. Lecz gdy ujrzemy, że pański ojciec żyje, wrócimy do swoich.

— Jutro rano będą się niepokoili o nas, ale przypuszczam, że Murzyn zdoła ich uspokoić — rzekł Jemmy. — Teraz milczmy, aby nie budzić podejrzeń. Księżyc wschodzi. Zgasimy ognisko i położymy się pod drzewami w cieniu, aby nie spostrzeżono naszego odejścia.

— Dobrze, że księżyc świeci — powiedział Hobbler-Frank — przynajmniej znajdziemy drogę.

— Mamy dokładne wskazówki — wciąż wzdłuż rzeki. Co prawda nie miło mi, że jestem zmuszony oszukiwać towarzyszy, ale przecież to nie może im zaszkodzić. Poprzednio my także mieliśmy prawo do decyzji; teraz wodzami są Old Shatterhand i Winnetou. Długiego i Grubego pyta się o zdanie tylko między innymi. Czas dowiedzie, że my także jesteśmy westmanami, że potrafimy wymyślić i wykonać własny plan.

Wygaszono ognisko. Nie płonęły już także pozostałe, przy których siedzieli Indianie. Cisza zaległa obóz, cisza przerywana w regularnych odstępach czasu, gwizdaniem wybuchającej z ziemi pary.

Minęła przeszło godzina. Pod drzewami, gdzie leżeli Frank, Jemmy, Marcin i Wohkadeh zaczął się ostrożny ruch.

— Niech moi bracia pójdą za mną! — rzekł młody Indianin. — Już czas.

Zabrali broń oraz inne potrzebne rzeczy i zaczęli się skradać do koni. Bystre oko



Wohkadeha szybko odróżniło pięć rumaków od pozostałych. Nie obeszło się bez lekkiego szmeru. Dlatego zatrzymali się na chwilę, nadsłuchując, czy ktoś się nie obudził. Wreszcie sprowadzili powoli konie, których tętent tłumiła trawa.

Jednak nie udało się niepostrzeżenie odejść. Chociaż trudno się było spodziewać wroga, wystawiono kilku strażników, którzy zmieniali się od czasu do czasu. Było to potrzebne chociażby ze względu na dzikie zwierzęta. Spiskowcy musieli wyminąć jednego z postawionych strażników.

Wartę pełnił Szoszon. Poznał przyjaciół i dlatego nie podniósł alarmu. Światło księżyca przenikające przez poszczególne gałęzie, pozwoliło rozpoznać uciekinierów.

— Czego tu szukają moi bracia? — zapytał Indianin.

— Mów szeptem, aby nikogo nie obudzić! — odparł Jemmy. — Old Shatterhand wysłał nas. Wie, dokąd jedziemy. Czy to ci wystarcza?

— Moi biali bracia są moimi przyjaciółmi. Nie mogę przeszkodzić, jeżeli pragną wykonać rozkaz wielkiego wojownika.

Kiedy oddalili się na dosyć znaczną odległość, dosiedli rumaków, i pomknęli wzdłuż jeziora, aby dotrzeć do ujścia Yellowstone River, a następnie z jej biegiem pojechać na północ.

Szoszon uważał ten wypadek za tak prosty i zrozumiały, że nie zadawał sobie trudu, aby oznajmić o tym zmieniającemu go towarzyszowi. Do samego rana nie rozeszła się wieść o zniknięciu odważnych, choć raczej lekkomyślnych wycieczkowiczów.

Pobudka miała nastąpić o świcie. Kiedy więc w krzakach rozległy się pierwsze ptaszęce śpiewy, wszyscy zerwali się na nogi. Spostrzeżono z przerażeniem nieobecność pięciu przyjaciół. Okazało się, że wyjechali z obozu na własnych koniach. Teraz dopiero Szoszon, który stał w nocy na warcie, zameldował o wypadku i powtórzył Old Shatterhandowi słowa Grubego Jemmy'ego.

Winnetou nie mógł, mimo swej przenikliwości, pojąć postępowania zbiegłych.

— Na pewno wyjechali na spotkanie Siuksów Ogallalla — wyjaśnił Old Shatterhand.

— Chyba potracili głowy! — gniewał się Apacz. — Nie tylko nie unikną niebezpieczeństwa, ale na domiar złego zdradzą naszą obecność. Ale czemu to zrobili?

— Aby się dowiedzieć, czy niedźwiedziarz jeszcze żyje.

— Jeśli umarł, nie zdołają go wskrzesić, a jeśli jeszcze żyje, narażają go tylko na większe niebezpieczeństwo. Winnetou może wybaczyć ten wielki błąd dwóm młodym, odważnym

chłopcom, ale obaj starzy myśliwi powinni być wystawieni u pala na pośmiewisko squaw i dzieci.

W tej chwili podszedł do nich Murzyn Bob. Cuchnął nadal i dlatego odganiano go od siebie. Miał na sobie końską derkę, której pożyczył mu Długi Davy. Przed chłodem nocy osłaniał się skórą niedźwiedzia zabitego przez Marcina.

— Pan Shatterhand szukać pana Marcina? — zapytał.

— Tak. Czy możesz mi przekazać jakieś wiadomości?

— O, pan Bob być bardzo mądry! Wiedzieć, gdzie być pan Marcin.

— Gdzie?

— Być daleko, do Siuksów Ogallalla, aby zobaczyć schwytanego pana Baumanna. Pan Marcin powiedzieć wszystko panu Bobowi, aby pan Bob opowiedzieć panu Shatterhandowi.

— A więc tak jak myślałem — rzekł Old Shatterhand. — Kiedy wrócą?

— Kiedy zobaczyć pana Baumanna, wtedy przyjść do Fire River. Więcej pan Bob nie wiedzieć.

— Twój dobry pan Marcin popełnił głupstwo. Myślę, że może je przyplacić gardłem.

— Co? Pan Marcin przyplacić gardłem? W takim razie pan Bob natychmiast dosiadać konia i pędzić uratować pana Marcina!

— Tak, tak samo jak wtedy, kiedy mówiłeś, że zabiłeś niedźwiedzia a wszedłeś ze strachu na brzozę.

— Ogallalla nie być niedźwiedź. Pan Bob nie bać się Ogallalla!

Wyciągnął groźnie swe wielkie pięści z taką miną, jakby chciał zmiażdżyć dziesięciu Ogallalla naraz.

— No dobrze, spróbujemy, jeśli tak bardzo kochasz swego młodego pana. Bądź gotów za parę minut. Wyruszamy w drogę!

Bob odszedł.

Zwracając się do Winnetou, który stał wraz z przywódcą Upsaroków, wodzem Szoszonów i jego synem, Shatterhand dodał:

— Mój brat pojedzie dalej i poczeka na mnie przy K'untui-temba, Paszczy Piekła. Ze mną zaś pojedzie piętnastu jeźdźców Upsaroków ze swoim wodzem, Moh-Aw oraz piętnastu wojowników Szoszonów. Musimy natychmiast wyruszyć za pięcioma szaleńcami, aby nie dopuścić do nieszczęścia. Trudno mi określić, z której strony przybędziemy do Paszczy Piekła.

Może się zdarzyć, że Siuksowie Ogallalla wcześniej dotrą do grobowca niż ja ze swoim oddziałem.

Po kilku minutach Old Shatterhand z czerwonoskórymi wojownikami cwałował śladem pięciu nieprzezornych spiskowców.

Rzecz zrozumiała, że uciekinierzy wyprzedzili Old Shatterhanda o szmat drogi. Co prawda noc i nieznajomość terenu utrudniała jazdę, ale bardzo się rankiem oddalili od jeziora Yellowstone, a potem puścili konie w cwał.

Widok rzeki i brzegów był dziwny i wspaniały. Dolina rzeki, z początku dosyć szeroka, była po obu stronach urozmaicona krajobrazowo. Miejscami skały wznosiły się stopniowo w górę — miejscami opadały bardzo stromo. A wszędzie czuło się działanie wulkanu.

W zamierzchłej przeszłości, teren ten był morzem o powierzchni wielu tysięcy mil kwadratowych. Potem pod wodami zaczęły działać wulkaniczne siły. Grunt się podniósł, miejscami popękał. Ze szczelin tryskała rozżarzona lava i pod wpływem chłodnych wód ścinała się w bazalt. Utworzyły się ogromne kratery wyrzucające z łona ziemi różne gorące głązy, które wraz z najróżniejszymi minerałami ukształtowały grunt pełen niezliczonych gorących mineralnych źródeł. Potem ogromne ciśnienie podziemnych gazów podniosło w górę całe dno jeziora tak, że woda musiała odpłynąć i poprzebijała sobie głębokie koryta. Zwykła ziemia i kamienie zostały zmyte. Zimno i upał, burze i ulewy dokonały dzieła zniszczenia wszystkiego, co nie umiało stawić skutecznego oporu. Wytrzymały jedynie twarde, zakrzepnięte kolumny lawy.

W ten sposób woda wydrążyła sobie głębokie na tysiąc stóp łożyska, zniszczyła wszystko, co było słabe, coraz głębiej podmywała skały i utworzyła wspaniałe kaniony i wodospady, które można podziwiać w Parku Narodowym Yellowstone.

Wyniosłe wulkaniczne brzegi były poszarpane przez kolejne wybuchy lawy, która kształtowała je w różne formy. Czasem wydaje się, że widać ruiny starego zamku. Widać puste wgłębienia okiennic, wieże wartownicze i mosty zwodzone. Nieco dalej wznoszą się wysmukłe minarety<sup>[73]</sup> — zdaje się, że za chwilę stanie na górze muezzin<sup>[74]</sup> i zwoła wiernych do modlitwy. Naprzeciw minaretów widać rzymski amfiteatr, w jakim kiedyś chrześcijańscy niewolnicy walczyli z dzikimi bestiami, obok stoi chińska pagoda, a dalej nad rzeką piętrzy się wysoka na sto stóp postać zwierzęca, tak potężna, tak niezniszczalna, jak gdyby została wzniesiona jako bóstwo przedpotopowych ludów.

To wszystko jest tylko złudzeniem. Wulkaniczne wybuchy dostarczały materiału, który

później ukształtowała woda. Kiedy człowiek patrzy na te twory sił przyrody, czuje się drobnym robaczkiem powstałym z prochu i rozstaje się z dumą, która go dotychczas rozpierała.

Tam, gdzie rzeka zakreśliła szeroki łuk na zachód, licznie występują gorące źródła i rozlewają się w dosyć sporą rzeczkę wpadającą do Yellowstone River. Okazało się, że nie można stąd pojechać wprost do brzegów tej rzeki, więc pięciu białych skierowało się na lewo, aby podążać wzdłuż gorącej strugi.

Nie było ani drzew, ani trawy. Wszystkie rośliny wyginęły. Gorąca woda była mętna i brudna i cuchnęła jak zgniłe jajka. Ledwie można było znieść ten zapach. Zmienił się na lepszy dopiero, gdy dotarli do wyżyn. Była tu wreszcie jasna, świeża woda i wkrótce ukazały się krzewy, a nawet drzewa.

Nie było oczywiście mowy o prawdziwej drodze. Konie musiały się często przepychać przez skaliste zwały, które wyglądały tak, jak gdyby kiedyś spadła tutaj z nieba góra i rozbiła się na kawałki. Głazy miały miejscami dziwny kształt. Od czasu do czasu pięciu jeźdźców przystawało, aby podzielić się wrażeniami. Tak upływał czas i w południe przebyli dopiero połowę drogi.

Nagle ujrzeni w oddali duży budynek. Była to willa z ogrodem, zbudowana jakby w stylu włoskim, otoczona wysokim murem. Zdumieni jeźdźcy osadzili konie.

— Dom tutaj, w Yellowstone! Niewiarygodne! — zawołał Jemmy.

— Dlaczego? — zapytał Frank. — Ale przyjrzyj się dokładnie temu domowi! Czy w bramie nie stoi człowiek?

— Ależ tak! W każdym razie tak to wygląda. Ale teraz już znikł. To mógł być tylko cień.

— Tak? Gdzie jest cień ludzki, tam musi być też i człowiek. A kiedy cień znikł, to albo słońce się skryło, albo ten, który rzucał cień. Słońce jeszcze świeci, a więc odszedł człowiek. Zaraz zobaczymy, dokąd.

Zbliżyli się do budynku i stwierdzili, że nie jest dziełem ludzkich rąk, ale przypadkowym tworem natury. Domniemane mury składały się z oślepiająco białej masy. Otwory mogły z daleka uchodzić za okna i bramę. Widać było obszerny dziedziniec, podzielony skałami na kilka części. Pośrodku biło z ziemi źródło i toczyło jasną, zimną wodę ku bramie.

— Zdziwiałe! — przyznał Jemmy. — To miejsce świetnie nadaje się do odpoczynku. Czy wejdziemy?

— Czemu nie? — odpowiedział Frank. — Ale nie wiemy, czy drab, który tam mieszka,

nie jest nicponiem.

— Pshaw! Pomyliliśmy się, nie ma chyba mowy o człowieku. W każdym razie zbadam okolicę.

Wjechał ze strzelbą gotową do strzału przez bramę i zajrzał na podwórze. Po czym odwrócił się i zawołał:

— Chodźcie, nie ma żywej duszy!

— Spodziewam się — oświadczył Frank. — Niechętnie obcuję z duszami zmarłych, kiedy wiodą życie duchowe na ziemi.

Davy, Marcin i Frank poszli za przykładem Grubego. Tylko Wohkadeh przezornie się zatrzymał.

— Czemu mój czerwony brat nie jedzie? — zapytał syn niedźwiedziarza.

Indianin wciągnął powietrze podejrzliwie w nozdrza i odparł:

— Czy moi bracia nie czują zapachu koni?

— Naturalnie. Przecież siedzimy na koniach.

— Ten zapach szedł z bramy zanim wjechaliśmy.

— Nie widać tu jednak ani człowieka, ani zwierzęcia, ani ich śladów.

— Ponieważ teren jest skalisty, niech moi bracia mają się na baczności!

— Nie ma powodu do obaw — oświadczył Jemmy wjeżdżając głębiej. — Chodźcie! Obejrzymy dokładnie.

Zamiast czekać aż wróci, wszyscy pojechali za nim. Naraz rozległo się wojenne wycie, aż ziemia zadrżała. Z głębi wyskoczyła znaczna ilość Indian i w sekundę potem czterej nierozsądni biali byli już okrążeni. Wysoki, szczupły i wysuszony Indianin z ozdobami wodza na głowie, zawołał łamaną angielszczyzną:

— Poddajcie się, bo zabierzemy wam skalpy!

Zaskoczeni biali zrozumieli, że opór nie ma najmniejszego sensu.

— Do licha! — krzyknął Jemmy po niemiecku. — Wjechaliśmy im wprost do rąk! To są Siuksowie Ogallalla, właśnie ci, których chcieliśmy szpiegować! — I zwracając się do wodza, dodał po angielsku: — Podać się? Nie wyrządziliśmy wam żadnej krzywdy. Jesteśmy przyjaciółmi czerwonych mężów.

— Siuksowie Ogallalla zwrócili topór wojenny przeciwko białym — odparł Indianin. — Zejdźcie z koni i odłóżcie broń! Nie będziemy czekać.

Pięćdziesiąt par oczu wbiło się ponuro w białych i pięćdziesiąt czerwono-brązowych pięści ścisnęło rękojeście noży. Pierwszy zsiadł z wierzchowca Davy.

— Ustąpcie! — rzekł do towarzyszy. — Musimy zyskać na czasie. Nasi na pewno przybędą z odsieczą.

Towarzysze zeskoczyli z koni i oddali swoją broń. Wohkadeh nie wjechał za nimi, został za ogrodzeniem. Z zewnątrz ujrzał całą scenę i natychmiast uskoczył na bok, aby go nie spostrzeżono. Potem zsiadł z konia, położył się na ziemi i wysunął głowę o tyle, żeby mógł zajrzeć na podwórze.

To co ujrzał, napełniło go grozą. Poznał wodza. Był to Hang-peh-te-keh, Ciężki Mokasyn, przywódca Siuksów Ogallalla, do których on sam kiedyś należał i od których uciekł.

Cóż miał uczynić? Wrócić czym prędzej do jeziora, aby sprowadzić Old Shatterhanda i towarzyszyły? Bynajmniej. Niezwykle śmiała myśl strzeliła mu do głowy. Dosiadł konia i wjechał na podwórzec z najzwyklejszą miną na twarzy.

Właśnie przygotowano rzemienie do wiązania czterech białych. Wohkadeh w kilku krokach znalazł się przy nich.

— Uff! — zawołał. — Od jak dawna Siuksowie Ogallalla wiążą swoich najlepszych przyjaciół? Ci biali są braćmi Wohkadeha!

To jego nagłe pojawienie się zdziwiło Indian. Ciężki Mokasyn groźnie ściągnął brwi, ostrym spojrzeniem zmierzył młodzieńca od stóp do głowy i odpowiedział:

— Od jak dawna te białe psy są braćmi Ogallalla?

— Od czasu, gdy uratowali życie Wohkadehowi.

Wódz przenikliwie spojrzał na Wohkadeha. Zapytał:

— Gdzie był dotychczas Wohkadeh? Czemu nie wrócił na czas, gdy wysłano go, aby szpiegował wrogów?

— Ponieważ schwytały go psy Szoszonów. Ci czterej biali walczyli za niego i uratowali życie Wohkadeha. Wskazali mu drogę, która szybko i łatwo prowadzi do Yellowstone i pojechali z nim, aby wypalić fajkę pokoju z Ciężkim Mokasynem.

Szydlerczy uśmiech zadrżał na wargach wodza.

— Złaż z konia i podejdź do swoich białych braci! — rozkazał. — Jesteś naszym jeńcem, tak samo jak oni.

— Wohkadeh jest jeńcem własnego plemienia? Kto dał Ciężkiemu Mokasynowi prawo

zniewalania wojowników swojego narodu?

— Sam sobie nadał to prawo! Jest dowódcą wyprawy wojennej i może robić co mu się podoba.

Wohkadeh spiął konia ostrogami i okręcił go wokół na tylnych nogach. Ponieważ rumak bił przednimi kopytami w powietrzu, więc otaczający go Siuksowie musieli się cofnąć. Wohkadeh miał więc przed sobą wolne miejsce. Złożył cugle na szyi wierzchowca uwalniając dzięki temu również prawą rękę i złożył się do strzału.

— Od jak dawna naczelnicy Siuksów Ogallalla mogą robić co im się podoba? Na cóż więc istnieje zgromadzenie starszyny plemiennej? Wohkadeh jest młody, ale zabił białego bawołu i nosi na głowie orle pióra. Nie pozwoli się schwytać w niewolę, a kto go obraża, będzie musiał z nim walczyć.

Te dumne słowa nie przebrzmiały bez echa. Naczelnicy Indian nie posiadają władzy dziedzicznej ani innych atrybutów europejskich władców. Nie mogą ustanawiać praw ani wydawać zarządzeń. Wybiera się ich spośród wojowników na podstawie okazanej odwagi lub mądrości. Wpływ i władza polegają głównie na osobistym autorytecie, na wrażeniu, jakie wywiera osoba naczelnika. Wodza można złożyć z urzędu, jeśli straci uznanie.

Ciężki Mokasyn słynął z surowości i samowoli. Wprawdzie bardzo przysłużył się własnemu plemieniu, ale jego hardość i upór szkodziły mu bardzo. Był srogi, okrutny i chciwy krwi. Plemię więc rozpadło się na dwa stronnictwa: zwolenników i przeciwników Ciężkiego Mokasy, zarówno jawnych, jak i ukrytych.

To rozdwojenie wyszło teraz na jaw, kiedy Wohkadeh przemówił. Wielu Siuksów wydało okrzyki uznania i zachęty. Naczelnik obrzucił ich wściekłym spojrzeniem, skinął na kilku najwierniejszych popleczników, którzy natychmiast obsadzili wyjście i odpowiedział:

— Każdy Siuks Ogallalla jest wolnym człowiekiem. Ale gdy wojownik staje się zdrajcą wobec swoich braci, traci prawa wolnego człowieka!

— Udowodnij, że jestem zdrajcą!

— Udowodnię to wobec zgromadzenia wojowników.

— A ja stanę wobec tego zgromadzenia jako wolny mężczyzna, z bronią w ręku i będę się bronił. A jeśli udowodnię, że Ciężki Mokasyn obraził mnie bez powodu, będzie musiał ze mną walczyć!

— Zdrajca nie występuje na zgromadzeniu z orężem w ręku. Wohkadeh złoży swoją

broń. Jeśli okaże się niewinny, otrzyma broń z powrotem.

— Uff! Kto się ośmieli ją odebrać?

Młodzieniec wyzywająco powiódł oczami dokoła. Widział, że wiele twarzy spogląda na niego z uznaniem. Ale od większości bił chłód.

— Nikt ci jej nie odbierze — odparł wódz. — Sam ją złożysz. A jeśli nie, spotka cię kula.

— Ja mam nawet dwie kule w strzelbie.

Mówiąc to uderzył ręką po kolbie.

— Wohkadeh, który odszedł od nas, nie posiadał strzelby. Podarowali mu ją biali, którzy dają ją tylko wtedy, kiedy mają z tego pożytek. Wohkadeh świadczył im przysługi, a nie oni jemu. Wohkadeh jest Mandana. Nie zrodziła go sąuaw Siuksów. Kto spośród odważnych wojowników pragnie wziąć Wohkadeha w obronę zanim on sam odpowie?

Nikt się nie zgłosił. Ciężki Mokasyn spojrział zwycięsko na Wohkadeha i rozkazał:

— A więc zsiadaj z konia i oddaj broń! Będziesz się bronił słowami, po czym zapadnie wyrok. Twój upór dowodzi tylko, że jesteś winny.

Wohkadeh pojął, że musi ustąpić. Bronił się dotąd, chciał wyrzucić jak najlepsze wrażenie na przeciwnikach wodza.

— Jeśli tak myślisz, zastosuję się do nakazu — rzekł. — Moja sprawa jest słuszna. Mogę spokojnie oczekiwać waszego wyroku i od tego czasu oddaję się w wasze ręce.

Zsiadł z konia i złożył broń u stóp wodza, który szepnął coś na ucho najbliższemu wojownikowi. Siuksowie natychmiast wyciągnęli rzemienie, aby zwięzać Wohkadeha.

— Uff! — zawołał gniewnie młodzieniec. — Czy mówiłem, że pozwalam wam na to?

— Biorę sobie to pozwolenie! — odezwał się wódz. — Zwiążcie go i połóżcie samego w kącie, aby nie mógł się porozumieć z białymi jeńcami.

Cóż pomogłoby opór? Wohkadeh musiał poddać się losowi. Związano mu ręce i nogi i położono w kącie. Dwóch Siuksów usiadło na straży. Stary wojownik podszedł do wodza i rzekł:

— O wiele więcej zim przeszło nad moją głowę niż nad twoją, dlatego nie gniewaj się, że zapytam, czy naprawdę masz powody do uznania Wohkadeha za zdrajcę?

— Odpowiem ci, bo jesteś najstarszym z moich wojowników. Nie mam innego powodu prócz tego, że najmłodszy z białych jeńców jest podobny do niedźwiedziarza, który leży przy koniach.

— Czy to dostateczny powód?



— Tak. Wkrótce się przekonasz.

Podszedł do jeńców, którzy bezradnie musieli się przypatrywać i przysłuchiwać śmiałoemu wystąpieniu Wohkadeha. Niestety, ani Jemmy, ani Davy nie władali językiem Siuksów na tyle, żeby zrozumieć wszystko, co mówiono.

Chytry wódz zrobił mniej surową minę i rzekł:

— Wohkadeh, zanim od nas odszedł, popełnił czyn, nad którym musimy się naradzić. Dlatego chwilowo skrępowaliśmy go. Jeśli się okaże, że biali go jeszcze wtedy nie znali, to odzyskają wolność. Jak się nazywają biali mężowie?

— Czy powiemy? — zapytał Davy przyjaciela.

— Tak — odparł Jemmy. — Być może nabierze do nas większego szacunku. — I zwracając się do wodza dodał:

— Nazywam się Jemmy-petahtszeh, a ten wysoki wojownik to Davy-honskeh. Chyba znasz te imiona?

— Uff! — rozległo się w gromadzie Siuksów.

Wódz skarcił ich wzrokiem. Chociaż sam był zdumiony, że ma w swojej mocy tak słynnych myśliwych, nie zdradził się jednak najmniejszym gestem.

— Ciężki Mokasyn nie zna waszych imion — odparł. — A kim są ci dwaj mężowie?

Pytanie dotyczyło Franka i Marcina. Davy podszepnął Grubemu:

— Na miłość boską, nie wymieniaj nazwisk!

— Co mówi ten biały?! — zapytał surowo naczelnik. — Niechaj odpowiada ten, którego pytam!

Jemmy musiał się zdecydować na kłamstwo. Wymienił pierwsze lepsze nazwisko, jakie mu wpadło do głowy i podał Franka i Marcina za ojca i syna.

Wódz badawczo przyjrzał się jednemu i drugiemu, po czym uśmiechnął się ironicznie. Jednak rzekł przyjaznym głosem:

— Niech biali idą za mną! — i skierował się w głąb podwórza.

Domniemany dom był kiedyś wielką skałą składającą się ze skalenia i bardziej miękkich minerałów, które zostały zmyte ulewami. W wyniku tego utworzyła się budowla przypominająca długi, otoczony wysokimi murami dziedziniec, podzielony bocznymi ścianami na kilka części.

Najgłębsza była zarazem najobszerniejsza. Zmieścił się w niej cały tabun koni Ogallalla. W kącie leżało sześciu białych ze skrępowanymi rękami i nogami. Znajdowali się w opłakanym

stanie. Odzież zwisała w strzępach. Ciało mieli obolałe i poranione od więzów. Twarze oblepione brudem, włosy na głowie i brodzie skołtunione. Mieli zapadnięte policzki, a oczy cofnięte w głąb oczodołów — wymowne świadectwo przebytego głodu, pragnienia i innych cierpień.

Do nich przyprowadzono nowych jeńców. Podczas marszu Marcin szepnął do Grubego Jemmy'ego:

— Dokąd wódz nas prowadzi? Może do ojca?

— Być może. Ale na miłość Boską, nie zdradź się, że go znasz, jnaczej wszyscy będziemy zgubieni!

— Tutaj leżą schwytni biali — rzekł wódz. — Ciężki Mokasyn nie zna dobrze ich języka, nie wie zatem, kim są. Biali mężowie mogą do nich podejść i porozmawiać, a potem powiedzą mi co usłyszeli.

Zaprowadził jeńców do kąta. Jemmy wystąpił co prędzej naprzód i rzekł po niemiecku:

— Sądzę, że znajduje się tu niedźwiedziarz Baumann. Na Boga, niech pan się nie zdradzi, że poznał pan swego syna, który stoi tu za, mną. Przyszliśmy, aby was uratować, ale sami wpadliśmy w ręce Indian. Mimo to mamy pewność, że niebawem wszyscy razem będziemy wolni. Czy wymieniliście nazwiska temu łotrowi?

Baumann nie odpowiedział od razu. Oniemiał wprost na widok syna. Dopiero po chwili z wysiłkiem wykrztusił:

— O mój Boże, jaka radość, ale też jaki żal! Siuksowie znają mnie, a także imiona moich towarzyszy.

— Pięknie. Spodziewam się, że nas tutaj zostawią. Wtedy dowie się pan o wszystkim.

Chociaż wódz nie rozumiał ani słowa, wyteżą) słuch. Usiłował z tonu poznać treść rozmowy. Badawczym spojrzeniem obrzucał na przemian Baumann i jego syna. Nadaremnie. Marcin tak nad sobą panował, że nie stracił obojętnego wyrazu twarzy, choć tłumił łzy rozpacz i żalu, które napływały mu do oczu na widok ojca.

— No — zapytał gniewnie rozczarowany wódz — czy jeńcy wymienili swoje nazwiska?

— Tak — odparł Jemmy. — Ale przecież już je znasz.

— Sądziłem, że mnie okłamali. Zostaniecie tutaj!

Cień udanej przychylności znikł z jego twarzy. Skinął na towarzyszących mu wojowników, którzy wypróżnili kieszenie jeńców, po czym związali ich ponownie.

— Wspaniale! — mruknął Davy, widząc, że w kieszeni zostało mu jedynie płótno. —

Winniśmy wdzięczność tym sępom skalnym, że nie pozbawiają nas odzieży.

— Panie Jemmy — szepnął Hobble-Frank — ta historia wcale mi się nie podoba. To jest ten szubrawiec, który mi kiedyś przestrzelił nogę.

Ułożono nowych jeńców przy poprzednich. Wódz oddalił się pozostawiając na straży kilku wojowników.

Nieszczęśni biali nie odważyli się głośno rozmawiać. Szeptali tylko po cichu. Marcin leżał przy ojcu, co pozwalało na powitanie i wymianę paru zdań. Po pewnym czasie przyszedł jakiś Siuks i uwolnił nogi jednego z dawnych jeńców i kazał mu iść za sobą. Jeniec nie mógł normalnie chodzić. Chwiał się i z trudem pokuśtykał za Indianinem.

— Czego od nas chcą? — zapytał Baumann.

— Ma nas wydać — odezwał się Davy. — Na szczęście moi towarzysze nic jeszcze nie zdążyli powiedzieć o pomocy, której się spodziewamy.

— Ale wspomnieli o niej.

— Nic niebezpiecznego. Strzeżmy się tego człowieka, gdy do na wróci. Musimy się przekonać, czy można mu ufać.

Davy miał słuszość. Jeńca zaprowadzono do wodza, który zmierzył go posępnym wzrokiem. Nieszczęsny nie mógł się utrzymać na nogach. Musiał usiąść na ziemi.

— Czy wiesz, jaki los cię czeka? — zapytał wódz.

— Tak odparł zapytany znużonym głosem. — Mówiliście nieraz.

— Śmierci nie unikniecie, najbardziej męczeńskiej śmierci. Doświadczycie najstraszniejszych tortur na cześć grobowca, nad którym zginiecie. Co byś dał, aby uniknąć tortur i uratować życie?

— Czy można je uratować? Co musiałbym zrobić?! — zapytał jeniec. Widać było, że jest bardzo osłabiony i przygnębiony.

— Powiedz prawdę, wtedy daruję ci życie. Czy niedźwiedziarz ma syna?

— Tak.

— Czy jest nim ten młody człowiek, którego schwytaliśmy?

— Tak.

— Kim jest kulawy?

— Towarzyszem niedźwiedziarza, Hobble-Frankiem.

— Postaraj się dowiedzieć, w jaki sposób zetknęli się z Wokkadehem i czy jest tu jeszcze

więcej białych i dokąd zmierzają. Jeżeli dowiesz się tego, odzyskasz wolność. Ale nie zdradź się!

Odprowadzono go z powrotem do jeńców, ułożono na ziemi i związano nogi.

Jeńcy milczeli. Nieszczęsny biały także nie odezwał się ani słówkiem. Nie było mu wesoło na duszy, choć był odważnym mężczyzną. Rozmyślając nad zdarzeniem pojął, że wódz na pewno nie dotrzyma słowa. Zrozumiał, że został oszukany. Nie powinien powiedzieć ani słowa. Im dłużej się zastanawiał, tym bardziej dochodził do wniosku, że nie należy ufać Ciężkiemu Mokasynowi i że stanowczo powinien opowiedzieć Baumannowi, o czym rozmawiał z wodzem.

Niedźwiedziarz przyszedł mu z pomocą. Po upływie dłuższej chwili zapytał:

— No, kolego, czemu zachowuje się pan tak cicho? Do kogo pana zaprowadzono?

— Do wodza.

— Tak też sobie pomyślałem. Czego od pana chciał?

— Powiem szczerze. Chciał wiedzieć, kim są Frank i Marcin. Powiedziałem prawdę, ponieważ przyrzekł mi wolność.

— O biada! To było największe głupstwo, jakie mógł pan palnąć. Ale jak się ma rzecz z wolnością?

— Odzyskam ją, jeśli dowiem się, jak ci panowie spotkali niejakiego Wohkadeha i czy jeszcze inni biali są w tych stronach.

— Tak. I sądzi pan, że opryszek wywiąże się z przyrzeczenia?

— Bynajmniej. Po namyśle doszedłem do wniosku, że chce mnie oszukać.

— Rozumnie pan wnioskuje. A ponieważ jest pan szczerzy, więc wybaczymy panu to gadulstwo. Zresztą, niech pan nie sądzi, że dalibyśmy się podsłuchać. Przejrzeliśmy zamiar wodza i na pewno przy panu nic byśmy nie powiedzieli.

— Ale co mu odpowiem, kiedy mnie znowu wezwie?

— Zaraz pomyślimy — odpowiedział Jemmy. Powie pan, że uratowaliśmy Wohkadeha, kiedy go schwytały Szoszoni i towarzyszyliśmy mu, aby go bezpiecznie zaprowadzić do swoich. Innych białych nigdzie tutaj nie ma. Kiedy spróbuje pana zjednać obietnicami, niech pan nie da się schwytać na wędkę. Prędzej od nas może się pan spodziewać ratunku niż od niego.

Tak załatwiono przykry incydent.

Jeńcy byli tak mocno skrupowani, że więzy wpijały się w ciało. Jedyne możliwe ruch polegał na tym, że mogli się toczyć z jednego boku na drugi. Dzięki temu zresztą Jemmy zbliżył

się do Baumanna, który, leżąc teraz między Marcinem a grubym westmanem, wysłuchał relacji opowiedzianej szeptem i pokrzepił się nadzieją prędkiego oswobodzenia.

Tymczasem wódz zawołał najwybitniejszych wojowników i kazał przyprowadzić Wohkadeha. Wojownicy utworzyli półkole; pośrodku usiadł wódz. Jeniec stanął naprzeciw nich, między dwoma strażnikami, którzy trzymali noże. Był to niewesoły zwiastun dla Wohkadeha. Świadczył, że sprawa przybrała niepożądany obrót.

Oczy wojowników wbiły się ponuro w jeńca. Wódz zaczął:

— Niech Wohkadeh opowie co przeżył od chwili, kiedy się rozstaliśmy.

Wohkadeh spełnił żądanie. Wymyślił bajeczkę, że Szoszoni zauważyli go i schwytali, jednak biali go odbili. Mówił tonem pewnym, przekonywającym, niestety, widział, że nie budzi wiary w słuchaczach.

Gdy skończył, żaden z wojowników nie odezwał się ani słowem. Wódz zapytał:

— Kim są ci czterej biali?

Wohkadeh wymienił najpierw Grubego Jemmy'ego i Długiego Davy'ego i dodał, że to wielki zaszczyt dla Siuksów, że zawitali do nich tak słynni myśliwi.

— A dwaj pozostali?

Wohkadeh nie odczuł zakłopotania. Odpowiedź przygotował wcześniej. Wymienił jakieś nazwisko dla Franka i oświadczył, że Marcin jest jego synem.

Wódz ani drgnął, zapytał tylko:

— Czy Wohkadeh nie wie, że niedźwiedziarz ma syna imieniem Marcin?

— Nie.

— I że mieszka z nim człowiek zwany Hobble-Frankiem?

— Nie.

Wohkadeh zachował spokój zewnętrzny, chociaż zrozumiał, że sprawa jest przegrana. Teraz wódz huknął:

— Wohkadeh jest psem, cuchnącym wilkiem! Czy sądzi, że nie wiemy, iż schwytaliśmy Franka oraz syna niedźwiedziarza? Wohkadeh sprowadził białych, aby odbili jeńców. Podzieli zatem ich los! Zgromadzenie wojowników postanowi dzisiaj przy ognisku, jaką śmiercią ma zginąć Wohkadeh.

Odprowadzono Wohkadeha i przytroczono go do konia, gdyż niebawem trzeba było wyruszyć w drogę. To samo spotkało innych jeńców. Przy Wohkadehu było dwóch strażników,

którzy jednocześnie mieli za zadanie trzymać jeńca z dala od białych.

Żał było patrzeć, jak nieszczęśliwie siedzieli na koniach Baumann i jego pięciu towarzyszy. Gdyby im nie przywiązano nóg do wierzchowców, nie utrzymaliby się na ich grzbietach.

Jemmy szepnął do przyjaciela:

— Cierpliwości, stary! Musiałbym się bardzo mylić, gdyby Old Shatterhand nie był w pobliżu. To, co właśnie zrozumieliśmy, mianowicie to, że jesteśmy głupcami, on wiedział już dziś rano. W każdym razie przybędzie z oddziałem czerwonoskórych. Postarałem się więc, aby wpadli na nasz ślad.

— Jakim sposobem?

— Patrz! Wydarłem sobie kawał sierści z futra i zębami rozerwałem na drobne kawałki. Tam, gdzie leżeliśmy, zostawiłem taki kłak i podczas jazdy opuszczałem od czasu do czasu po kawałeczku. Zostaną na miejscu, bo nie ma wiatru. Gdy Old Shatterhand przyjedzie do tego piekielnego budynku, znajdzie kawałek futra i zrozumie, że podczas takiego upału tylko Jemmy mógł go zostawić. Zacznie szukać, znajdzie pozostałe kłaczki i dowie się w jakim kierunku pojechaliśmy.

Siuksowie nie jechali w stronę rzeki. Dla nich byłaby to droga okrężna. Podążyli na wyżynę o nazwie Grzbiet Słonia, a następnie skierowali się na wprost, do łańcucha gór, dzielących Ocean Atlantycki od Spokojnego.

Gruby Jemmy nie mylił się sądząc, że Old Shatterhand czuwa w pobliżu. Minęły zaledwie trzy kwadransy od zniknięcia Siuksów za wyżyną, gdy Old Shatterhand na czele Upsaroków i Szoszonów przybył z północy drogą, którą utorowały konie pięciu śmiałków.

Jechał na czele wraz z synem wodza Szoszonów oraz mężem leków Upsaroków. Oczy wbił w ziemię. Nie uszedł jego uwadze żaden ślad. Zdumiał go wprawdzie widok szczególnej budowli, ale na pytanie męża leków odparł natychmiast:

— Przypominam sobie. To nie jest dom, ale skała. Byłem już tam i byłbym bardzo zdziwiony, gdyby nasi uciekinierzy nie zajrzeli do wnętrza tego pałacu. To jest... Do licha!

Zeskoczył z konia i zaczął badać twardy, bazaltowy grunt. Natknął się bowiem na trop Siuksów.

— Jechało tędy wielu ludzi i to przed niecałą godziną — rzekł. — Obawiam się, że to byli Siuksowie Ogallalla. Kto mógł ciągnąć tędy w takiej sile jeśli nie oni? Ten dom wygląda

podejrzanie. Rozdzielili się, aby go otoczyć.

Pomknęli galopem naprzód. Otoczyli skałę i Old Shatterhand sam udał się do wnętrza. Poleciał, aby w momencie gdy kilkakrotnie wystrzeli wojownicy pośpieszyli za nim.

Sporo czasu minęło zanim wrócił. Wyraz jego twarzy był poważny i zatroskany.

— Nie możemy tracić ani chwili — oświadczył. — Siuksowie Ogallalla schwytali białych i Wohkadeha i uprowadzili ich przed jakąś godziną.

— Czy aby mój brat wie o tym dokładnie? — zapytał Ogniste Serce.

— Tak. Widziałem ślady i zbadałem je dokładnie. Gruby Jemmy zostawił mi znak i wierzę, że znajdziemy jeszcze sporo takich znaków.

Pokazał strzępek futra znaleziony na podwórzu. Było na nim tylko pięć czy sześć włosków, najlepszy dowód, że pochodził z futra Grubego Jemmy'ego.

— Co zamierza Old Shatterhand? — zapytał czerwonoskóry. — Czy chce jechać w ślad za Ogallalla?

— Tak, i to natychmiast.

— A jeśli wrócimy do Winnetou, czy nie znajdziemy ich równie pewnie nad rzeką Kraterów?

— Tak, spotkalibyśmy ich tam. Ale lepiej będzie wziąć Siuksów w dwa ognie. Musimy zatem jechać w ślad za nimi. A może moi czerwoni bracia są innego zdania?

— Nie! — odpowiedział gniewnie olbrzym. — Cieszymy się, że wpadliśmy na trop Ogallalla. Przywódcą jest Ciężki Mokasyn, a ja z całej duszy pragnę go mieć w swojej garści. Jedźmy!

\* \* \*

Trudno było odczytać ślad i dlatego trzeba było powoli jechać. Grunt stanowiła wulkaniczna masa. O właściwych śladach koni nie mogło być mowy. Jedynie drobne, zmiażdżone kamyki świadczyły o jeźdźcach. Należało zatem wyteżać uwagę. Kawaleczki futra Jemmy'ego, znajdowane od czasu do czasu, bardzo ułatwiały jazdę.

Po pewnym czasie droga skręcała na prawo, a więc na południowy zachód. Oddział dojechał do wyżyny, która dzieliła dwa oceany. Z góry widać było na prawo potoki, które przez Yellowstone i Missouri wpadają do Mississipi, a więc do Zatoki Meksykańskiej, podczas gdy na lewo, w dolinie, wody mknęły ku Snake River, a następnie wpadały do Oceanu Spokojnego.

Teren nie był tak surowy jak poprzednio, ziemia bardziej miękka, strumyki zaś, nie przepojone siarką, zawierały zdrową i świeżą wodę, sprzyjającą rozwojowi roślinności. Coraz więcej było tu trawy, krzewów i drzew. Trop ściganych został odnaleziony i odciskał się znacznie wyraźniej. Niestety, zbliżał się wieczorny mrok. Należało więc popędzić rumaki, aby jak najbardziej wykorzystać pozostawione ślady.

Wreszcie jeźdźcy wjechali na wspomnianą wyżynę. Jazda była ciężka, a nawet niebezpieczna, pomiędzy odłamkami skał i gęstymi krzewami. Zapadł wieczór. Ponieważ należało się trzymać śladu, który był niewidoczny w mroku, więc jeźdźcy musieli urządzić postój.

Dotychczasowe milczenie trwało nadal. Wszyscy mieli uczucie, jak gdyby, znajdowali się w przededniu rozstrzygających wydarzeń.

Nie zapalono ogniska, ponieważ Old Shatterhand stwierdził po tropach, że wrogowie są oddaleni o niecałe dwie mile angielskie. Nie można więc było pozwolić aby Siuksowie spostrzegli ognisko i odkryli pogoń.

Wszyscy zawinęli się w derki i ułożyli do snu. Uprzednio zaciągnięto strażę. Ledwo zajaśniał brzask, ledwo można było odróżnić poszczególne przedmioty, podjęto dalszą jazdę.

Ślady Ogallalla były jeszcze wyraźne. Po godzinie Old Shatterhand oświadczył, że Siuksowie Ogallalla wczoraj nie obozowali. Nie chcieli odpoczywać dopóki nie dotrą do rzeki Kraterów. Nie był to dobry znak. Niestety, ścigający nie mogli wykorzystać rękości swoich rumaków, gdyż roślinność ponownie znikła i zamiast miękkiej ziemi, rozciągał się wulkaniczny, twardy grunt.

Nie można było znaleźć tropu. Old Shatterhand przypuszczał, że Siuksowie Ogallalla nie zboczyli z dotychczasowego kierunku, jechał więc wciąż przed siebie. Przekonał się niebawem, że postąpił słusznie. Wyłoniły się przed nimi wyżyny kraterów, za którymi bez przerwy wrzały słynne gejzery. Flora znów odżywała, a nawet rósł tam las, w którym przeważały ciemne sosny.

Dotarli do wąskiego potoku, który wił się poprzez miękką trawę, wydeptaną przez wiele kopyt. Ślad ciągnął się wzdłuż potoku — łatwo było wywnioskować, że Siuksowie Ogallalla zaprowadzili wierzchowce do wodopoju. A więc szczęśliwie odnaleziono ślady, które odtąd do samej wyżyny były tak wyraźne, że wykluczały pomyłkę.

Droga na górę wiodła pomiędzy drzewami, tak rzadko rosnącymi, że jeźdźcy nie dotykali gałęzi, co ułatwiało jazdę. A jednocześnie taka jazda przez las jest najbardziej niebezpieczna dla



westmana. Za każdym drzewem można było spodziewać się ukrytego wroga.

Także i w tym wypadku Ogallalla mogli przypuszczać, że są ścigani! Zresztą, nie wiadomo było, jakie zeznania zdołali wydusić z nieszczęsnych jeńców, przemocą czy podstępem, i czy w ogóle udało im się wyciągnąć z nich coś ważnego.

Old Shatterhand wysłał więc naprzód kilku Szoszonów, którzy mieli zbadać okolicę i donieść o każdym podejrzanym śladzie.

Na szczęście ta przezorność okazała się zbyt duża, a to dzięki układowi między Grubym Jemmy'm a badanym przez wodza jeńcem.

Ponieważ jeńcy, z wyjątkiem Wohkadeha, w myśl podstępnych zamiarów wodza, jechali razem, więc mogli się ze sobą porozumiewać. Działo się to za cichą zgodą Ciężkiego Mokasy, który sądził, że jego rzekomy szpieg zasięgnie tą drogą wyczerpujących wiadomości. Zgodnie z tym wieczorem wódz w dyskretny sposób kazał przyprowadzić go do siebie i zaczął wypytywać. Tym razem został całkowicie oszukany, dzięki czemu nie zarządził żadnych środków ostrożności.

A zatem Old Shatterhand wjechał na wyżynę nie napotykając po drodze żadnej przeszkody. Rósł tu gęsty, wysoki las, który zasłaniał widok na przeciwległą dolinę, mimo że ściana skalna zdawała się opadać dość stromo.

Jeźdźcy wjechali między drzewa, usłyszeli po chwili szczególny, stłumiony szmer, przerywany przeraźliwym gwizdem, po którym nastąpił groźny syk, jak gdyby syk pary wypuszczanej z lokomotywy.

— Cóż to takiego? — zapytał zdumiony Moh-Aw, syn wodza Szoszonów.

— To war-p'eh-pejab<sup>[75]</sup> — odpowiedział Old Shatterhand.

Teraz teren opadał najpierw powoli, a potem coraz raptowniej, tak, że niełatwo było się utrzymać w siodle. Dlatego jeźdźcy zeskoczyli z koni i ruszyli pieszo, prowadząc za sobą wierzchowce.

Ślady Ogallalla były jeszcze widoczne, chociaż pochodziły z poprzedniego dnia. Kilkaset stóp niżej las kończył się wyraźną krechą. Ale z boku sięgał do samej doliny, która była teraz widoczna. Przed oczami jeźdźców rozciągał się fantastyczny widok.

Górna dolina Madisonu, znanego tu pod wymowną nazwą rzeki Kraterów, stanowi najbardziej godne podziwu miejsce w Parku Narodowym Yellowstone.

Na wiele mil długie i miejscami na dwie, trzy mile szerokie, zawiera setki gejzerów, z

których wytryski sięgają nieraz setki metrów w górę. Zapach siarki bucha z licznych szczelin, a powietrze jest zawsze pełne gorącej pary.

Śnieżnobiała zendra<sup>[76]</sup> stanowiła powłokę, błyszczała jaskrawo w promieniach słonecznych. Gdzie indziej znów grunt stanowił gęsty, cuchnący szlam o różnej temperaturze. Tu i ówdzie ziemia raptownie podnosi się, powoli wzdyma niby pęcherz i pęka, zostawiając obszerną, bezdenną dziurę, z której wydostają się kłęby pary tak wysoko, że ćmi się w oczach. Takie pęcherze powstają raz w tym miejscu, raz w innym. Biada śmiałkowi, który stanie na takiej ziemi! Dopiero co miał pod nogami twardy grunt, który teraz zaczyna się rozgrzewać i podnosić. Tylko ryzykowny, rozpaczliwy skok, tylko natychmiastowa, najszybsza ucieczka może go uratować.

Uniknąwszy jednego pęcherza, widzi przed sobą i dokoła siebie drugi, trzeci. Stoi bowiem na bardzo cienkiej skorupie, która, jak wąż pajęczyna, zakrywa przeraźliwe głębie ziemi.

Biada także nieszczęsnemu, który wspomniany szlam z dala przyjmuje za twardy grunt! Wygląda przecież jak bagnista ziemia, po której można chodzić. W rzeczywistości utrzymuje go jedynie ciśnienie wulkanicznej pary.

Wszędzie grunt cofa się w głąb pod nogami, natomiast ślady wypełniają się natychmiast zielonkawo żółtą, cuchnącą, piekielną cieczą.

Wszędzie gotuje się, kotłuje, wrze, gwizdże, syczy, jęczy i szumi. W powietrzu rozpryskują się strumienie wody i szlamu. Jeśli rzuci się kamień do takiego nagle powstałego i szybko znikającego otworu, to ma się wrażenie, że zostały obrażone duchy podziemia. Woda i szlam wpadają w straszliwy, naprawdę piekielny szal. Wznoszą się, przelewają przez brzegi, jak gdyby chciały porwać przestępcę w przerażającą paszczę zagłady.

Woda w takim kotle jest różnie zabarwiona, biała jak mleko, czerwona, niebieska, żółta, czasami przejrzysta jak szkło. Na powierzchni widać białe, wielkie jedwabiste włókna lub gruby, ołowiany szlam, który powleka każdy przedmiot powłoką trwałą na parę minut i grubą na parę cali.

Zdarza się, że woda w takich dziurach błyszczy wspaniałą zielenią. Nagle z boku pojawiają się małe wentyle i oto w zielonej wodzie strzelają promienie wszystkich kolorów tęczy. Jest pięknie, niezrównanie, a za chwilę znów wstrząsająco, przeraźliwie, piekielnie...

Do takiego miejsca przybył Old Shatterhand ze swoimi towarzyszami i schowany za

krzewami oglądał te osobliwości i potęgę natury.

Szerokość doliny wynosiła pół mili angielskiej. Powyżej miejsca, gdzie zatrzymał się Old Shatterhand, brzegi schodziły się tak blisko, że rzeka ledwie mogła toczyć swe brudne, złośliwie błyskające fale. Poniżej było tak samo. Odległość od jednej cieśniny do drugiej wynosiła nie więcej niż milę angielską.

Ponieważ do rzeki wpadały gorące strumienie, posiadała wysoką temperaturę, zabójczą dla fauny. Szumiała przy zalesionej ścianie doliny, która była dość stroma, chociaż dostępna. Natomiast przeciwną ścianą wznosiła się pionowo w górę. Stanowiła ją czarna, najeżona naturalnymi wieżami skała, która zakreślała łuk od jednej cieśniny do drugiej. Mimo tej krzywizny dolina nie stawała się wcale szersza, gdyż z ciemnej skały zwisał twór kamienny, którego szeroka podstawa sięgała niemal do samego brzegu rzeki.

Ten twór — trudno jest znaleźć lepsze wyrażenie — był tak zdumiewający, tak niepojęty na pierwszy rzut oka, że wydawał się zakątkiem zaczarowanego królestwa, gdzie nimfy, elfy i inne — fantastyczne istoty wiodły tajemne życie.

Był to twór ukształtowany w formie tarasów, tak delikatnie rozczłonkowany i tak finezyjnie ozdobiony, jakby składał się z najwyszukańszych kryształków śniegu.

Dolny, najobszerniejszy taras, był jak gdyby rżnięty z najszlachetniejszej kości słoniowej. Brzeg posiadał ozdoby, arcydzieła godne mistrza o bogatej wyobraźni. Półkolisty, napełniony wodą, stanowił miednicę, nad którą unosił się drugi taras, błyszczący jak alabaster o złotych ziarenkach. Miał on mniejszą średnicę. Jeszcze mniejszą miał trzeci, wydawało się, że jest wzniesiony z białej, delikatnie potarganej waty, zgrabny i wysmukły.

Materiał, z którego składał się ten taras, był tak powiewny i eteryczny, że nie mógłby utrzymać najmniejszego ciężaru. A jednak nad nim wznosiło się jeszcze sześć podobnych tarasów, z których każdy stanowił jak gdyby miednicę, do której wlewała się woda bezpośrednio z wyższego tarasu i zlewała się do niższego — cienkimi, strojnymi strumykami, mglista, tęczową kurzawą wodną lub szerokimi tryskami, tworzącymi cudowne, faliste welony.

Ten godny podziwu twór przylegał tak zgrabnie, tak migotliwie i błyszcząco do ciemnego głazu, jakby był suknią jakiejś istoty z zaświatów. Jednak tę suknię utkały te same ręce, które najeżyły groźnie czarne, bazaltowe wieżyce i wydzwignęły z łona ziemi wulkany roztopionego szlamu.

Trzeba było tylko spojrzeć na wierzchołek zadziwiającej piramidy, aby zdać sobie sprawę

z dziejów jej powstania. Tryskał tam wysoki strumień wody, który w górze rozlatywał się tęczowo i spadał barwną ulewą. Słychać było przy tym ten poszum, którego Moh-Aw poprzednio nie mógł zrozumieć. Za poszumem szły gwizdzące, syczące, jęczące pary i zdawało się, że ziemia pęknie od ich naporu.

To właśnie wody gejzeru zbudowały tę wspaniałą piramidę. Delikatne, lekkie okruchy, które woda unosiła w górę, spadając osiadały i wciąż jeszcze zasilają dzieło zdobienia. Gorące strumienie spadały z jednego tarasu na drugi i chłodząc się powoli, tworzyły baseny o coraz niższej temperaturze. Na dole wreszcie krystaliczny płyn przelewał się przez brzegi basenu i wpadał następnie do rzeki Kraterów.

Jak diabeł przy aniele, stał przy tej pięknej piramidzie ciemny, obszerny, prawie okrągły twór o niechlujnym wyglądzie. Stanowił wał z mocnej masy, wał, na którym wznosiły się najrozmaitsze kształty szczątków wulkanicznych. Wyglądało to tak jakby jakieś dziecko z rodu olbrzymów bawiło się głazami bazaltu i wyłamywało je w najdziwniejsze formy, aby przymocować do okrągłego wału.

Średnica tego wału wynosiła dwadzieścia metrów i stanowiła naturalne obramowanie otworu, którego ziejąca ciemna paszcza nie obiecywała nic dobrego.

To był krater wulkanu. Zwężając się do wewnątrz, nagle na pewnej głębokości się rozszerzał. Oglądany z góry miał kształt dwóch lejków połączonych ostrymi końcami.

Gdy zaczynał szumieć i szemrać bajeczny gejzer, podnosiła się również lava w pobliskim ciemnym kraterze. A kiedy na górze strumień wody rozpryskiwał się i opadał, zaczynała także spadać roztopiona lava, unaoczniając podziemny związek między gejzerem a wulkanem. Tak to duchy podziemne rozdzielały gorące masy, wypełniając krystaliczną wodą gejzer, a odcedzone resztki wyrzucając przez krater.

— To P'a-wakon-tonka — Diabla Woda — rzekł Old Shatterhand wskazując na krater.

W pobliżu brzegu krateru obozowali Ogallalla. Wyraźnie ich było widać. Można było nawet odróżnić poszczególne twarze. Konie biegały dokoła lub leżały na ziemi pozbawionej trawy. Niedaleko leżały cetnarowe głazy. Na nich siedzieli jeńcy, każdy na osobnym. Związano im ręce na plecach, a nogi przywiązano lassami do głazów, co sprawiało im dotkliwe cierpienia.

W chwili, gdy Old Shatterhand skierował uwagę na Siuksów Ogallalla, zauważył, że zaczęli się skupiać wokół wodza, który siedział pośrodku.

Old Shatterhand widział Grubego Jemmy'ego, Długiego Davy'ego, Marcina, Hobbles-

Franka i sześciu pozostałych. Wohkadeh był przywiązany do bardziej oddalonego kamienia, w położeniu szczególnie męczącym. Do niego właśnie podszedł jakiś Siuks, odwiązując go i przyprowadził przed zgromadzenie wojowników.

— Chcą go przesłuchać — rzekł Old Shatterhand. — Być może zamierzają go od razu ukarać. Ach, jak bym chciał usłyszeć ich rozmowę!

Wyjął lunetę z torby i skierował ją na Siuksów. Teraz rozwiązano także Marcina Baumanna i postawiono obok Wohkadeha. Old Shatterhand widział dokładnie twarze, a nawet drżenie warg.

Wódz przemawiał do Marcina wskazując ręką na krater. Old Shatterhand zauważył, że Marcin śmiertelnie zbladł. W tym samym czasie rozległ się przeraźliwy krzyk, jaki wydostaje się z ludzkiego gardła tylko w chwilach największego przerażenia. To krzyknął jeden z jeńców, ojciec Marcina. Old Shatterhand widział, jak niedźwiedziat ze wszystkich sił szarpie więzami. Słowa wodza musiały być bardzo okrutne...

Siuksowie Ogallalla przybyli dopiero poprzedniego dnia na wyżyny rzeki Gejzeru. Wojownicy sądzili, że Ciężki Mokasyn zdecyduje się na postój pod drzewami lasu, ale stało się inaczej. Mimo ciemności i uciążliwej drogi wódz postanowił przeprowić się przez rzekę.

Znał teren. Był tu już wielokrotnie i w Jego mózgu narodziła się myśl mroczniejsza i posępniejsza od samego krateru, co w mroku nocy wznosił i opuszczał swoją roztopioną magmę.

Idąc na czele i prowadząc konia za uzdę, pokazywał swoim drogę. Jeńcy także musieli zjechać na dół, co nastęczało wielkich trudności, ponieważ wódz nie pozwolił ich odwiązać od wierzchowców. Wreszcie oddział dotarł do brzegu. W tym miejscu rzeka nie była gorąca, tylko ciepła. Można było się przeprowić bez trudności. Dwóch Siuksów otaczało konia każdego jeńca.

Siuksowie i jeńcy zatrzymali się przy kraterze. Jeńców przywiązano do głazów i rozstawiono strażników. Potem wojownicy ułożyli się do snu, nie wiedząc czemu wódz wybrał miejsce tak cuchnące, pozbawione trawy i wody dla rumaków.

O świcie zaprowadzono konie do wodopoju, znanego wodzowi. Po powrocie Siuksowie zjedli posiłek, na który składało się bawole mięso. Ciężki Mokasyn półgłosem wyjaśnił swoim ludziom co postanowił w sprawie Wohkadeha i młodego Baumanna. Powszechnie już uważano Wohkadeha za zdrajcę.

Ostatni Mandana przyznał się wprawdzie do winy, ale sprawa jego była stracona. Wcale Siuksów nie wzruszał fakt, że niewinnego Marcina miał spotkać taki sam los co Wohkadeha.

Wszyscy jeńcy byli skazani na śmierć, a więc im większa będzie jej różnorodność — tym większa radość dla patrzących.

Najpierw trzeba napawać się torturą, którą sprawia oznajmienie wyroku. W tym celu utworzono koło i na początek przyprowadzono Wohkadeha. Mówiono głośno, aby słyszeli także inni jeńcy, rozumiejący narzecze Siuksów.

— Czy Wohkadeh się rozmyślił? Czy nadal będzie się wypierał, czy też wyzna wszystko?  
— zapytał wódz.

— Wohkadeh nie zrobił nic złego i dlatego nie może nic wyznać — odparł zapytany.

— Wohkadeh kłamie! Gdyby wyznał prawdę, wyrok na niego byłby łagodniejszy.

— Mój los będzie jednakowy, czy jestem winny, czy też nie. Muszę umrzeć.

— Wohkadeh jest młody. Młodość miewa krótkie myśli. Nie wie, co czyni. Jesteśmy gotowi uwzględnić twoją młodość. Ale kto zbłądził, ten musi być szczery!

— Nie mam nic do powiedzenia!

Wódz uśmiechnął się ironicznie i rzekł:

— Wohkadeh jest tchórzem. Boi się. Ma dosyć odwagi, aby źle czynić, ale nie dość, aby się przyznać. Wohkadeh, mimo młodości, jest starą babą, która wyje wniebogłosy, kiedy ukąsi ją mucha!

Dla Indianina miano tchórze jest największą zniewagą, którą natychmiast trzeba odeprzeć dowodami męstwa. Przywykły od dzieciństwa do wysiłków, niedostatków i wszelkich cierpień, Indianin nie zwraca uwagi na niebezpieczeństwo śmierci. Jest bowiem przekonany, że zaraz po śmierci dostanie się do Wiecznych Ostępów. Ledwo więc wódz rzucił obelgę, Wohkadeh odezwał się:

— Zabiłem białego bawołu! O tym wiedzą wszyscy Siuksowie Ogallalla!

— Ale nikt nie był przy tym! Przyniosłeś skórę, to jedyne, co wiemy. Po prostu biały bawół zdechł na prerii. Wohkadeh znalazł go, zdjął skórę, mówiąc, że własnoręcznie zabił bawołu.

— Oszczerstwo! Zdechły bawół nie leży na prerii. Pożerają go sępy i kojoty!

— A właśnie tym kojotem ty jesteś!

— Uff! — ryknął Wohkadeh szarpiąc więzy. — Gdybym nie był skrepowany, pokazałbym, kto jest kojotem, ja czy ty!

— Już pokazałeś. Jesteś tchórzem, gdyż boisz się wyznać prawdę.

— Nie wypierałem się ze strachu, ale przez wzgląd na towarzyszy.

— Uff! A więc przyznajesz się do winy? Opowiedz wszystko!

— Mogę opowiedzieć w krótkich słowach! Udałem się do wigwamu niedźwiedziarza, aby zawiadomić przyjaciół o nieszczęściu. Następnie wyruszyliśmy, aby uwolnić niedźwiedziarza.

— Kto?

— My pięciu. Syn niedźwiedziarza, Jemmy, Davy, Frank i Wohkadeh.

— A Wohkadeh bardzo polubił białych?

— Tak. Każdy z tych białych jest więcej wart niż stu Ogallalla.

Wódz potoczył wzrokiem po wojownikach, z radością stwierdzając wrażenie, jakie wywarły na nich ostatnie słowa Wohkadeha. Po czym zapytał:

— Czy wiesz, co cię spotka za te słowa?

— Tak. Zabijecie mnie!

— Tysiącem tortur!

— Nie boję się niczego.

— Zaczną się już teraz. Przyprowadźcie syna niedźwiedziarza!

Old Shatterhand widział jak przyprowadzono Marcina i postawiono go obok Wohkadeha.

— Czy słyszałeś i zrozumiałeś co powiedział Wohkadeh? — zapytał wódz.

— Tak.

— Sprowadził was, żebyście uwolnili jeńców. Pięć myszy wyruszyło, aby pożreć pięćdziesięciu niedźwiedzi. Szaleństwo odebrało wam rozum!

— Uważacie się za niedźwiedzi? — zawołał Marcin. — Jesteście tchórzliwymi sępami, które chowają się wśród skał!

— Pożałujesz tych słów! Obaj umrzecie, i to natychmiast!

Oglądał ich badawczo, aby wyczytać wrażenie z twarzy. Wohkadeh zachowywał się tak, jak gdyby tych słów nie usłyszał, natomiast Marcin, chociaż ze wszystkich sił starał się nie okazać trwogi, zbladł.

— Ciężki Mokasyn widzi, że jesteście serdecznymi przyjaciółmi — rzekł szyderczo wódz. — Pozwoli więc wam umrzeć razem. Wspólnie zakosztujecie słodczy powolnej śmierci. Ponieważ wasza przyjaźń jest naprawdę wyjątkowa, więc w sposób równie wyjątkowy wejdziecie do Wiecznych Ostępów.

Podniósł się, wyszedł z koła i stanął przy kraterze.

— Oto wasz grób! — rzekł. — Niebawem was przyjmie!

Wskazał na otchłań, z której wydzielaly się cuchnące opary.

Wszyscy pojęli w jaki sposób mieli zginąć obaj młodzieńcy.

Ojciec Marcina krzyknął tak przeraźliwie, że Old Shatterhand i jego towarzysze usłyszeli ten rozpaczliwy krzyk. Od pierwszej chwili niewoli nie zdradził się ani słowem, ani gestem, jak nieszczęśliwy się czuje. Duma wiązała mu usta. Teraz jednak, słysząc co grozi jego synowi, stracił panowanie nad sobą.

— Nie, tylko nie to! — krzyknął. — Wrzucie mnie do krateru, mnie, ale nie jego, nie jego!

— Milcz! — huknął wódz. — Wyłbyś z przerażenia, gdybyś dostał takiej śmierci!

— Nie, nie usłyszałbyś ani dźwięku, ani jednego!

— Już teraz będziesz wył, kiedy opiszę ci tę śmierć. Czy sądzisz, że twojego syna i tego zdrajcę stracimy po prostu w otchłań krateru? Mylisz się bardzo! Magma wznosi się i opada w równych odstępach czasu. Zwiążemy zdrajcę i twojego syna lassami i spuścimy do krateru tak głęboko, aby magma dochodziła im tylko do stóp. Podczas przepływu magma dosięgnie kolan. Będą się pogrążyć coraz głębiej i ich ciała będą się gotować od dołu w roztopionej magmie. Czy jeszcze teraz pragniesz ponieść śmierć przeznaczoną dla syna?

— Tak, tak! — odpowiedział Baumann. — Wrzucie mnie zamiast jego!

— Nie! Ty skończysz razem z innymi nad grobem wodza przy palu męczeńskim. A tymczasem przyjrzyj się torturom syna!

— Marcinie, Marcinie, synu mój! — krzyknął zrozpaczony niedźwiedziarz.

— Ojczy, ojczy! — zawołał Marcin z trwogą.

— Milcz! — rzekł Wohkadeh. — Umrzemy nie ciesząc tych psów wyrazem bólu na naszych twarzach.

Baumann szarpnął więzami, z tym jedynie skutkiem, że jeszcze głębiej wpiły mu się w ciało.

— Czy słyszysz jak wyje i lamentuje? — krzyknął wódz. — Milcz i raczej ciesz się, bo zobaczysz wszystko dokładniej niż my, Odwiążcie jeńców od głazów i przywiążcie ich do koni, aby siedzieli wysoko i mogli się lepiej przyglądać! A obu chłopców skrępujcie dobrze i zanieście do otchłani zagłady!



Rozkaz wykonano natychmiast. Wielu Siuksów Ogallalla otoczyło Wohkadeha i Marcina, aby ich zanieść do krateru. Pozostałych jeńców wsadzono na konie.

Baumann zacisnął zęby, by nie krzyknąć z rozpacz.

— To straszne! — jęknął Davy zwracając się do przyjaciela. — Na pewno nadejdzie pomoc, ale za późno dla obu odważnych chłopców. My dwaj ponosimy winę za ich śmierć. Nie powinniśmy zgodzić się na tę wyprawę!

— Masz słuszość i... posłuchaj!

Rozległ się krzyk sępa. Ogallalla nie zwrócili na niego uwagi.

— To znak Old Shatterhanda! — szepnął Jemmy. — Mówił o tym i pokazał jak naśladuje krzyk sępa.

— Boże Wielki! Oby tak było naprawdę!

— Oby Bóg dał, abym miał rację. Jeśli trafnie przypuszczam, Old Shatterhand pojechał w ślad za nami... Spójrz na skraj lasu! Czy nic nie widzisz?

— Tak, tak! — potwierdził Davy. — Jedno drzewo się porusza. Widzę, jak się trzęsie korona! Nie ma wiatru, a więc tam są ludzie!

— Teraz i ja widzę. Ale nie przyglądaj się, aby Ogallalla nie zaczęli czegoś podejrzewać! I zawołał głośno po niemiecku w kierunku krateru:

— Nie upadaj na duchu, Marcinie! Pomoc jest blisko! Dopiero co nasi przyjaciele dali znak!

Nie wymienił imienia, aby Ogallalla nie zrozumieli.

— Czemu wyje ten pies! — złościł się wódz. — Czy również ma ochotę ugotować się w magmie?

Jednak na szczęście skończyło się na pogróżce.

Jeńcy byli tak blisko siebie, że mogli porozumiewać się szeptem. Związano im ręce na plecach. Nogi skrępowano rzemieniami przeciągniętymi pod brzuchami wierzchowców.

— Ty, Davy! — szepnął Jemmy. — Nasze konie nie są trzymane za cugle, jesteśmy więc na pół wolni. Czy mógłbyś, mimo pęt, zmusić do posłuszeństwa swego starego muła?

— Nie obawiaj się! Ścisnę go nogami z całej siły. Mój stary kłusak też będzie posłuszny. Stój!... O Boże! Pomoc przybywa zbyt późno... zbyt późno!

W tej bowiem chwili grunt pod nogami zaczął drżeć, z początku powoli, a potem coraz gwałtowniej i z głębi ziemi rozległy się dalekie grzmoty. Wulkan rozpoczął swą działalność.

Wprawdzie już poprzedniego wieczora konie przywykły do tego drżenia ziemi, ale ponieważ miały na sobie jeźdźców, więc zaniepokoiły się bardzo.

Wódz poprzednio pochylił się nad brzegiem otchłani i spuścił lasso, żeby zmierzyć jak głęboko należy umieścić obu skazańców. Potem przymocowano lassa do krawędzi krateru, a drugimi końcami związane Marcina i Wohkadeha w ten sposób, aby dokładnie sięgnęli wyznaczonej głębokości.

Indianie w momencie kiedy poczuli drżenie ziemi, czym prędzej się cofnęli. Przy kraterze pozostali tylko dwaj, aby spuścić obu jeńców, gdy tylko magma zacznie się podnosić. Były to chwile denerwującego oczekiwania.

A Old Shatterhand? Czemu się nie zjawiał?

Westman w tej chwili z największym skupieniem patrzył na ruchy Siuksów Ogallalla, Kiedy zobaczył, jak przyprowadzono Wohkadeha i Marcina na brzeg otchłani, zrozumiał wszystko od razu.

— Zamierzają ich powoli spuścić do krateru! — rzekł do Indian. — Musimy natychmiast jechać z pomocą. Szybko! Jedźcie pod ukryciem drzew do miejsca, gdzie rzeka przepływa przez las. Ruszajcie stamtąd kłusem i dalej pędźcie galopem. Wyjcie potem na całe gardło i z całych sił wpadnijcie na Ogallalla.

— Czy ty z nami nie pojedziesz? — zapytał olbrzymi wódz Upsaroków.

— Nie. Nie powinienem. Muszę zostać tutaj i uważać, aby przed waszym nadejściem nikomu z naszych nie stało się nic złego. Pędźcie szybko! Nie można marnować ani chwili!

— Uff! Naprzód!

Po chwili Szoszoni i Upsarokowie zniknęli. Czarny Bob został przy Old Shatterhandzie, który mu rozkazał:

— Chodź tu! Złap tę sosnę. Potrząśniemy!

Westman przyłożył rękę do ust i wydał sępi okrzyk, który usłyszeli jego przyjaciele i Długi Davy., Widział, jak spoglądają w górę, wiedział więc, że sygnał dotarł do celu.

— Po co potrząsać drzewem? — zapytał Bob.

— Trzeba dać im sygnał. Siuksowie zamierzają Wohkadeha i twojego młodego pana wrzucić do krateru. Leżą już obaj skrępowani na brzegu otchłani.

Murzyn ze strachu wypuścił strzelbę.

— O, o, chceć pana Marcina zabić? To nie być, to nie może być! Pan Bob nie pozwolić!

Pan Bob wszystkich zabić, wszystkich! Bob wprost pędzić! — i pobiegł co tchu w piersiach.

— Bob, Bob! — krzyknął Old Shatterhand. — Wróć, wróć! Wszystko popsujesz!

Ale Murzyn nie zwracał uwagi na wołanie westmana. Opanowała go bezmierna wściekłość. Zamierzano zabić jego młodego pana! Nie pomyślał nawet o tym, że wypadła mu z rąk strzelba, pragnął tylko jak najprędzej dostać się do Marcina. Jako dobry pływak wiedział, że aby wylądować na przeciwległym brzegu, należy się zanurzyć powyżej tego miejsca. Nie pobiegł więc wprost do wody, ale pomknął wśród drzew w górę rzeki i niebawem wyłonił się z lasu.

Do wody prowadziła ścieżka na stromej, czarnej, gładkiej skale. Bob usiadł i odważnie ześliznął się w pokrytą gęstą szumowiną wodę. Uderzył o coś twardego. Była to gruba gałąź zahaczona o brzeg.

— Oho! — ucieszył się Murzyn. — Pan Bob nie mieć strzelby. Gałąź być maczuga!

Wyrwał gałąź z dna i zaczął ją szybko oczyszczać.

Ogallalla nie spostrzegł odważnego Murzyna. Na czarnej skale trudno było dostrzec jego nie mniej czarne ciało. Tak samo w wodzie głowa Boba i jego ramiona nie bardzo się odróżniały od brudnej powierzchni. Ogallalla zresztą przyglądali się wyłącznie kraterowi.

Gdy zaczęło się podziemne drzenie i grzmoty, Old Shatterhand ujrzał swych indiańskich sojuszników mknących ku wodzie. Należało działać. Postawił sztucer przy drzewie, za którym stał i przyłożył do ramienia dwururkową, ciężką, dalekonośną niedźwiedziówkę.

Ogallalla odsunęli się od krateru. Tylko dwóch, jak nadmieniliśmy, pozostało przy jeńcach.

Wódz podniósł rękę. Old Shatterhand nie usłyszał, czy wódz wydał rozkaz, gdyż podziemne poszumy stawały się coraz głośniejsze. Ale wiedział dobrze, co pociągnie za sobą skinienie wodza męczeńską śmierć Marcina i Wohkadeha.

Przyłożył strzelbę do policzka. Niedźwiedziówka dwukrotnie wypaliła. Ogallalla nie mogli usłyszeć huku wystrzału, bo zagłuszyły go piekielnie huczące i szybko następujące po sobie grzmoty.

— Spuścić ich! — ryknął wódz Ogallalla i podniósł rękę.

Dwaj Indianie, którzy mieli wykonać rozkaz, zbliżyli się o parę kroków do leżących na ziemi jeńców. Ojciec Marcina wydał okrzyk trwogi, który głucho przebrzmiał w straszliwym zgiełku.

Ale cóż to się nagle stało? Obaj kaci nie tylko się pochyłili, aby podnieść jeńców, ale

runęli przy nich i pozostali nieruchomo na miejscu.

Wódz ryknął coś, czego nie sposób było dosłyszeć, gdyż woda i para z poświstem wrywały się z gejzeru, a z głębin krateru zaczęły się rozlegać głuche odgłosy, podobne armatnim wystrzałom.

Ciężki Mokasyn dobiegł do brzegu wulkanu, pochylił się nad swoimi ludźmi i uderzył ich pięścią. Nawet nie drgnęli. Chwycił jednego z nich za ramiona i uniósł do połowy. Zobaczył w głowie Indianina ślad po kuli. Przerażony opuścił wojownika i podniósł się czym prędzej. Twarz wodza wykrzywił grymas trwogi.

Ogallalla nie mogli pojąć zachowania się Ciężkiego Mokasyna i obu wojowników. Zbliżyli się do nich, niektórzy pochylili się nad zabitymi i natychmiast cofnęli ze zgrozą.

A do tego przyłączyło się coś jeszcze okropniejszego. Syk i świst gejzeru umilkł już prawie zupełnie i przestał zagłuszać inne dźwięki. Z rzeki natomiast rozległ się teraz wyraźnie wściekły ryk. Oczy wszystkich Ogallalla zwróciły się w tym kierunku i zobaczyły czarną, olbrzymią postać potrząsającą wielką, mocną gałęzią. Z tej niesamowitej postaci kapłała brudna, zielonożółta szumowina. Oplatały ją splecione wodorosty i na pół zgniłe sitowie.

Dzielny Murzyn, który musiał się przedrzeć przez prawdziwą płataninę roślinności, nie zadał sobie trudu pozbycia się tej ozdoby. Wyglądał więc jak pozaziemskie, fantastyczne stworzenie. Jeśli dodamy do tego jego ryki, wywracające się gałki oczne, jego potężne, błyszczące uzębienie — to chyba trudno się dziwić, że Ogallalla w pierwszej chwili zdrętwieli z przerażenia. W następnej chwili Bob wpadł na nich, rycząc i wywijając maczugą jak prawdziwy Herkules. Cofali się przed tym groźnym zjawiskiem. A Murzyn przebił się przez gromadę i wpadł na wodza.

— Pan Marcin! Gdzie być dobry, miły pan Marcin? — zawołał. — Tu pan Bob, tu, tu! Zniszczyć wszystkich Siuksów Ogallalla! Zmiażdżyć wszystkich dużo Ogallalla!

— Hura! To Bob! — krzyknął Davy. — Zwycięstwo! Hura, hura!

Tymczasem rozległo się wielogłose wycie, okrzyk wojenny Indian. Polegał on na przeraźliwym, ogłuszającym dźwięku "Iiiiiiiiiih!" przy jednoczesnym trelowaniu i uderzaniu się po wargach.

Ten dobrze znany i zapowiadający niebezpieczeństwo okrzyk wyrwał Ogallalla z odrętwienia. Niektórzy zerwali się z miejsc i skoczyli do rzeki, skąd rozległo się wycie. Ujrzeni Upsaroków i Szoszonów pędzących jak wichry. Ogallalla potracili głowy. Nie zdołali nawet

policzyć wrogów. Niepojęta śmierć obu wojowników, nagle zjawienie się czarnego szatana wywijającego maczugą i teraz znów galop wrogich Indian — to wszystko wystarczająco wystraszyło Siuksów Ogallalla.

— Uciekać, uciekać! Ratuj się kto może! — wrzeszczeli i rzucili się do rumaków.

Jemmy ścisnął kolanami swego starego kłusaka.

— Uwolnijcie się! Prędko na spotkanie zbawców! — zawołał głośno.

I już jego długonożny kłusak pędził, a za nim galopował muł z Długim Davy'm. Rumak Franka, bez najmniejszej zachęty ze strony jeźdźca, pomknął również co koń wyskoczy. Trzęsienie ziemi, postać Boba, ryki wojenne podnieciły wierzchowce do takiego stopnia, że żaden Siuks nie mógł ich zatrzymać.

Czy naprawdę żaden? A jednak znalazł się taki — był nim wódz Hang-peh-te-keh. Otrzymał od Boba tak potężny cios, że zwałił się na ziemię. Na jego szczęście Murzyn nie obdzielił go drugim o podobnej sile, bo byłoby to już śmiertelne uderzenie. Ujrawszy bowiem swego pana na ziemi, ukląkł nad nim i zapominając o całym świecie, zajął się dzielnym chłopcem.

— Mój dobry, dobry pan Marcin! — wołał wierny Murzyn. — Tu być mężny pan Bob! Szybko odciąć rzemienie pana Marcina!

Wódz podniósł się i wyciągnął nóż, aby zabić Murzyna, ale w tym momencie usłyszał wycie wrogów. Zobaczył, że jego wojownicy bezładnie rzucili się do ucieczki, a jeńcy korzystając z zamieszania ruszyli w kierunku nadchodzącej odsieczy.

Zrozumiał, że on także będzie zmuszony uciec. Czy teraz ma się wyrzec wszystkiego? O, nie. W jednej chwili Ciężki Mokasyn znalazł się w siodle. Co za szczęście, że jego wojownicy przymocowali strzelby do siodeł! Skierował się ku niedźwiedziarzowi, którego rumak stanął dęba. Szybko złapał konia za cugle, krzyknął przeraźliwie, aby rozpędzić swego rumaka i pomknął wzdłuż wybrzeża pociągając za sobą wierzchowca, a na nim związanego niedźwiedziarza.

\* \* \*

Ogallalla byli przekonani, że wybrzeże w górnej części jest wolne. Jeżeli uda się dotrzeć do grobowca wodza, to będą mieli naturalną osłonę nawet wobec wielokrotnie silniejszego wroga. Wkrótce się przekonali, że są w błędzie...

A poprzedniego dnia rano Old Shatterhand prosił Winnetou, aby z resztą wojowników pojechał do Paszczy Piekła i tam go oczekiwał.

Wódz Apaczów opuścił obóz zaraz po wyjeździe Old Shatterhanda. Pędził tak szybko, że już późnym popołudniem dotarł do zachodniego podnóża Gór Kraterów. W górę prowadziła dolina, tym ciaśniejsza, im bardziej się stromo wznosiła. Przecinał ją potok rwący na dół. Po wejściu na górę, wojownicy znaleźli się w dzikim lesie, w którym jeszcze nie powstała ludzka noga.

Okazało się, że Apacz znał dokładnie drogę. Jechał bezpiecznie, jak gdyby miał przed sobą utorowaną ścieżkę biegnącą między drzewami, najpierw ostro pod górę, potem równo, a wreszcie, po drugiej stronie, pośród rozrzuconych olbrzymich głazów, ku dolinie.

Nagle przed oddziałem rozległ się straszliwy łoskot, przypominający dynamitowy wybuch. Potem dobiegł jakby huk armatni, następnie zabrzmiała nieprzerwana salwa, która zmieniła się w trzask, syk, gwizd, świst, jak gdyby zapalono olbrzymie race.

— Uff! — zawołał Mężny Bawół. — Co to?

— To jest K'un-tui-temba, Paszcza Piekła — odpowiedział Winnetou. — Mój brat usłyszał głos Paszczy. Zaraz zacznie pluć.

Przejechał tylko kilka kroków, osadził rumaka i zwrócił się do swoich wojowników:

— Moi bracia mogą się zbliżyć. Tam na dole otworzyła się Paszcza Piekła.

Indianie stali pod skalną ścianą, która spadała pionowo w dół na kilkaset stóp. Na dole biegła dolina rzeki Kraterów. Wprost przed nimi, z drugiej strony, bił z ziemi wysoki na pięćdziesiąt stóp słup wody o siedmiometrowej średnicy. Na górze słup ten tworzył kulisty grzyb, z którego strzelały ku niebu trzystumetrowe potoki. Woda była gorąca, gdyż masa na pół przejrzystej lawy otaczała gigantyczny nurt.

Za tym groźnym cudem natury ściana brzegowa cofała się i tworzyła głęboką kotlinę, na której brzegu odpoczywało zachodzące słońce. Promienie padały na słup wody, który lśnił przepięknymi kolorami. Gdyby widzowie przyglądali się z innej strony, zobaczyliby setki wspaniałych tęcz.

— Uff, uff! — zawołali prawie wszyscy Indianie.

Wódz Szoszonów zwrócił się do Winnetou:

— Czemu mój brat nazywa to miejsce K'un-tui-temba, Paszczą Piekła? Czy nie powinna się raczej nazywać T'ab-tui-temba, Usta Niebios? Oihtka-Petay nigdy jeszcze nie widział nic

równie wspaniałego!

— Mój brat nie powinien ufać pozorom. Złe często wydaje się pięknym, ale człowiek mądry patrzy do końca.

Oczy zachwyconych Indian spoczywały jeszcze na wspaniałym obrazie, gdy nagle rozległ się grzmot i w jednej chwili widowisko uległo zmianie. Słup wody runął. Przez kilka sekund panowała cisza, nagle usłyszano głuchy, grmiący odgłos, po czym otwór począł zionąć brązowożółtymi pierścieniami pary, które buchały coraz szybciej z dojmującym świstem. Pojedyncze pierścienie skupiły się w słup dymu. Teraz wytrysnęła ciemna masa lawy, sięgając tak wysoko, jak poprzednio strumień i rozsiewając nieprzyjemny odór. Wraz z lawą strzeliły w górę poszczególne głązy z głuchym, wściekłym hukiem, wydawało się, że ryczą drapieżniki w menażerii. Eksplozja następowała z przerwami, podczas których z otworów rozbrzmiewały pojękiwania i świsty, które przywodziły na myśl jęczące dusze potępieńców.

— Kats-angwa! — To okropne! — zawołał Mężny Bawół.

— No — zapytał z uśmiechem Winnetou — czy mój brat i teraz nazwie ten otwór Ustami Niebios?

— O, nie! Oby wszyscy nasi wrogowie byli pogrzebani na dole! Czy nie lepiej opuścić to straszne miejsce?

— Tak, ale właśnie nad Paszczą Piekła rozbijemy obóz.

— Uff! Czy tak dyktuje konieczność? Zapach jest okropny.

— Prawda. Lecz paszcza wyła dziś już ostatni raz. Nie zatruje więc nosów Szoszonów.

Apacz zaprowadził swoich towarzyszy wzdłuż zbocza do miejsca, które mogło nadawać się na obozowisko. Całą ścianę skalną wchłonął przed wiekami krater; miękka ziemia obsunęła się i utworzyła nasyp pokryty gęsto zgniłym na pół drzewem i pojedynczymi skałami.

Góra była stroma i nie wydawała się niebezpieczna.

— Czy mój brat chce zejść na dół? — zapytał Oihtka-Petay Apacza.

— Tak. Nie ma innej drogi.

Czy grunt nie jest bagnisty? Możemy w nim utknąć.

— To może się łatwo zdarzyć, jeśli nie będziemy ostrożni. Winnetou, kiedy był tutaj kiedyś z Old Shatterhandem, dokładnie zbadał te tereny. Gdziekolwiek skorupa ziemi jest dość cienka, nie przekracza szerokości dłoni. Ale Winnetou pojedzie na czele. Jego rumak jest mądry i ominie niebezpieczne miejsca. Niechaj moi bracia jadą za mną.

Skierował konia do brzegu i pozwolił mu zejść na dół. Indianie z ociąganiem poszli za jego przykładem. Gdy zobaczyli, że koń Winnetou ostrożnie badał kopytem miejsce zanim postąpił krok naprzód, zdali się całkowicie na kierownictwo Apacza.

— Niech moi bracia jadą gęsiego — rozkazał — aby ziemia nie dźwigała zbyt wielkiego ciężaru. Gdy koń zacznie się zapadać, jeździec powinien natychmiast ściągnąć go cugłami i cofnąć.

Na szczęście obyło się bez wypadku. Udało się ominąć miejsca bardzo niebezpieczne i wreszcie jeźdźcy dotarli do rzeki. Woda była nagrzana; powierzchnia połyskiwała niebiesko i zielono jak oliwa, podczas gdy nieco dalej przezroczyste i jasne fale uderzały o brzegi. Tu właśnie przepawiono się bez trudu przez rzekę. Następnie Winnetou skierował się ku Paszczy Piekła.

Jeźdźcy ostrożnie dojechali do brzegu wulkanu. Zajrzeli do czterdziestometrowej głębi, w której było cicho i spokojnie. Lecz rozrzucone dokoła kawałki zastygłej lawy świadczyły, że przed kilkoma minutami działały podziemne siły.

Teraz Winnetou wskazał na kotlinę i rzekł:

— Tam wznosi się grobowiec wodza Siuksów Ogallalla, którego pokonał Old Shatterhand. Niechaj moi bracia jadą za mną!

Kotlina miała kształt koła o średnicy około pół mili angielskiej. Przyległe ściany były tak strome, że nie sposób było na nie wejść.

Pośrodku kotliny wznosił się pagórek z kamieni pokryty skamieniałą magmą, która tworzyła twardą i suchą masę. Był wysoki na cztery i długi na siedem metrów. W wierzchołku tkwiły łuki i oszczepy. Pagórek zdołał emblematy wojenne i żałobne, mocno już wystrzępione.

— Tutaj — rzekł Winnetou — spoczywa Zły Ogień, najsilniejszy wojownik Ogallalla i dwaj wojownicy, których pokonała pięść Old Shatterhanda. Siedzą na swych rumakach, z bronią na kolanach, z tarczą w lewej i tomahawkiem w prawej ręce. A tam na górze znajdował się Old Shatterhand zanim rozpoczęła się walka, w której zranił Ogallalla jednego po drugim. Nie chciał ich zabijać, a Siuksowie nie mogli dosięgnąć myśliwego swoimi kulami, bo ochraniał go Wielki Duch białych.

Mówiąc to wskazał na prawo, ku skale, gdzie na wysokości piętnastu metrów nad Paszczą Piekła wznosił się wysokok najeżony wielkimi głazami, wysokości dorosłego człowieka. Stąd aż do dołu biegł szereg podobnych, ale o wiele mniejszych stopni, po których można było, choć z



trudem, wdrapać się na górę. Ale jak potrafił to zrobić Old Shatterhand nie schodząc z konia, w jaki sposób tego dokonał to naprawdę nie wiadomo. Mężny Bawół powoli objechał grobowiec i zapytał Winnetou:

— Jak myślisz mój brat, kiedy Siuksowie Ogallalla przybędą nad rzekę Kraterów?

— Możliwe, że dzisiaj wieczorem.

— A więc niech znajdą splądrowany grobowiec swojego wodza i obu wojowników. Niech wiatr rozrzuci ich prochy na wszystkie strony, a kości niech znikną w otchłani, aby dusze musiały tam w głębi lamentować wraz z K'un-p'a, wraz z Wyklętym przez Wielkiego Ducha. Weźcie tomahawki i rozsypcie pagórek!

Zeskoczył z konia i gotowy do czynu, chwycił za topór.

— Stój! — zatrzymał go Winnetou. — Old Shatterhand zostawił pokonanym skalpy, a nawet sam pomagał wzniesić grobowiec! Odważny wojownik nie walczy z kośćmi umarłych. Wielki Duch pragnie, aby umarli spoczywali w pokoju, a Winnetou ochroni grób. Howgh!

Zawrócił konia i nie oglądając się wrócił nad Paszczę.

Żaden przyjaciel nie przemówił dotąd w taki sposób do Oihtka-Petaya, a jednak wódz nie odważył się przeciwstawić Winnetou. Mruknął tylko: "Ugh!" i pojechał za Apaczem. Zdecydowana postawa Apacza nadała jego słowom ton rozkazu.

Zapadał wieczór, kiedy Apacz zatrzymał konia i zsiadł z niego. Zimne źródło biło ze skały i wpadało do rzeki. Pomijając źródło, miejsce nie nadawało się na obóz. Wodzem Apaczów musiały kierować szczególne, ukryte powody. Przytwierdził uzdę do kółka, podłożył derkę pod głowę i wyciągnął się w pobliżu skały. Szoszoni poszli za jego przykładem.

Niektórzy siedzieli obok siebie i cicho rozmawiali. Oihtka-Petay nie pamiętając o niedawnej urazie, położył się przy Winnetou. Ściemniło się zupełnie. Upłynęło wiele godzin. Zdawało się, że Apacz śpi smacznie ale nagle zerwał się na równe nogi i rzekł do Oihtka-Petaya:

— Moi bracia mogą leżeć spokojnie. Winnetou wyruszy na zwiady.

Po chwili znikł w mroku nocy. Szoszoni postanowili czuwać do jego powrotu. Była północ, kiedy wrócił. Zameldował:

— Hang-peh-te-keh, Ciężki Mokasyn, obozuje ze swoimi ludźmi nad Wodą Diabła. Ma przy sobie niedźwiedziarza oraz jego pięciu towarzyszy, a także waszych braci, którzy opuścili nas w nocy. Old Shatterhand zapewne czuwa w pobliżu. Moi bracia mogą spać. Winnetou wraz z Oihtka-Petayem o świcie podkradną się jeszcze raz nad Wodę Diabła. Howgh!

Ledwie zaczął szarzeć świt, Winnetou obudził wodza Szoszonów. Szli ostrożnie, bez szmeru. Od Paszczy Piekła do Wody Diabła droga wynosiła zapewne milę angielską. Rzeka w pobliżu obozu wroga tworzyła zakręt. Stojąc tam za skałą obaj wodzowie mogli obserwować Siuksów, którzy sprowadzili konie, po czym zabrali się do śniadania.

Winnetou spojrział na wyżynę prawego wybrzeża, skąd powinien był nadejść jego biały brat.

— Uff! — rzekł. — Jest już Old Shatterhand.

— Gdzie? — zapytał Oihtka-Petay.

— Tam na górze.

— Nie można go dojrzeć. Tam rośnie gęsty las.

— Tak, ale czy mój brat nie widzi wron, które fruwać nad drzewami? Zakłócono ich spokój, Old Shatterhand cofnie się i przeprawi przez rzekę w niewidocznym miejscu. Potem napadnie na wrogów i skieruje ich do brzegu rzeki. W tym samym czasie musimy stać przy Paszczy Piekła, aby Siuksom odciąć drogę i zapędzić ich do kotliny Grobowca Wodza. Niech mój brat się śpieszy, bo nie mamy wiele czasu.

Wrócili do swoich wojowników, dali im odpowiednie wskazówki i przygotowali się do walki.

Niebawem z podziemi rozległ się głuchy huk.

— Woda Diabła podnosi swój głos — oświadczył Winnetou. — Wkrótce zaczną pluć Paszcza Piekła. Cofnijmy się, aby nas nie trafiła.

Wiedział, że kratery łączą się pod ziemią, a więc wycofał swoich wojowników o kilkanaście metrów do tyłu. Wybuch nie trwał długo, gdy odgłosy jego umilkły, posłyszeli okrzyk wojenny trzydziestu Szoszonów i Upsaroków, którzy w owej chwili wpadli na Siuksów Ogallalla.

Nastąpiło to, co przewidział Winnetou. Paszcza Piekła zaczęła swoją działalność, tak samo jak wieczorem poprzedniego dnia. Z grzmotem i rykiem wzniósł się słup wody i strzelał na wszystkie strony strumieniami. Ten wodospad był dla Winnetou i jego wojowników wspaniałą zasłoną, ukrył ich bowiem przed oczami uciekających Siuksów. Apacz skierował konia na bok, aby ogarnąć wzrokiem sytuację. Widział, jak nadjeżdżają rozsypani Ogallalla, bezładnie pędzeni strachem.

— Nadchodzą! — zawołał. — Gdy dam znak, wyrwiemy się spoza plującej Paszczy

Piekła i nie przepuścimy ich między Paszczą a rzeką. Będą musieli zboczyć na lewo do doliny Grobowca. Jednak nie strzelajcie! Przerazenie zapędzi ich tam gdzie trzeba!

Pierwsi Siuksowie Ogallalla byli już zupełnie blisko. Chcieli pędzić przed siebie wzdłuż rzeki, ale nagle Winnetou ukazał się spoza słupa wody. Jego "Iiiiiiii!" przeszło przeraźliwie powietrze. Szoszoni wtórowali. Uciekinierzy, widząc, że droga została zagrodzona, wykonali ćwierć obrotu i pomknęli ku kotlinie.

Za uciekającymi Siuksami ukazała się skupiona grupa wielu jeźdźców. Był to pędzący w galopie tłum czerwonych i białych z wodzem Ogallalla, z niedźwiedziarzem i Hobble-Frankiem pośrodku.

Jeńcy, przywiązani do rumaków, pomknęli na spotkanie swoich zbawców. Ale nagle posłyszeli krzyki. Wołał Marcin Baumann, Wohkadeh i Murzyn Bob, którzy zauważyli, że wódz pociągnął za sobą Baumanna. Frank usłyszał krzyki, odwrócił się i zobaczył w jakim niebezpieczeństwie znalazł się jego przyjaciel. Mimo więzów łydkami skierował konia ku Murzynowi.

— Tnij, Bobie! Szybko, szybko!

Bob rozciął pęta. Frank zeskoczył z konia, wyrwał tomahawk z ręki jednego z zastrzelonych przez Shatterhanda wrogów, szybko dosiadł rumaka i puścił się w pogoń za wodzem Ogallalla.

Bob był bez konia, Marcin i Wohkadeh natomiast mieli ciała tak obolałe od więzów, że nie mogli pośpieszyć z pomocą. Mogli tylko krzyczeć, zwracając uwagę Jemmy'ego. Gruby obejrzał się, po czym zawołał do swego długiego przyjaciela:

— Davy, trzeba wracać! Siuks porwał Baumanna!

Bob stał już przy nich i rozcinał rzemienie. Jemmy wyrwał mu nóż i pogalopował za Sasem. Za nim cwałował nieuzbrojony Davy.

Teraz nadjechali Szoszoni i Upsarokowie. W tym samym czasie do brzegu dotarł Old Shatterhand, trzymając za uzdę konia Boba. Nikt w tym zamieszaniu nie zwracał na niego uwagi, natomiast on widział wszystko.

— Masz swego konia i flintę, dzielny Bobie — zawołał wręczając Murzynowi cugle i broń. — Uwolnij resztę związanych. A potem śpiesz za nami!

Wybrzeże między Paszczą Piekła i Wodą Diabła wyglądało jak pole bitwy. Siuksowie Ogallalla, Upsarokowie, Szoszoni i biali krzyczeli wniebogłosy. Uciekinierzy ratowali się, każdy

na własną rękę. Przyjaciele wymijali wrogów i przepuszczali ich, mając na celu tylko uwolnienie Baumanna.

Old Shatterhand stał wysoko w strzemionach, trzymając sztucer w ręku. Był na tyłach, ale jego koń galopował ledwie dotykając ziemi, więc niebawem doścignął Upsaroków i piętnastu Szoszonów.

— Powoli! — zawołał wymijając ich. — Pędźcie Siuksów! Tam jest Winnetou, który ich nie przepuści. Żaden nie powinien umknąć, ale nie wolno ich zabijać!

Westmani pędzili naprzód wymijając wrogów i przyjaciół. Rumak Shatterhanda mknął jak na skrzydłach. Trzeba było doścignąć wspomnianą grupę zanim nastąpi nieszczęście.

Koń małego Sasa nie był szlachetnym biegunem. Ale Frank ryczał tak przeraźliwie i tak poganiał rumaka ręką i tomahawk, że rumak pędził jak szalony. Oczywiście, to nie mogło trwać długo.

Wreszcie udało się doścignąć wodza Siuksów Ogallalla. Sas przybliżył konia, podniósł tomahawk i krzyknął:

— Szonka, ta ha na, deh peh! Psie, podejdz! Żle z tobą!

— Tshi-ga szy tsza legh-tsza! — odparł szydycz wódz. — Nędzny karle, bij!

Zwrócił się do Franka i pięścią odparował uderzenie podbijając do góry rękę Sasa, z której od razu wypadła broń. Następnie wyrwał nóż z pasa, aby zabić byłego leśniczego.

— Frank, uważaj! — zawołał Jemmy rozpędzając konia.

— Nie bój się! — odparł Frank. — Czerwonoskóry nie zabije mnie tak łatwo! Nie przestrzeli po raz drugi nóg uczciwego Sasa.

Cofnął swego rumaka o krok, aby wódz nie mógł trafić i śmiałym susem skoczył na konia Ciężkiego Mokasy. Objął Siuksa, przycisnął mu rękę do ciała. Wódz ryknął z wściekłością. Usiłował uwolnić rękę, ale na próżno, gdyż Frank trzymał go z całej siły.

— Słusznie! — krzyknął Jemmy. — Nie puszczaj! Śpiesz z pomocą!

— Pośpiesz się troszeczkę! Ścisnąć takiego draba to nie drobnostka!

Wszystko odbyło się z błyskawiczną szybkością, szybciej niż można to opisać. Ogallalla trzymał w prawej ręce nóż, a w lewej cugle konia Baumanna. Szarpał się, wstawał w siodle — daremnie! Nie zdołał się wydostać z objęcia Franka.

Baumann był związany i nie mógł nic zrobić, ale zachęcał Franka, aby mocno trzymał wroga. Dzielny Sas odpowiedział, choć sapał już z wysiłku:

— Dobrze! Obejmuję go jak wąż boa i nie puszczę póki mi płuca nie pękną!

Ogallalla nie mógł panować nad koniem, który biegł wolniej. Dzięki temu Jemmy, a potem i Davy zdołali go dopędzić. Grubas zbliżył się do Baumanna i nożem Boba przeciął mu więzy.

— Halloo, górą nasi! — krzyknął. — Niech pan wyrwie cugle z ręki Ciężkiemu Mokasynowi!

Baumann zamierzał to zrobić, ale nie starczyło mu siły. Jemmy próbował podać mu nóż, ale nie mógł, gdyż Siuksowie zauważyli, w jakiej sytuacji znalazł się wódz. Dwaj Ogallalla natarli teraz ze wściekłością na grubasa, a trzeci zamierzył się na Franka. Widząc to Davy uderzył konia między uszy. Wierzchowiec pomknął jak strzała i znalazł się obok Indianina. Davy schwytał Indianina za kołnierz, wyrwał go z siodła i cisnął na ziemię.

— Hura! Alleluja! — krzyknął Hobble-Frank. — To był ratunek w ostatniej chwili niebezpieczeństwa. Ale teraz co prędzej niech pan łapie wodza za czub, bo nie dam rady!

— Już! — odpowiedział Długi Davy.

Wyciągnął ręce do wodza, aby go wysadzić z siodła, ale w tej samej chwili ziemią wstrząsnął straszliwy huk. Konie cofnęły się w zamieszaniu, Davy z trudem utrzymał się w siodle. Jemmy, który musiał się obronić przed dwoma napastnikami, został strącony z konia, a to samo zdarzyło się Baumannowi.

Cała gromada zbliżyła się bowiem do Paszczy Piekła. Woda opadła i ze straszliwym grzmotem szlam wzniosł się do góry. Bryzgi brudnej, gorącej wody tryskały na wszystkie strony.

Koń wodza ze strachu runął na kolana, ale podniósł się i zwracając się na lewo pomknął ku rzece. Stało się to w momencie, kiedy Old Shatterhand podjechał do grupy toczącej się po ziemi.

Zamierzał właściwie pomóc dzielnemu Frankowi, ale zrezygnował z tego zamiaru, ponieważ obaj Siuksowie zeskoczyli z koni i wpadli na Grubego Jemmy'ego. Długi Davy miał wiele kłopotu ze swym przerażonym wierzchowcem — nie mógł pomóc przyjacielowi. Old Shatterhand musiał szybko ratować grubasa. Osadził rumaka, zeskoczył na ziemię i dwoma uderzeniami kolby ogłuszył obu czerwonoskórych.

Winnetou tymczasem obsadził przejście między Paszczą Piekła a rzeką. Chciał zagrozić drogę Siuksom Ogallalla i zapędzić ich do kotliny. To mu się powiodło. Uciekinierzy, ujrzeni jego oddział i zawrócili ku kotlinie. Przebieg opisanych wypadków był tak błyskawiczny, że

Apacz nie zdążył wziąć udziału w walce. Teraz nadarzała się okazja żeby pomóc Hobbler-Frankowi, który siedząc za wodzem i trzymając go mocno, mknął na przerażonym koniu ku rzece tak szybko, że ledwie można było zapobiec katastrofie. Widząc to Apacz ruszył mu naprzeciw, a za nim wielu Szoszonów.

Wódz Siuksów zrozumiał niebezpieczeństwo. Przerazenie i strach podwoiły jego siły. Wyciągnął ramiona w górę, gwałtownie uderzył Franka łokciami i wyrwał się z uścisku.

— Giń! — zawołał czerwonoskóry i pchnął nożem w tył, aby przebić nim odważnego Sasa.

Frank szybko się odchylił. Uniknął ciosu. Nie mając broni przypomniał sobie cios Old Shatterhanda. Lewą ręką chwycił wroga za gardło, prawą pięścią grzmotnął go w skroń z taką siłą, że zdawało mu się, że roztrzaskał sobie własną pięść. Ciężki Mokasyn zwiśł ogłuszony. Nim Sas zdążył zatrzymać konia byli już na brzegu. Rumak skoczył potężnym susem do rzeki. Dwaj jeźdźcy wystrzelili ponad głowę zwierzęcia. Koń pozbawiony ciężaru, zawrócił powoli i wyszedł na brzeg.

Winnetou dotarł do rzeki. Zeskoczył z konia i przyłożył strzelbę, aby w momencie rozpoczęcia walki w wodzie, rozstrzygnąć ją celnym strzałem. Przez chwilę nie było widać żadnego z nich. Tylko kapelusz Franka pomknął z prądem rzeki. Po chwili jakiś Szoszon wyciągnął go przy pomocy długiego kija. Niebawem dosyć daleko od brzegu wyłoniła się ozdobiona piórami głowa Indianina, a za nią w pewnej odległości głowa Franka. Dzielny biały rozejrzał się dokoła, zobaczył Siuksa i szybko podpłynął do niego. Czerwonoskóry nie zemdleł, ale był na pół ogłuszony, mimo to. Mały Sas natarł na niego jak drapieżny szczupak, skoczył wodzowi na plecy, chwycił lewą ręką za czuprynę i zaczął uderzać prawą pięścią. Ogallalla zniknął pod wodą, a za nim Frank. Utworzył się wir. Po chwili pokazała się ręka wodza i znów znikła, następnie wyłoniły się nogi i poły fraka białego myśliwego — zaciekle walka odbywała się pod powierzchnią wody. Winnetou nie mógł pomóc przyjacielowi strzałem, cisnął więc strzelbę, aby skoczyć do wody. Ale wreszcie wynurzył się Hobbler-Frank, kaszląc i plując. Rozejrzał się na wszystkie strony i zawołał:

— Czy wódz jeszcze w wodzie?

Skierował pytanie do Old Shatterhanda, Długiego Davy'ego i Grubego Jemmy'ego, którzy stanęli właśnie na brzegu. Nie czekając na odpowiedź dał znowu nura. Po kilku chwilach ukazał się ciągnąc za włosy pokonanego Siuksa i podpłynął powoli do brzegu. Powitano go

radosnymi okrzykami. Przekrzyczał ich wszystkich:

— Cicho bądźcie! Gdzie się podział mój kapelusz? Czy nie widział go żaden z łaskawych widzów?

— Nie! — odpowiedziano.

— Biada! Czyżbym miał przez tego Ogallalla stracić swoje cenne strusie pióro? O, jest, widzę go na głowie tamtego Szoszona! Zaraz pociągnę go do odpowiedzialności!

Podbiegł do Indianina, aby odebrać swoje nakrycie głowy. Dopiero potem gotów był przyjąć wyrazy uznania.

— Kosztowało mnie to wiele wysiłku — rzekł. — Ale to drobnostka. „Veni, vidi, vici”<sup>[77]</sup>, jak powiedział Hannibal do Wallensteina, a ja dokonałem tego czynu z taką samą łatwością.

— Powiedział to Cezar — wtrącił Jemmy — a o Wallensteinie historia powszechna nic jeszcze nie wiedziała.

— Niech pan milczy, z łaski swojej, panie Jakubie Pfefferkorn! Co wie pan o panu historia powszechna? Niech pan wskoczy na konia Ciężkiego Mokasy, potem na tym koniu do wody i przerywając tam wodzowi nić życia — a wtedy będzie pan mógł się zabawiać w aptekarsko-łacińskie pomysły! Ale nie inaczej! Mnie natomiast przyszłe pokolenia wystawią w tym miejscu marmurowy pomnik. A mój duch będzie zasiadał przy nim w ciche noce i będzie się cieszył, że nie na próżno żył i skakał do rzeki kraterów. Spokój moim popiołom!

Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby wszyscy po tej przemowie wybuchnęli wesołym śmiechem. Ale nikomu nie było do śmiechu. Zapal tego oryginała o gołębiu sercu udzielił się otoczeniu. Winnetou uściskał mu rękę i rzekł:

— Ni’nte ken ni szo! — Jesteś dzielnym mężem!

Następnie Apacz wymownym ruchem dał znak Old Shatterhandowi, że pozostawia go tutaj, sam zaś dosiadł konia i wraz ze swoimi Szoszonami pojechał do wylotu kotliny, gdzie w gębi skupili się Siuksowie Ogallalla. Po drodze spotkał przywódcę Upsaroków i Moh-Awa, syna wodza Szoszonów, wraz z wojownikami. Gdy olbrzym Upsaroka usłyszał, że jego śmiertelny wróg, Ciężki Mokasyn, leży nad rzeką, popędził tam co koń wyskoczy. Kiedy nadjechał, wódz Ogallalla dzięki staraniom Old Shatterhanda wracał do przytomności. Związano go starannie. Upsaroka zeskoczył z konia, wyrwał nóż z pasa i zawołał:

— Oto jest pies Siuks Ogallalla, który mnie pozbawił ucha! Niech w zamian odda za życia swój skalp!

Chciał na nim uklęknąć, aby zedrzeć skalp, ale Old Shatterhand powstrzymał go i rzekł:

— Jeniec jest własnością naszego białego brata, Hobble-Franka. Nikt inny nie może decydować o jego losie.

Nastąpiła ostra wymiana słów, z której zwycięsko wyszedł Old Shatterhand. Upsaroka cofnął się pomrukując coś pod nosem.

Baumann, niedźwiedziarz, przycisnął Franka do serca. Dwaj przyjaciele byli bardzo wzruszeni.

— Tobie, wierny druhu, przede wszystkim zawdzięczam swoje ocalenie rzekł niedźwiedziarz. — Jak zdołałeś sprowadzić aż tylu zbawców?

Wzruszony Frank wskazał ku rzece i rzekł:

— Tam nadchodzą inni, bardziej zasługujący na podziękowanie niż ja.

Baumann ujrzał swoich pięciu towarzyszy, którzy wraz z nim wpadli w niewolę. Przed nimi jechał Marcin, Wohkadeh i Bob. Baumann wyszedł im naprzeciw. Gdy Murzyn ujrzał swego pana, zeskoczył z konia, podbiegł do niego i zawołał:

— O panie, mój drogi, dobry panie Baumann! Wreszcie pan Bob mieć swój sercem kochany pan! Teraz pan Bob umrzeć z radości — Teraz pan Bob skakać i śpiewać ze szczęścia i piękność z zachwyty. O, pan Bob być wesoły, być szczęśliwy, być radosny!

Baumann chciał objąć Murzyna, ale Bob cofnął się i rzekł:

— Nie, pan nie objąć pana Boba, bo pan Bob zabić cuchnące zwierzę i wciąż jeszcze mieć zły zapach.

— Ach, co takiego? Spieszylesz mnie uratować, więc muszę cię uścisnąć!

Po chwili nadszedł Marcin. Ojciec i syn padli sobie w objęcia.

— Moje dziecko, mój syn! — zawołał Baumann. — Znów jesteśmy razem i nic już nas nie rozłączy! Ale musiałeś się nacierpieć! Spójrz, jakie masz pokaleczone ręce!

— A ty ojczu masz jeszcze bardziej, o wiele bardziej! Ale to się szybko zagoi, odzyskasz zdrowie i siły. Teraz trzeba podziękować naszym wybawcom. Z Wohkadehem, moim przyjacielem, Grubym Jemmy'm i Długim Davy'm już wczoraj mogłeś się rozmówić. Ale tu stoi Old Shatterhand, to przede wszystkim jemu i Winnetou zawdzięczam życie.

— Wiem o tym i martwi mnie, że teraz mogę im po prostu, tylko podziękować.

Wyciągnął do Old Shatterhanda obie ręce. Łzy perlily się na jego zapadniętych policzkach. Old Shatterhand uścisnął pokaleczone dłonie, wskazał na niebo i rzekł serdecznie:



— Niech pan nie dziękuje ludziom, drogi przyjacielu, ale naszemu Panu w niebiosach, że dał ci dosyć siły, abyś mógł znieść nieopisane cierpienia. Byliśmy tylko narzędziem. Jemu należy przesłać nasze dziękczynienia i modły.

Zdjął kapelusz i zaintonował pieśń dziękczynną. Pozostali także odkryli głowy. Gdy skończył, rozległo się powszechne głośnie "Amen"!

Związany wódz Siuksów przyglądał się temu zdumionym spojrzeniem. Podniesiono go, aby zaprowadzić do wylotu kotliny, gdzie czekał Winnetou z Szoszonami i Upsarokami.

Old Shatterhand wjechał wraz z Apaczem do kotliny, aby obejrzyć wroga i zdać sobie sprawę z sytuacji. Zamienili kilka słów. Tak bowiem przenikali wzajemnie swoje myśli, że mogli się porozumiewać monosylabami. Niebawem wrócili do swoich.

Oihka-Petay podszedł do nich i zapytał:

— Co teraz zamierzają począć moi bracia?

— Wiemy — rzekł Old Shatterhand — że nasi czerwoni bracia mają taki sam głos co my. A więc wypalimy fajkę narady. Przedtem jednak chcę porozmawiać z Hang-peh-te-kehem, wodzem Siuksów Ogallalla.

Zsiadł z konia, a za nim również Winnetou. Ustawiono się dokoła jeńca. Old Shatterhand podszedł bliżej i rzekł:

— Ciężki Mokasyn wpadł w ręce wrogów. Jego wojownicy, zamknięci między skałami, są również zgubieni. Nie mogą nigdzie uciec i zginą od naszych kul, jeśli wódz nie postara się ich uratować.

Urwał oczekując odpowiedzi Ciężkiego Mokasyna. Ponieważ jednak wódz milczał, więc dodał:

— Niech mój czerwony brat powie czy zrozumiał moje słowa?

Czerwonoskóry podniósł głowę, obrzucił Shatterhanda nienawistnym spojrzeniem i splunął. To była jego odpowiedź.

— Czy wódz Ogallalla ma przed sobą parszywe zwierzę, że ośmielił się splunąć?

— Wakon tana! — Stara baba! — rzekł zapytany.

— Ciężki Mokasyn oślepl. Nie umie odróżnić męznego wojownika od starej kobiety.

— Kot-o pun-krai szonka! — Tysiąc psów! syknął jeniec.

Niektórzy z otaczających go Indian wściekle mruknęli. Old Shatterhand skarcił ich spojrzeniem, pochylił się i ku zdumieniu otaczających, a zwłaszcza jeńca, rozciął mu pęta.

— Niech wódz Ogallalla wie — rzekł — że nie rozmawia z nim stara kobieta ani pies, lecz mężczyzna. Niech się podniesie!

Indianin podniósł się natychmiast. Jakkolwiek zwykł panować nad rysami twarzy, nie mógł teraz ukryć zakłopotania. Zamiast odpowiedzieć uderzeniem na jego obraźliwe słowa, uwolniono go z więzów?.

— Otwórzcie koło! — rozkazał Old Shatterhand.

Wojownicy skupili się, dzięki czemu Siuks mógł zobaczyć wnętrze kotliny. Ujrzał swych wojowników za Grobowcem Wodza. Widać było, że Siuksowie się naradzają. Czy nie mógł uciec? W najlepszym razie dotarłby do swoich wojowników, w najgorszym padłby od kuli, co było lepsze od męczeńskiej śmierci przy palu.

Old Shatterhand dostrzegł ten szczególny błysk w jego oczach. Rzekł:

— Ciężki Mokasyn pragnie uciec. Niech nie próbuje! Jego imię mówi, że stawia wielkie kroki, ale nasze nogi są lekkie jak lot wróbli, a nasze kule nigdy nie chybiają. Niech na mnie spojrzy i powie czy mnie zna.

— Hang-peh-te-keh nie ogląda kulawego wilka! — mruknął Ogallalla.

— Czy Old Shatterhand jest kulawym wilkiem? Czy tam nie stoi Winnetou, wódz Apaczów, którego imię jest bardziej słynne niż imię jakiegokolwiek wodza Siuksów?

— Uff! — krzyknął jeniec.

Nie spodziewał się, że ma przed sobą tych dwóch znakomitych westmanów. Spoglądając to na jednego, to znów na drugiego, zmieniał wyraz twarzy. Patrzył na nich z szacunkiem. Old Shatterhand dodał:

— Stoją tu także inni waleczni wojownicy. Wódz Ogallalla widzi tu Oihtka-Petaya, przywódcę Szoszonów i Moh-Awa, jego syna. Obok stoi Kanteh-pehta, niepokonany mąż leków Upsaroków. Tam dalej Davy-honskeh i Jemmy-petahtszeh. Będziesz...

Urwał, ponieważ w tej chwili rozległ się taki grzmot, że konie stanęły dęba, a odważni wojownicy drgnęli. W dolinie rozbrzmiewał długi, ryczący odgłos. Ziemia drgnęła pod stopami struchlałych mężczyzn. Z rozsianych po całej dolinie otworów wznosiły się gęste kłęby pary, tu szaroniebieskie, tam znów żółte, czerwone lub ciemne. Ściemniło się od wulkanicznych wyziewów i strumieni szlamu o nieznośnym, duszącym zapachu.

Nie można było zrobić nawet dwudziestu czy trzydziestu kroków. Należało się wystrzegać gorących strumieni lawy i wody. Nastąpiło nieopisane zamieszanie. Konie zerwały

się i pomknęły galopem. Ludzie krzyczeli i rozbiegli się na wszystkie strony. Z głębi kotliny rozlegał się przerażony krzyk Ogallalla. Konie Siuksów również uciekły ku wylotowi kotliny. Niektóre wpadały do otworów i natychmiast nikły pod warstwą szlamu. Inne przedarły się przez biwakujących u wyjścia białych i czerwonoskórych, wzmagając zamieszanie.

Old Shatterhand od początku zachował zimną krew. Od razu po pierwszym huku schwytał wodza Szoszonów, aby uniemożliwić mu ucieczkę. Po chwili jednak musiał puścić Mokasy na chęć uniknąć niebezpiecznego strumienia. Wpadł przy tym na Grubego Jemmy'ego, który runął i trzymając się kurczowo Old Shatterhanda pociągnął go za sobą.

Ciężki Mokasy ze strachu nie myślał nawet o ucieczce. Wkrótce jednak zorientował się, że właśnie nadarza się okazja.

Wydając zwycięski okrzyk pobiegł ku dolinie. Ale nie oddalił się znacznie. Musiał wyminać Boba, który błyskawicznym ruchem uderzył go kolbą po głowie, jednak siła ciosu powaliła jego samego. Murzyn chciał się zerwać, gdy stratował go jeden z przerażonych koni. Nie mógł się więc podnieść. Krzyczał tylko:

— Wódz uciekać! Za nim! Za nim!

Ciężki Mokasy, ogłuszony uderzeniem Boba, zachwiał się pod ciosem, ale już po chwili pobiegł dalej.

Marcin, syn niedźwiedziarza, usłyszał krzyk Murzyna. Widział uciekającego wodza i pośpieszył za nim. Czy kat jego ojca mógł uciec? Nie! Ciało dzielnego chłopca było pokaleczone więzami, nie miał też przy sobie żadnej broni, a jednak wytężając wszystkie siły pobiegł za Ciężkim Mokasynem.

Siuks nawet nie oglądał się za siebie. Sądził, że nikt go nie ściga i całą uwagę skupił na drodze, którą podążał do grobowca. Tu było najwięcej niebezpiecznych otworów. Skierował się zatem na prawo, ku ścianie doliny, aby wzdłuż niej bezpiecznie i łatwiej dotrzeć do celu.

Ta droga nie była lepsza. Tam również było tyle parujących otworów, że stale musiał je wymijać. Nieraz już podnosił nogę do skoku i przekonywał się, że to, co uważał za stały ład, jest lepką, niezgłębianą masą. Unikał śmierci tylko dzięki błyskawicznym zwrotom. Co sekundę otwierały się przed nim szczeliny, musiał więc nieraz, kiedy było już za późno na wycofanie się, skokiem przesadzać otchłanie zatracenia.

Ponadto odczuwał skutki uderzenia kolbą. Głowa mu ciążyła, przed oczami płonęła luna, płuca odmawiały posłuszeństwa, a nogi powoli omdlewały. Chciał przez chwilę wypocząć.

Obejrzał się po raz pierwszy i jakby przez krwawą mgłę zobaczył zbliżającego się prześladowcę. Nie widział rysów twarzy, nie spostrzegł, że gonił go tylko chłopiec.

Przerażony pomknął dalej, Nie miał przy sobie broni, a sądził, że wróg jest uzbrojony. Dokąd miał uciec? Przed nim, za nim i z lewej strony zionęły otwarte przepaście, grożące zagładą. Z prawej strony wznosiła się pionowa skała. Wyczerpywały się resztki sił. Zrozumiał, że jest zgubiony.

Ale w tej samej chwili ujrzał wznoszące się na ukos ku górze stopnie, dwa, trzy, cztery i więcej. Były to złomy, gdzie kiedyś Old Shatterhand szukał ratunku. Tylko tędy wódz Ogallalla mógł się wydostać! Wyteżył ostatnie siły i wspinał się na coraz wyższy stopień...

Tymczasem wulkan zaprzestawał swej działalności, równie raptownie jak zaczął. Wkrótce powietrze stało się przejrzyste. Dzięki temu Bob spostrzegł co się dzieje na skalnej ścianie. Krzyknął przeraźliwie i zawołał:

— Pan Marcin! Mój dobry, kochany pan Marcin! Wódz chce go zabić, ale pan Bob ratować!

Wskazał na krawędź skalną i pobiegł ku niej. Wohkadeh dogonił wodza. Zapaśnicy walczyli na śmierć i życie. Ciężki Mokasyn złapał Marcina potężnymi rękami i usiłował strącić go w przepaść. Na szczęście dla Marcina był on wyczerpany i prawie ogłuszony. Zręczny i odważny chłopiec wywijał mu się z rąk. W pewnej chwili Marcin wyrwał się z rąk Mokasyna, cofnął się jak najdalej i z rozbiegu wpadł całą siłą na wodza. Ogallalla stracił równowagę, zamachał w powietrzu rękami, stracił grunt pod nogami i runął ze skały z okrzykiem przerażenia. Wpadł do ziejącego na dole krateru. Straszliwa paszcza natychmiast go wchłonęła.

Wszyscy zgromadzeni w dolinie przyglądali się tej walce. Z przedniej części rozległ się radosny krzyk, z głębi zaś wycie Siuksów Ogallalla, którzy musieli się przyglądać, jak chłopiec pokonał ich wodza. Nad całym zgiełkiem górował jednak głos Boba, który skakał przez kamienie i z głośnymi okrzykami zachwyty wpadli w objęcia zwycięzcy.

— Dzielny chłopak! — oświadczył Jemmy. — Serce mi drżało o niego. A panu, panie Frank?

— No, a jakże — odparł Sas ocierając łzę radości. — Spocilem się ze strachu. Odważny młodzieniec zwyciężył, nie będziemy więc mieli wiele kłopotu z Ogallalla. Zmusimy ich, aby zgięli karki pod kulinarnym jarzmem.

— Kulinarnym? Chyba pan myśli...

— Niech pan milczy z łaski swojej! przerwał surowo Frank. W tak uroczystym momencie nie będę się z panem sprzeczał. Widzę, że Siuksowie Ogallalla muszą się uspokoić. Zawrze się zatem powszechny, międzynarodowy pokój, w którym i my dwaj weźmiemy udział. Niech mi pan poda rękę!

Uścisnął rękę roześmianego grubasa i podszedł do Marcina Baumanna, który wracał wraz z Bobem.

Wszyscy wieszowali Marciniowi wyrazami najwyższego uznania. Old Shatterhand zaś zwrócił się do zebranych:

— Panowie, zostawcie teraz konie, które są już bezpieczne. Rozbiegły się tylko wierzchowce Ogallalla. Ci ludzie muszą pojąć, że nie mają już żadnych szans. Muszą się poddać, choćby pod wrażeniem podziemnych mocy i śmierci wodza. Zostańcie tutaj! Pójdę do Siuksów wraz z Winnetou. Za pół godziny będziemy wiedzieli, czy poleje się krew, czy nie.

Z wodzem Apaczów poszedł do grobowca, za którym schronili się Ogallalla. Na tak śmiały czyn mogli się odważyć tylko ci dwaj ludzie, świadomi, że ich imiona będą dla wrogów gwarancją ich bezpieczeństwa.

Jemmy i Davy rozmawiali szeptem. Postanowili poprzeć pokojowe zamiary Old Shatterhanda. Czerwonoskórym sojusznikom nie bardzo odpowiadało oszczędzanie wroga. Natomiast niedźwiedziarz i jego pięciu towarzyszy pałali pragnieniem zemsty. Nie mogli zapomnieć i nie chcieli darować doznanych cierpień podczas niewoli u Siuksów.

Tak więc obaj przyjaciele zgromadzili obecnych dokoła siebie. Jemmy wygłosił krótkie przemówienie, w którym dowodził, że łagodne postępowanie leży w interesie obu stron. Wprawdzie, można było przewidzieć, że w razie walki Ogallalla polegą, ale ile krwi ludzkiej by przy tym popłynęło? A poza tym należało się spodziewać, że i inne szczepy Siuksów wykopią topór wojenny, aby się zemścić na sprawcach jeszcze jednej walki między białymi i Indianami. Na zakończenie dodał:

— Szoszoni i Upsarokowie są mężnymi wojownikami i żadne plemię nie dorówna im męstwem. Ale Siuksów jest tylu, ile piasku na pustyni. Jeśli dojdzie do wojny, ile ojców, matek, żon i dzieci Szoszonów i Upsaroków będzie opłakiwać swoich synów, mężów, ojców! Rozważcie, że wasz los spoczywa w waszych rękach. Old Shatterhand i Winnetou wprowadzili Mężnego Bawołu i jego syna Moh-awa z ich obozu i pokonali Ogniste Serce i Stokrotnego Grzmota. Mogliśmy wybić co do nogi wszystkich wojowników, ale oszczędziliśmy ich, gdyż

Wielki Duch kocha swe dzieci i pragnie, aby żyły ze sobą w zgodzie. Howgh!

Mowa ta wywarła wielkie wrażenie. Baumann i jego uratowani towarzysze gotowi byli wyrzec się zemsty. Indianie milczeniem przyznali słuszność mówcy. Tylko jeden z nich był bardzo niezadowolony, mianowicie przywódca Upsaroków.

— Ciężki Mokasyn zranił mnie! — rzekł. — Czy Ogallalla nie powinni za to odpokutować?

— Mokasyn nie żyje. Lawa wchłonęła go wraz z jego skalpem. Jesteś pomszczony.

— Ale Ogallalla ukradli nam leki!

— Będą musieli je zwrócić. Jesteś silnym mężczyzną i mógłbyś zabić wielu wrogów. Ale "silny niedźwiedź" jest dumny — nie musi zmiążdżyć małego, tchórzliwego szczura.

To porównanie poskutkowało bardziej niż długa mowa. Pochlebstwo dobrze usposobiło olbrzyma. Był przecież zwycięzcą. Mógł albo zabić wroga, albo wybaczyć. Umilkł.

Niebawem wrócili Old Shatterhand i Winnetou na czele Ogallalla, którzy szli gęsiego długim szeregiem. Złożyli broń i cofnęli się, milczeniem wyrażając swoją kapitulację. Stali z pochylonymi głowami i smutnymi minami. Nieszczęście uderzyło w nich tak niespodziewanie i gwałtownie, że byli trochę oszołomieni.

Jemmy zrelacjonował swoją mowę i jej skutki Old Shatterhandowi. Ogromnie ucieszony myśliwy uściśnął mu i rękę i zawołał do Ogallalla:

— Wojownicy Ogallalla oddali broń, ponieważ przyrzekłem darować im życie. Ciężki Mokasyn zginął, tak jak obaj kaci Wokadeha i Marcina. To wystarczy. Niech wojownicy Siuksów wezmą broń z powrotem. Pomożemy im także odszukać konie. Niech między nami zapanuje pokój. Nad grobowcem wodza będziemy razem z wami rozpamiętywać wojowników, którzy padli z mojej ręki. Niech topór wojny między nami i Ogallalla zostanie zakopany. A potem niech moi czerwoni bracia wrócą na swoje tereny, gdzie będą mogli opowiadać o dobrych ludziach, którzy nie zabijają pokonanych wrogów i o Wielkim Manitou bladych twarzy, który kazał kochać nawet wrogów. Powiedziałem.

Ogallalla oniemieli słuchając tej radosnej niespodzianki. Po prostu nie śmieli uwierzyć w tak pomyślny obrót sprawy. Podnieśli broń, i otoczyli z radością znakomitego myśliwego. Nawet przywódca Upsaroków był zadowolony gdy się dowiedział, że odzyska wszystkie leki.

Konie nie uciekły daleko. Łatwo było je schwytać. Sprowadzono zwłoki obu wojowników zastrzelonych przez Old Shatterhanda i pogrzebano je w pobliżu grobowca. Dzień

minął na poważnych ceremoniach żałobnych, po czym wszyscy zgodnie opuścili niezdrowe miejsce i udali się do lasu, aby należycie wypocząć po przebytych trudach.

Wieczorem, kiedy przyjaciele i wrogowie siedzieli razem przy ogniskach i gwarzyli o przygodach, Frank odezwał się do Grubego Jemmy'ego:

— Najlepszą częścią naszego dramatu jest zakończenie. Przebaczone i zapomniano. Od urodzenia nie jestem zbyt wielkim zwolennikiem zabójstwa i rozlewu krwi, gdyż: "nie czynь drugiemu co tobie niemiło". Zwyciężyliśmy. Pokazaliśmy wrogom, że jesteśmy bohaterami. Pozostaje tylko jedno. Chce pan wiedzieć, co?

— Co?

Kto się lubi, ten się czubi. Stale się sprzeczamy tylko dlatego, że sobie sprzyjamy. A więc przyznajmy się do przyjaźni i zawrzyjmy braterstwo. No, zgoda? Tak?

— Tak! — rzekł Jemmy.

Choć w objęcia, serce moje! Nareszcie, nareszcie spełni się to, co już szillerowska "Radość, boska iskro bogów" tak pięknie zapowiadała:

Twoje więzy znów splatają  
to, co nierozsądek różni.  
Frank i Jemmy przetapiają  
zawiść na braterskiej kuźni!

<sup>1</sup> jankes (ang. Yankee) — obywatel Stanów Zjednoczonych, Amerykanin; dawniej mieszkaniec stanów północnych

<sup>2</sup> miriada (gr.) — bardzo liczny, niezliczony

<sup>3</sup> kanibal (z hiszp.) — ludożerca; człowiek okrutny, krwiożerczy

<sup>4</sup> cetnar — jednostka wagi równa 50 kg

<sup>5</sup> squaw (ind.) — kobieta

<sup>6</sup> Lynch (ang.) — lincz, samosąd; od nazwiska sędziego w stanie Wirginia, pobicie tub zabójstwo człowieka przez wzburzony tłum, stosowany w południowych stanach USA

<sup>7</sup> meeting (ang.) — zgromadzenie, spotkanie

<sup>8</sup> thunder storm (ang.) — burza z piorunami, rodzaj przekleństwa; tu: do pioruna

<sup>9</sup> good day gentlemen! (ang.) — dzień dobry, panowie

- <sup>10</sup> leggings — rodzaj nogawic ze skóry noszonych przez Indian, inaczej sztylpy, getry
- <sup>11</sup> Wah (ind.) — Tarcza
- <sup>12</sup> Davy-honskeh, Jemmy-petahtszeh — w narzeczu Siuksów: długi Davy i krótki Jemmy
- <sup>13</sup> help, help, for God's sake, help! (ang.) — na pomoc, na miłość Boską, na pomoc
- <sup>14</sup> digger (ang.) — poszukiwacz złota
- <sup>15</sup> good day (ang.) — dzień dobry
- <sup>16</sup> stopa — miara długości równa 30,48 cm
- <sup>17</sup> Szi-Tsza-Pahtah (ind.) — Zły Ogień
- <sup>18</sup> shakoh (ind.) — siedmioletnie
- <sup>19</sup> stop, my boy (ang.) — stój, mój chłopcze
- <sup>20</sup> heavens! (ang.) — nieba, o Boże
- <sup>21</sup> cal — miara długości równa 2,54 cm
- <sup>22</sup> mila angielska — miara długości równa 1609 m
- <sup>23</sup> Frank chciał zapewne powiedzieć nolens-volens (łac.) — chcąc nie chcąc
- <sup>24</sup> hobble (ang.) — kulawy
- <sup>25</sup> messieurs (franc.) — panowie
- <sup>26</sup> Frank chciał powiedzieć: jak kolos z Rodos; olbrzymi posąg Heliosa (wys. 32 m) wzniesiony około 281 r. p.n.e.
- <sup>27</sup> nastla-atahehle (ind.) — kotlina
- <sup>28</sup> To-li-tli-tsu (ind.) — Żółta Rzeka, Yellowstone River
- <sup>29</sup> woe is me, help, help (ang.) — biada mi, pomocy, pomocy
- <sup>30</sup> giant (ang.) — olbrzym
- <sup>31</sup> Genezis (gr.) — stworzenie, powstanie, narodziny, pierwsza księga Mojżesza o stworzeniu świata, Księga Rodzaju.
- <sup>32</sup> my boy (ang.) — mój chłopcze
- <sup>33</sup> łokieć — dawna jednostka długości; w Polsce używana od XV w.; wynosił zależnie od okresu i terenu od 48 do 78 cm. W krajach anglosaskich równy 1,1 m
- <sup>34</sup> Moh-Aw (ind.) — Moskit
- <sup>35</sup> Blue Grass (ang.) — Błękitna Trawa
- <sup>36</sup> ah, oh, alas, woe is me (ang.) — ach, och, niestety, biada mi
- <sup>37</sup> Frank powinien powiedzieć Alma Mater (łac.) — wyższa uczelnia



<sup>38</sup> I tu Frank się pomylił. Powinien powiedzieć etymologiczne; jest to dział językoznawstwa zajmujący się badaniem pochodzenia wyrazów i ich pierwotnych znaczeń

<sup>39</sup> wallow (ang.) — miejsce kąpieli dzikich zwierząt

<sup>40</sup> spiked hawthorn (ang.) — kolczasty głóg

<sup>41</sup> coltsfoot (ang.) — podbiał

<sup>42</sup> come on (ang.) — chodźmy

<sup>43</sup> quite dead (ang.) — zupełnie, całkiem martwy

<sup>44</sup> Ararat — wulkan na Wyżynie Armeńskiej w Turcji; ostatni wybuch w 1870 roku

<sup>45</sup> Kastor i Polluks (mit. gr.) — bliźniacy, synowie Zeusa i Ledy, wykłuci z jaja, opiekunowie żeglarzy, pomocnicy w walce; wzór miłości braterskiej

<sup>46</sup> pedlar (ang.) — domokrażca, kramarz

<sup>47</sup> Hannibal — (246-183 r. p.n.e.) wódz kartagiński; w II wojnie punickiej zwycięzca m.in. nad Jeziorem Trazymeńskim i pod Karmami. W r. 202 został pokonany przez Scypiona pod Zumą

<sup>48</sup> Waterloo — miasto w Belgii. 1815 r. klęska Napoleona w bitwie z wojskami angielsko-pruskimi

<sup>49</sup> prospektor (ang.) — poszukiwacz złota, nafty

<sup>50</sup> digger, gold-digger (ang.) — poszukiwacz złota

<sup>51</sup> settlement (ang.) — osiedle

<sup>52</sup> squatter (ang.) — osadnik

<sup>53</sup> house-raising-frolic (ang.) — huczna zabawa

<sup>54</sup> householder (ang.) — właściciel domu

<sup>55</sup> slap (ang.) — klepięcie

<sup>56</sup> farewell, big muddy beast (ang.) — żegnaj, wielka ubłocona bestia

<sup>57</sup> Mephitis (łac.) — śmierdziel

<sup>58</sup> Faugh, shameless devil (ang.) — Pfuj, bezwstydnny diable

<sup>59</sup> swinefell (ang.) — świńska skórka

<sup>60</sup> stinking monkey (ang.) — śmierdząca małpa

<sup>61</sup> smelling beast (ang.) — cuchnąca bestia

<sup>62</sup> thunder storm! (ang.) — do pioruna

<sup>63</sup> ringlet-man (ang.) — człowiek o kędzierzawej czuprynie

- <sup>64</sup> Juggle-Fred — Fred Kuglarz
- <sup>65</sup> santillo (ind.) — barwny indiański koc, derka
- <sup>66</sup> Upsarokowie (ind.) — Indianie Wrony
- <sup>67</sup> leki — rodzaj talizmanu, amulet; przedmiot któremu przypisuje się magiczną moc chronienia przed niebezpieczeństwem i przynoszenia szczęścia
- <sup>68</sup> Oiht-e-keh-fa-wakon (ind.) — odważny poszukiwacz leku
- <sup>69</sup> dżotunka (ind.) — rodzaj fletu
- <sup>70</sup> gejzer — źródło wytryskające w równych odstępach czasu gorącą fontanną wody i pary wodnej
- <sup>71</sup> stopa — jednostka długości równa 30,4 cm
- <sup>72</sup> cal — jednostka długości równa 2,54 cm
- <sup>73</sup> minaret — wysoka, smukła wieża z galeryjką, stojąca obok meczetu
- <sup>74</sup> muezzin — sługa przy meczecie, który pięć razy dziennie wzywa wiernych na modlitwę
- <sup>75</sup> war-p'eh-pejab (ind.) — góra gorącej wody, gejzer
- <sup>76</sup> zendra — warstwa tlenków metali w postaci powłoki lub łuski, powstająca na powierzchni nagranych metali
- <sup>77</sup> Veni, vidi, vici (łac.) — przybyłem, zobaczyłem, zwyciężyłem, słowa Cezara przesyłającego senatowi rzymskiemu wieść o zwycięstwie nad Farnacesem, królem Pontu